

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLI.

ROK XI.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Marca 1886 r.



TARAS Z WOROCHTY.

NOWELA

Z ŻYCIA LUDU HUCULSKIEGO.

XIII.

Widmo starego nie dawało spokoju Tarasowi. Coraz było gorzéj. Toż gdy się *drużyna* zbliżyła gdzie do wsi jakiéj, udawał się znękany *mołodec* do bab, znanych szeroko lekarek, przebrany, niby ze wsi dalekiéj parobek, szukając lekarstwa na swoje utrapienia. Zachodził do największych czarownic. które już miały *swoje sposoby* i takie *zaklęcia*, że mogły *zażegnać*, by jaką *Biedę* włóczącą się po świecie.

Lecz nie pomagały ni słowa skuteczne, ni wary kipiące. Umarły jawił się ciemnéj nocy. Żadna go *granica* nie zatrzymywała. Na swojéj—jak na węgierskiéj stronie, był nito u siebie.

Dnia pewnego dowiedział się Taras od starych ludzi, że w „Jasieniu“ na Węgrzech jest *świaszczennyk*, który-ci mędrszy od wszystkich bab, taj znachorów. Ten zna-ci *takie* pacierze i *takie* umie zaklęcia, że chociajby jak upartą *zażegna* marę. Wszak-ci w Jabłonicy tyle dawniéj było upiorów, z *żywego* to z *umarlego*, iż wyli po całych nocach; a gdy jaka choroba w siole grasowała, to się roiło tego, że straszno było wychylić się z chaty, gdyż zaraz człowieka co *podwiało*, taj *podcięło* rzuciwszy na łoże. Ale skoro tylko sprowadzono tego świaszczennyka, gdy on odmówił swoje *psałtery* i pokropił miejsca *niesamowite*, od razu jakby uciął: wszystko gdzieś pognało w dalekie skały tać puszcze—i zrzadka tylko pokazywał się tam jeszcze w nocy upiór jaki. Ten-ci *pop* ma większe *sposoby* nad wszystkie znachory a czarownice!

Taras przemyśliwał dzisiaj nad tém, jakby to się udać do Jasienia—do tego człowieka. Ale bał się iść tam *płajem* Prutowym a prostą drogą na Jabłonicę do Węgier w *zwór Cisy Czarnéj*, lecz raczéj musiałby przekradać się wertepami pustynią leśną, by nie zdybywać jakich dawniéj znajomych mu twarzy.

Sam do tego jakoś nie miał ochoty; samotności musiał unikać: było mu wtedy zawsze jakoś *nieswojsko*. „*Złe*" na takiego większą ma-ci moc.

Toż razu jednego, gdy byli rozłożeni w głębokiéj kotlinie „Gadżyny"—w onéj dzikiéj, z ponurym gwarem a głośnym szumem potoków, u stóp złomami potwornemi głazów napiętrzonych „Szpyciów," pojawił się żyd on czarny, dobrze im znany, z Jasienia.

Żyd ów, muskularnéj budowy, mający raczéj pozór zbója, niżeli handlarza, był w konszachtach z mołodcami.

Chwilami nawet czynił z nimi wyprawy, a wtedy były one najzyskowniejsze, gdyż im wskazywał miejsca, gdzie obłów będzie obfitszy.

Postać swoję w takich razach zmieniał, a nawet oblicze przybierał inne. Raz chodził z drużyną nito stary węgierski chłop z siwą brodą, przyprószoną prochem wapiennym, a wtedy i włos jego czarny stawał się srebrzystym; lice zaś żyda pomarszczone, bronzowe, było w takiéj chwili czerwone, nito ze spiekłemi rumieńcy... Ale to było tylko maskaradą. W innych wyprawach grał rolę *prawego* cygana, w którym to razie używał sadzy, i był już kuso ubrany, obdarty, jak włóczęga z ich szatry, a wzrok jego błyszczał, nito u kota czarnego.

W Jasieniu był zaś sobie handlarzem. Można téż było u niego dostać przeróżnych rzeczy: więc szat bogatych i pasów, łańcuchów złotych i szub kunich, tać niedźwiedzich. Mówiono, że podczas niebytności swéj w mieścinie, chodził po dworach różnych na stronie tak swojéj, jak i lackiéj—i nabywał te wszystkie śliczności.

Handel tego rodzaju bardzo musiał być zyskownym.

Toż i teraz pojawił się w ustronnéj kotlinie Gadżyny. Widać, że musiał dobrze znać wertepy i przesmyki, skoro aż tu zachodził, jak do swojéj komory.

Nad dziką kotliną, wąską, widłowatą, otoczoną stromemi stoki, spadało ze strony zachodniéj zbocze onych Szpyciów czarnohorskich.

Złomy skał tu się jeżyły, jedne dziwniejsze od drugich. Stały niby nagrobki cmentarne, to jakoby kaplice z dawnych wieków zawalone—inne znów nito sterczące mury zamków zaczarowanych lub kościołów zapadłych w gruzy. Wszystkie one piętrzyły się sztorcem

do góry—pionowo, to ukośnie, wisząc na tém zboczu, jakby już każdéj chwili spaść miały.

Budowały je upiory skalne, a możeć i inne jakie straszniejsze jeszcze potęgi... dość. że „złe“ musiało tu być w sprawie: gdyż patrzącego na nie chwytał obłęd, i niejednego gazdę, co próbował iść górą tego pasma, groniem jego podłużnym, tak obłąkały te potwory skalne, że-ci zaszedł na takie miejsce, z którego już w dół się stoczył, na uciechę upiorów, czyhających na życie ludzkie.

Lecz mołodcy mniéj się tego bali: oni i tak ze „złem“ w górach i lasach musieli być w zmowie, a i żyd dawno już duszę swoję zapisał dyabłu, dlatego téż tak mu się szczęściło.

Z poza jednéj z onych skał, z dobrze ukrytéj kryjówki, wyniósł watażka łańcuchy jakieś złote, to srebrne klamry... Były tam i futra bobrowe, i żółte safianowe buty, atłasowe chałaty żydowskie, bindy z perłami, tać *porosznycie* nabijane *kilciami* huculskie.

Tu odbywały się teraz targi.

Żyd patrząc na to wszystko, potrącał nogą, z pogardą kupującego, owe chałaty i buty, tać stare bronie; lecz pozierając na bindy z perłami a błyszczące złoto łańcuchów, świecił oczyma, by kot nocą, zdając się je pożerać.

— Ta, co ty będziesz porzucał się naszą pracą, *nechreście*?... Patrzaj go!.. kożuchy mu złe—taj *hatłasy*?

Na takie zagadnienie watażki, dwóch z mołodców spojrzeli na żyda wyzywająco, a jeden miał minę jakby go za kark chciał chwycić, taj pożartować z *nechrestem*. Lecz żyd się wcale tém nie zatrwożył i *charkotał* jeszcze głośniéj.

Widać, że jemu z nimi była nie pierwszyna.

A gdy go jeden z mołodców pchnął w bok, nie oglądając się na watażkę, dał mu żyd rozzłoszczony w twarz. Powstała bójka między obydwoma; lecz tu żyd obalił chłopa, a trzymając go pod sobą dodał, tylko:

— „Widzisz, Kuryło, że ja się ciebie nie boję. Co mi zrobisz, jeżeli ci teraz połamię żebra?

Drudzy zaś mołodcy, patrząc na to, śmieli się tylko.

Tamten nie mogąc się wydobyć z pod olbrzymiego żyda, szamotał się z początku—wkrótce zaczął śpiewać na inną nutę.

— *Pomyłuj*! *człowicze*?... Ta, naco tu się będzie rozbijał? Czyli nie mamy iść już na kogo?

— Tak mów, a nie zaczepiaj żyda! Bo wiesz, że ja się ciebie nie boję... Ja się was wszystkich tu nie boję!

— Oho! na to się rozsierdził Taras zawoławszy:

Co on prawi?.. Czy my to zniesiem?... Ano, chłopcy! pożartujem z *psiawiarą*!...

— Aj! waj!.. Bardzo ja się was boję!... Czy ja nie wiem, że gdybyście tu dziś ubili żyda, pozdychalibyście już wszyscy z głodu... Nu, może te łańcuchy będziesz dziś żarł jeden z drugim?... Nu, może guzy te twarde gryźć będziesz jako orzechy?... Jeżeli chcesz jeden z drugim, ubierz się w żółte buty safianowe, weź futro na siebie po szlachcicu albo *hatłas* żydowski—taj przybądź do nas, do Jasienia!... Może cię kto weźmie za szlachcica—taj może za żyda?... Hm!

Argumenta tego rodzaju doszły do przekonania mołodców, i targowali się już przyzwoiciéj.

Chwilami tylko jeszcze ciskał żyd towar jaki z pogardą, lecz wnet postępował w cenie, i na tém się skończyło, że chował łańcuch złoty i bindę bogatą, tać i jakieś metalowe kawałki od rusznic i pistoletów, a wyliczał srokowce, do tegoć obiecywał dla nich sprowadzić tu baryłkę czystéj okowity... Doda jeszcze dwie strzelby i parę nowych pistoletów: bo i resztę zakupił. Ale teraz ze sobą nie weźmie tyle *drańcia*... jeno niektóre rzeczy, które wraz z nim poniesie Taras, co miał sprawę do owego Jasienia. Młodzian chciał udać się do tego znachora-świaszczennyka, co to umie *zażegnać Biedę*, jak nikt inny.

Taras stanął zatém gotowy do drogi. Żyd się wypatrzył, bo takiego łegina z włosem długim do pasa, w *rzemieniach* tak ostro nabijanych, mogliby wziąć tam łacno za zbója—tać zakuć czemprędzéj w dyby: tożby się i żydowi przy nim wreszcie dostało.

Musiał się zatém nieco przebrać do miasta nasz Taras.

I tak nasamprzód przystąpił *Burczymorda*, wprawny w rzucaniu toporem, a zebrawszy w garść długi i gęsty włos na głowie łegina, skręcił go w jeden pęk, przywiązał łyczkiem wgórze do konaru świerkowego, a odstąpiwszy kroków parę, jakci śmignie toporem, tak w mig przeciął kudły, że połowa niby kosa niewieścia zawisła na drzewie, a reszta upadła równym kręgiem na czoło młodzieńcowi (1). Przystrojenie podobne zmieniło zaraz wejrzenie całe mołodca. Przebrał się do tego w bielszą bieliznę, jaką mieli w zapasie, wziął stary, chłopski *serdak*, tać *besahy* na plecy, że już wyglądał nito chłop ze sioła, i obaj teraz wyszli z kotliny Gadżyńskiéj, mołodec z żydem.

A choć żyd znał lepiéj przesmyki, niżeli Taras, jednak zawsze tak uważał, ażeby sam był każdym razem za plecami mołodca, ma-

---

(1) W podobny sposób ucinali dawniéj włosy huculi, nie znając nożyczek; lecz najczęściéj nie tykali ich wcale od samego urodzenia. I dziś jeszcze w górnych częściach dolin Bystrzyc i Łomnicy noszą włosy po pas prawie, wcale nie przystrzygając.

jąc tegoż na oku. Kupiec porządny przecież nie mógł ufać człowiekowi z *drużyny*, u którego zrabować i zabić rzecz niezbyt trudna.

Krocząc tak wzdłuż zbocza tego, gdzie raz po raz sterczały nad nimi coraz dziwniejsze skał potwory, coraz dziksze i coraz dziwniéj poszarpane, zagrażające im co chwila stoczyć się na głowy, znaleźli wreszcie miejsce takie, gdzie się już mogli wydrapać, niby dwa koty. Tu żyd drapiąc się między złomami głazów a sapiąc ciężko, pozierał z ukosa, żeby go gdzie mołodec z boku nie pchnął, tać w dół nie strącił; ten zaś spinał się zatrwożony, by go tu w jakiém miejscu obłęd nie chwycił, taj *Błud* się nie *czepił*, a gdy poglądał na żyda, zdało mu się, że idzie z „*tym*“ już, co dusze ze sobą ludzkie zabiera.

Obaj poglądali na siebie ze zgrozą. Mołodec żegnał się chwilami z przestrachu, a żyd także jakieś tam swoje odmawiał pacierze.

Gdy już wyszli na *gróń* „*Szpyciów*“, po prawéj ręce roztoczyła się przed ich oczyma wielka kotlina „Dancerza“, zagłębiona w łańcuch czarnohorski—wysoki, otoczona półkręgiem jego szczytów.

Byli już przynajmniéj radzi, że najgorsze przebyli miejsce, i obaj zostali żywi.

Szli tak *groniem*, a ze strachem pozierali na poniżéj ciągnące się „*Rebra*“ skaliste, niby odrośle równoległe z głównéin pasmem „Szpyciów“ w kotlinie „Dancerza.“ Rebra te wybudowały upiory skalne, a może i sam „*czarny*“, bo nikt na nie wyleźć nie zdołał, a ktoby się odważył, zostawiłby już kości swoje u podnóża pasma *niesamowitego*.

Z kotliny téj, czerniejącéj płatami kosodrzewiny a bielejącéj gdzieniegdzie śniegiem, wiał jakiś przestrach i groza, a posępnie poglądały otaczające ją szerokim półkręgiem, „*Poziżeska*“ pogarbione, tać „*Dancerz*“, ano *Didowyj kamiń*“, stary, siwy, najeżony głazami; na końcu zaś pasma, którém kroczyli, mieli za sobą niby basztę ogromną, graniczną, „*Homul*“ samotny.

Z pośpiechem postępowali pasmem tém podłużném, coraz daléj, aż im tu przyszło schodzić nieco w dół, koło jeziora, przejmującego każdego człowieka grozą, zagłębionego w „Dancerzowéj“ kotlinie.

Niesamowite ono jezioro, a czarne od zielska *niedobrego* na swojém dnie! A kto wie, czy to zielsko?.. To z jakiegoś nasienia dyabelskiego! Boże broń! rzucić tu jaki kamyk i podraźnić tém wodę *niedobrą*: wtedyć powstałaby taka burza z gradobiciem, taj z gromami, żeby człek nie uszedł już stąd cały!

Toż wędrowcy obaj mijali je ze strachem. Mołodec żegnał się z przestrachem, ale i żyd, choć śmiały, postępował blady jak ściana,

a oczy jego patrzały na chłopa niby szklane, źrenice zaś rozszerzały mu się szeroko.

Lecz jakoś szczęśliwie minąwszy je, wyszli z kotliny na nieco wyższą przełęcz między „Szpyciami“ a „Didowym kaminiem“—i tak opuścili kotlinę „Dancerza“ ze strasznėm tėm jeziorem i *niesamowitemi* „Rebrami.“

Byli już na drodze ku Węgrom.

Gdy przekroczą teraz łańcuch czarnohorski w poprzek, staną już na zboczu jego węgierskiėm. Dalėj zaś tam powiedzie już żyd wertepami, gdyż na połoninach wołoskie są bouhary w niemałėj nieraz liczbie, a to lud drapieżny; ich zaś tylko dwóch i to wzajem sobie nie ufających.

Przeszli czėmprędzėj przełęcz, i byli już na zboczu węgierskiėm.

Tu roztoczyło się przed nimi szerokie i dalekie panorama długich pasm węgierskich i zboczy czarnych, by sadza, to szarawych od żwiru kamiennego. Na prawo i na lewo piętrzyły się tu i tam kopce za kopcami, *grónie* wznoszące się po nad *grónie—zwory* i parowy: dzicz nieschodzona! A miejscami połyskiwały w głębokich dolinkach potoki, śpieszące się już do *Cisy*.

W taką dzicz mają teraz obaj wstępować, sobie nie ufający!

Dopóki schodzili z głównego grzbietu *Czarnohory*, mchem tylko i trawą porosłego, mieli siebie na widoku; lecz gdy się zapuścili w gąszcz jarów a borów, obojgu wędrowcom zrobiło się jakoś *nieswojsko*.

Żyd patrzał z ukosa na towarzysza i odciągał się co chwila, by tegoż puszczać zawsze przed siebie, a *mołodec* obracał się po za siebie, świdrując wzrokiem *nechrestu*, jakby się obawiał, by go ten nie pchnął gdzie nożem.

Żydowi wydawało się to podejrzanėm, instynktowo zatėm macał coś w zanadrzu... Wtedy *mołodec* przystawał, jakby szukał, gdzieby się oprzėć mógł o drzewo jakie grubsze. I tak patrzali sobie oko w oko. A wtedy *mołodcowi* świeciły oczy by u rysia, a żydowi rozszerzała się źrenica i ślepie zielone zdawało się na wierzch wyłazić.

Tymczasem czarne chmury zakrywały niebo, i wiatr się ruszył *niedobry*. To im więcėj jeszcze przydawało strachu.

Nareszcie *mołodec* nie uważał, jak żyd gdzieś pozostał w tyle. Nagle usłyszał huk za sobą wystrzału, oglądnął się .. a tuż zakurzył się dymek szarawy.

— Ha! ten szelma chciał go zabić! Lecz kulka trafiła w drzewo,

W jednėj chwili skoczył *mołodec*, a żyd przestraszony zaczął czėmprędzėj uciekać, wyrzekłszy się wszystkiego, co dlań niósł towarzysz podróży.

I słychać tylko było łomot gałęzi, coraz bardziéj już się oddalający. Taras chciałby go zgonić, i za taką niespodziankę przynajmniéj połamać żydowi żebra; lecz poznawszy, że ten tylko umyka, splunął z pogardą, zdziwiony, po co mu było wybierać się z *nechrestem*.

Spojrzawszy na szmaty, tać drobiazgi, które niósł dla żyda, przystanął...

— Ta poco mi tego *drańcia*?.. Czy ja z tém idę handlować--tać na jaki *szacher*?.. Czy ja żyd? I rzucił z pogardą, co dźwigał, na ziemię. A były tam rzemienie i pasy, atłas, taj inny towar zrabowany, który miał się rozchodzić między ludzi za grosz dobrze zarobiony.

— Tfy! Ano *skazywsia sobaka*?.. Chciał mnie ubić... Ta coby ze mnie ściągnął?

Powoli doszedł do przekonania, że żydzisko musiał go samego o zamiar podobny podejrzywać.

Tfy! Czy człowiek łakomy jego łańcuchów—taj jego *szmacia*?... Człowiek dziś szedł, by mu *odżegnano* niedolę jego, a on-ci podejrzywał o takie łakomstwo.

Lecz tu mu na myśl przyszło, że teraz sam pozostał w téj gąszczy i ciemne obrazy zaczęły znów wychylać się w duszy jego znękanéj. Czémprędzéj więc przedzierał się gęstwiną i wchodził w parowy sobie nieznane, szarpany gałęziami, które go tu i owdzie do krwi kąsały, a miejscami zdało mu się, że między świerkami świeciły ślepia wilcze...

W innem znów miejscu ryś się zaczajał, zabierając jakby do skoku, lecz spostrzegłszy oczy człowieka nań zwrócone i lufę wymierzoną pistoletu, uchodził czémprędzéj z konaru na konar.

Atoli gdy się już miało ku wieczorowi, nogi pod Tarasem drżały—a wtedy chwilami ćmiło mu się w oczach. Lecz myśl uparta, raz wraz wracała w głowie jego.

— „Ojciec – nie ojciec?... Ten przecież nie rzuca matki na świecie?... nie opuszcza sieroty?...

Co? swoję krew?... Czy *ja* jego *prosił*, żeby mi dawał życie?... Na moją niedolę?... Dawszy zaś, tać nogą odtrącił, gorzéj niże psa—taj unikał by wściekłego zwierza. A ja byłem jeszcze małém dzieckiem samemu sobie pozostawionem, na takie życie *sobacze*!... On mi wtedy nawet wydzierał z ust jadło... jeżeli mi kto z litości chciał rzucić, jak się rzuca psu!... On mi zabił matkę!... Tać jakby dybał i na moje życie... Czy ja miał-ci jaki dla niego obowiązek?... I tu ugrzązł w myślach. Potém jakby się ocknął. *Hospody Boże*!... To okropnie!... Naco ta krew moja od niego się poczęła, od niego, który był mi wrogiem tylko?!..,

Jeszcze chciałby w siebie wmówić, że to może nie był jego rodzic... Ależ bo wszystko... ten sam wzrost, głos nawet chwilami, jak by ten sam?... I wzdrygnął się, bo tuż znowu stanął... jak żywy, przed oczyma jego... W téj chwili powstał jakiś wicher *niedobry*.

Mołodec uchodził czémprędzéj— a tamto, jakby się doń teraz zbliżało coraz bardziéj, coraz śpieszniéj... taki zaś za nim zrobił się szum, jakby ze skrzydeł podnoszących do lotu głuszców.

Po chwili ziemia zdała się pod nim zapadać, a on leciał, jakoby w przepaść—ale tak daleko, tak niepowstrzymanie, jakby go co niosło.

I wszystko dokoła niego dygotało.

A gdy się po chwili oglądnął, poznał, że to były tylko *majaki* leśne, a możeć było to i działanie upiorów... Bo on leżał na ziemi.

Uciekaj stąd czémprędzéj!... Czyli nie widzisz, że to miejsce *niesamowite*?

XIV.

Na drugi dzień, krocząc rozworem *Laszczynu*, doszedł już do miejsca, gdzie się ta schodzi z *Czarną Cisą*. Był już zatém w węgierskim *Jasieniu*, ciągnącym się temi dwoma rozworami.

Tu się uważnie rozglądając, wypytał z ostrożnością o mieszkanie owego *świaszczennyka*. Idąc zaś mieściną uważał, jak nie jeden mijając go, kiwał znacząco głową, półgłosem jakby do siebie szepcąc: „Chłop—nie chłop? Pachołek-ci to jaki—albo i nie pachołek?“

Gdy stanął nareszcie przed starcem białym jak mleko, a pochylonym z wieku, ucałował tegoż w obie jego ręce drżące, kościste, i położył na stole dwa białe *srokowce*.

Stary nań popatrzył, zapytując, czego żąda.

— Ta wy już.... wiedzieć macie.... *otcze*.... ta mówią, że wy.... wy.... macie *takie sposoby*, iż *zażegnacie* każdę *Biedę*?

— A jaka to-ci Bieda, synu?

— Tać już Bieda, a wielka trapi mnie; taj dzień i noc, *otcze*.... Hej! Jakby to wam już powiedzieć?—Tu zaczął się skrobać w głowę. Stary czekał, a powieki czerwone drżały mu od starości.

Taras dodał: — Ta wy macie już na to *swoje psaltery*? — i wpatrzył się błagająco w starego, nareszcie dodał: — Powiadają ludzie, że znacie *takie* pacierze, które chociażby już jakiego odgonią upiora?

— Nie inaczéj, że ja-ci mam na nich bicz, mój synu. Tu wpatrzył się w obcego. Nareszcie rzekł: — A gdzież to ona chata, kędy się „złe“ pojawia?.. Już to ja kropielnicą, nito kipiątkiem wody....

Ho! ho! poczuje ono, że to nie przelewki!.. Ale gdzież bo to się pojawiło, synu?.. Jeśliby niedaleko... zawiedziesz mnie tam zaraz!

— Ta gdzie ja mam was wodzić?.. Ja bo z daleka... Aż *het z lackiéj* strony. A Bieda wszędzie za mną chodzi.

— Za tobą chodzi?

— Gdzie jeno stanę, a nocka mnie ciemna zaskoczy, wtedy zaraz się pokazuje, czy to w lesie, w jarze, czy na łące — i spokoju nie daje człowiekowi.

— Chłop to czy kobieta?

— Ta już chłop — odrzekł chwiejnym głosem.

— Ano żył on kiedy... Czy téż może tylko mara piekielna?

— Ta już żył wam i był gazdą.

— A może on tobie był czém za życia?.. Możeś mu co winien?.. Sąsiad czy obcy? Kum może jaki?

Po dłuższéj chwili rzekł mołodec:

— Ta gdzie tam!.. Ni on mi sąsiadem, ni kumem. I dodał:—To wam nie był już „swój." To obcy.

A gdy to wymawiał, czerwienił się, bo wiedział, że kłamie. Tu się zamyślił stary, a czerwone obwódki dokoła oczu nieznacznie krwią mu nabiegły.

Po niejakiéj chwili znowu zagadnął:

— Ano czyś ty jemu co winien?.. Możeście za życia obaj byli sobie wrogami?

— Ta co *ja* mu *winien*?.. I czego on chce ode mnie?.. Ja was tu proszę, zróbcie tak, żeby to przepadło... tać już nie miało do mnie prawa.

Stary wpatrzył się w oczy młodzieńcowi — i zdawał coś ważyć.

Nastało milczenie, a mołodec oczekiwał ze drżeniem słów starego, jakby cudu, co jednym zamachem *zażegnać* miały widma zabitego.

Nareszcie dodał stary:

— Tu trzeba i z twojéj strony pomocy.... nadewszystko skruchy twojéj, *detyno* moja... Pójdziesz teraz ze mną synu.

I zawiódł go za sobą do cerkwi.

Tu jakiś lęk uroczysty przejął mołodca, jakieś trwożliwe wyczekiwanie czarów i cudu. On już dawno nie był w domu bożym.

Wpatrzył się w starego, jakie ten teraz rozpocznie czary, tać *zamawiania*. Lecz *świaszczennyk* wziął stułę i kazał mu uklęknąć zapytawszy zaraz:

— Dawnoś się spowiadał, synu?

Taras się przeraził, gdyż dawno już był zapomniał spowiedzi. On dzisiaj oczekiwał guseł tylko i cudu, bez własnéj pomocy, bez

pokuty wszelakiéj. Spodziewał się tylko, że mu *świaszczennyk* nito do snu ułoży głos odzywającego się sumienia i zdejmie *uroki*, a tenci tu zaczyna spowiedź. Lecz tu zaraz w myśli sobie dodał, iż może to ci wszystko potrzebne, zanim wypowie słowa zaklęcia. Toż się poddał powolnie.

Po chwili rzekł kapłan:

— Coś ty za jeden?... Może ty *wiun* jaki?.. Może włóczęga?... Czy ty się nie spowiadał nigdy?...

— Ta ot! czemu nie?.. Ale było to dawno, bardzo dawno.

— A skąże ty, chłopie?—zapytał go się poraz drugi.

— Ta już wam z *lackiéj* strony.

— A po co przyszedłeś, synu? — rzekł jakby dla zwykłéj formalności.

— Przyszedł do was, bo mi prawili ludzie, że wy wielki *charakternik*, a *mądry*, taj taki, co już odegna wszystko „złe"; ma-ci swoje *mołytwy*, tać *psaltery*, jakich nasi po stronie *lackiéj* nie mają: toć *ja przyszedł* aż tu do was.

— Czemeś obraził *Hospoda Boha*, grzeszniku?

Mołodec choć był w drużynie, wyliczał, jak dziecko, co uważał za grzech.

Kapłan ciągle czekał.

Gdy już przyszedł *mołodec* na to, co go tu przygnało, — zatrzymał się i stanął, jakby już nie mógł daléj mówić... Zdawał się szukać w myślach....

— No, co daléj, synu?.. Jakżeż z owym upiorem, który ci pokoju nie daje?

— Tać to już wam może upiór z *nieżywego*?...

— A tak!.. Może-ci z zabitego?—wyjąknął grzesznik z obawą.

— A kto go zabił?.. Może ty wiesz?

Tu umilknął klęczący i nic już nie mówił.

— No, powiedz, ja przecież *świaszczennyk*... na miejscu jestem *Hospoda Boha*, a nie żaden świecki sędzia z toporem na zbrodniarza.

Tu się zatrzymał chwilę, potém dodał:

— To była może bójka między wami, jaka się czasami wydarza?

— Ta już tak, *otcze*.... ta niby bójka...

— I ty niechcący?.. Gadajże!.. Albo może chcący jego zabiłeś?

— Ta gdzie ja wam... chcący... On mnie sam napadł... Ja się tylko bronił....

— Ale czego on chciał od ciebie?... No, mówże, gdyż inaczéj odejdę i zostawię cię własnym kłopotom.

— O! nie czyńcie tego... *Pomyłujcie*!.. Ja już wam powiem..

I zebrawszy myśli rzekł po chwili:

— To już tak było... ot, tak nam chodziło o jego...

I tu się zakłopotał, a stary odpowiedział:

— Żonę czy może dziewczynę?

— Ta, gdzie żonę?.. O dziewczynę jego... Ale ja jéj wpierw nie szukał... *Hospod Boh* tak nam już dał.

— Toż stary dać jéj tobie nie chciał?

Tu się wstrząsł *mołodec* i rzekł tylko:

— On czatował na mnie—tać ja.... I tu urwał.

— Ależ mów wszystko!.. Inaczéj bowiem nie zadam ci pokuty i nie będzie rozgrzeszenia. A ty nie będziesz miał pokoju....

— Ano gdy już powiem, *zażegnacież* wy *Biedę*, *otcze*, że ona przepadnie?.. Ja was proszę.... Ja wam więcéj dam jeszcze takich *srokowców*....

I zaraz się poprawił dodawszy:

— Ja będę pracował... dzień i noc... a dla was zarobię...

Tu się rumienił.... a pojrzawszy na starego rzekł:

— Ale... wy mnie... nie zdradzicie przed ich sądami, wy mnie panom nie wydacie?

— Co ty mówisz, ciemny chłopie?.. Spowiedź — to tajemnica. Nie bój się!.. Gdy wszystko powiesz.... ale wszystko musisz powiedziéć, jako przed *Hospodem Bohem*.

— No, to ja już powiem. Ten człowiek... On... przeze.... mnie... *pohybal*... Ale ja mu nie chciał nic złego zrobić... Tać mnie sam napadł... Biegł za mną... Chciał wam strącić z kładki w koryto potoku, na ostre kamienie.

— I tyś jego... Mów prawdę!

— Nie, *otcze*... Myśmy obaj pospadali... Ale on tak upadł nieszczęśliwie, że musiał połamać sobie żebra. I dodał: — Lecz wrócił potém jeszcze do dom—tać zmarło mu się wkrótce.

Tu urwał grzesznik, a kapłan czekał jeszcze. Poznał bowiem nie małe w grzeszniku zakłopotanie, toż dodał czemprędzéj:

— Jeśli nie powiesz wszystkiego, jak to było i kim ten człowiek był dla ciebie—ja nie znajdę sposobu, by ci wrócić spokój, synu.

— Ach powiem, powiem, *otcze*; ale wy się sierdzić nie będziecie?.. To straszna rzecz.

— Straszna?.. Czego ja się tu dowiem!

— Ten człowiek... Ah!.. on miał... dać... mnie... nieszczęsnemu... życie? — I tu pobladł cały.

— Toż to był twój ojciec?

I tu się szeroko rozwarły źrenice staremu, a obwódki dokoła oczu nabiegły krwią.

— Toś ty zabił ojca własnego? I zaczął wołać:

— Piekło!.. W smole po uszy! Na to ja nie mam ratunku... To nie w naszéj mocy!.. Morderca! ojcobójca!

Mrowie przeszło po kościach Tarasowi, atoli słabym jeszcze wyjąknął głosem:

— Ale on... nie był mi ojcem... nigdy nie był ojcem jako inni... Jam jego nigdy nie znał, nie znał...

— Co?... Co ty prawisz?

— Ja nie wiedziałem, *otcze*, kto on był... Gdy już leżał na ziemi, powiedział mi dopiero... Ależ to nie był ojciec! To był wróg mój!

— Ach! ty mówisz... Boże! zmiłuj się nad tobą!.. W tobie nie ma skruchy!.. Nad takim żaden sługa boży nie ma mocy!.. I daremne wszelkie twoje datki, wszelkie ofiary!.. Ofiar twoich Bóg nie przyjmuje... One nie idą na zbawienie duszy, jeno na jéj zagładę a potępienie. Ty go nie kupisz żadnym datkiem, żebyś sypał korcami *srokowce*.

A grzesznikowi robiło się coraz zimniéj. On nigdy słów takich nie słyszał. Jemu się zawsze zdawało, że *popy* przyjmują datki, by odmawiali *swoje* pacierze, a te bez przyczynienia się człowieka mają moc taką, że już wszystko mogą *zażegnać*.

Po chwili dodał kapłan:

— Tyś podszedł sędzie świeckie... Ale Boga nie podejdziesz!.. Zali wiesz ty, kto On?

I utkwił wzrok gniewny w grzeszniku.

— Gdy burza nastaje, groźna *hodyna* (1) a zawierucha taka się podniesie, że stare padają odwieczne świerki, by trzcina: zali ty powstrzymasz wtedy, słaby człowieku?

A grzesznik blednął na te słowa i drżenie go podchodziło jakieś, przedtém nigdy nie uczuwane.

— Otże widzisz! to zamach Bożéj ręki!... Skoro On zechce, rozpadną się góry i skały, a lasy w jednéj chwili położą się pokotem i będą już leżéć, taj gnić. I tyś tego Pana obraził?.. Nie boisz się Jego?

Tu mocniéj pochylił głowę klęczący.

— On wszystko widzi. Świeckie podejdziesz sędzie... Jego nie podejdziesz. On wszystko widzi. Ludzie ci uwierzyli, gdyś dzieło ręki swojéj zwalił może na drugich?... Gadajże, iżeś na drugiego zwalił, skłamał, niewinnegoś może oskarżył, bo cię ludzie wolno puścili?

— Ta gdzie mnie... oni... puścili? — słabym głosem wyjąknął grzesznik... Jak wam mieli złapać, tać oddać sądom.. skoro ja już... I tu urwał, a krew mu coraz bardziéj uchodziła z lica.

---

(1) *Hodyna*, znaczy u hucułów burzę ze słotą, wogóle wielką nawałnicę.

— Kiedy ty już... No, mówże dalej! Musisz całą prawdę powiedzieć... Inaczej Bóg cię potępi, a na ziemi nie będziesz miał spokoju.

— Kiedy... ja... wam... w bory pognał... czarnohorskie... — słabym odpowiedział głosem.

— Tyś... w bory... pognał.. czarnohorskie?...

Tu uważniej spojrzał spowiednik.

— A jak ja miał wracać do sioła?.. Czy ja mógł już wracać, *otcze*, pomiędzy ludzi?.. taj patrzeć na nią, której ja ojca?...

— On z lasów?... I dodał ciszej: — To zbój, opryszek!.. Boże! zmiłuj się nad nami!

A grzesznik wbił w ziemię wzrok swój ponury.

Nastała chwila milczenia.

Kapłan zbierał myśli swoje, a grzesznik oczekiwał wyroku.

Po niejakim czasie rzekł kapłan:

— To ty chcesz by ci Bóg odpuścił winy, a sam zostajesz jeszcze w ohydzie zbrodni?.. Ty jeszcze rabujesz i rozbijasz?... I przynosisz tu *srokowce* białe, *srokowce* wydarte drugim?.. Chcesz podejść księdza i Boga!. Chcesz przekupić?.. Ho! ho! To nie z ludźmi sprawa!.. Toż myślisz, że gdy dasz dziesiątą część, setną—tego, coś zrabował i skradł drugim, którzy zapracowali... ty sądzisz, że Bóg taką przyjmie ofiarę i że ci winę odpuści?.. Ja nie wezmę twoich *srokowców* dla siebie, lecz rozdam między biednych... Choć w setnej części odda się tym, jakim wydarłeś.—Nie, ja nad tobą dziś nie mam mocy! Ja ci nic nie pomogę... Będę się tylko modlił, iżby cię Bóg oświecił, ażebyś opuścił żywot sprośny....

A grzesznik podniósł wzrok lękliwy i źrenice mu się rozszerzyły.

— Tak, tak... musisz wpierw rzucić szajkę, wydać sprawiedliwości zbrodniarzy, by je dosięgła ręka ludzka i Boska!.. A wtedy może Bóg tobie odpuści. Dziś ci nie mogę dać rozgrzeszenia.

A grzesznik stał, jakby ciężarem słów tych przygnieciony do ziemi i patrzał posępnie.

Po chwili rzekł kapłan:

— Czy ty żałujesz za grzechy, za wszelkie złości i zbrodnie swoje? Zali żałujesz, żeś był między zbrodniarzami, na których cięży krew ludzka, pot upadających pod brzemieniem pracy?

Tu nastąpiło milczenie.

Grzesznik nie odrzekł ani słowa.

— Ty milczysz?

Grzesznik milczał upornie.

— Ha! toż będę się tylko modlił, by cię Bóg oświecić raczył. Ja nie mam nad tobą mocy.

— Toż nie dacie mi żadnego już poratowania?

— Czy żałujesz żeś był między złymi ludźmi? — zagadnął silniéj kapłan.

Grzesznik milczał.

— Skoro więc tak... Ja tu dziś nie mam dłużéj co robić.

I odszedł, zostawiwszy samego grzesznika, klęczącego, wołając tylko: — Boże zmiłuj się nad nim! Oświeć duszę tę ciemną!

Grzesznikowi pociemniało w oczach.

Przyszedł tu ufając w czary jakieś cudowne, bez pomocy winnego „złe“ zmazujące... a tu tyle dziś odeń żądają....

Czekał jeszcze czas niejaki. Chłód cerkwi, zimny, lodowaty, obejmował go do koła.

Chrystus na krzyżu z obrazu złoconego patrzał jakoby gniewnie. *Mały Boża* nawet wzrok miała posępny. Światło przeciskające się przez okna cerkwi było pełne grobowego smętku.

Tarasowi było dziś strasznie *nieswojsko* i marnie na duszy.

Nareszcie się zabrał i wyszedł przygnębiony.

Kroczył po nad potokiem „Laszczyni“, który teraz głucho szumiał po kamykach i nie wiedział co czynić....

Żądają-ci dziś od niego by opuścił drużynę, by ich nawet wydał?... Ależ to niepodobna!.. Jak to?.. Rzucić ma drużynę, co go niegdyś przyjęła, sama jedna, gdy go świat wszystek opuścił?.. Ano ci ludzie, co tu przechodzą, czyżby go przyjęli jako swojego?.. Oni nim raczéj pogardzą, jako dawniéj, gorzéj, niżeli dawniéj, bo on im tyle już dokuczył. To-ci świat już nie jego! .

Czego żąda ten stary?.. By on swoich zdradził i wydał na zagładę?.. Za co?.. Że go przyjęli jako równego sobie?.. I tu się zamyślił.

Potém jakby już zapomniał słów kapłana i dawny w nim ruszył się człowiek; dodał więc zaraz:

— Czemu on tego żąda? Bo z sędziami, taj panami w zmowie!.. A *mołodca* ma już za takiego, co do wszystkiego zdolny — do każdéj zdrady. Bo on zbój, bo rabuś!.. Czemużby i innych nie miał zdradzić?.. Tu w nim żółć się ruszyła, że o nich takie mają wyobrażenie..

Lecz zaraz mu na myśl przyszło, że przecież mógł był go stary zatrzymać, gdy się dowiedział, iż on z drużyny? A przecież odszedł spokojnie, nie nagabując go wcale.

Tu pojął różnicę między postępowaniem tego starca a swoich druhów. Bo tamci pewnieby nie puścili, gdyby kogo z obcych w swoje dostali ręce. I czemu on *srokowców* onych nie chciał wziąć dla siebie? Jabym mu był dał więcéj, gdyby mi chciał pomódz, tać *odczynić Biedę*. Wszak skoro dają, każdy bierze.

Tu się zastanowił i nieznane dawniéj budziły się w nim dziś myśli.

Był teraz ze sobą w sprzeczności.

XV.

Skoro się znalazł między swoimi, skoro zobaczył tych, co go niegdyś przyjęli — jego, niemającego ojca ni chaty, porzuconego przez tych, co mają ojców i chatę własną, poznał wtedy, że tu już jego przeznaczenie. Dzicz borów nieschodzonych, wertepów bezsłonecznych, to świat jego!

Gdy go owiało powietrze wysokich gór, ostre, mroźne, gdy usłyszał huk pieśni dzikiéj swéj drużyny, znikły wtedy wszelkie skrupuły, przepadły słowa kapłana!

Rzucał się w niebezpieczeństwa, a to mu dodawało siły i wiary w siebie i w świat ten odrębny, będący w kolizyi z tamtym, gdzie władają sędzie i dusz pasterze.

Mimo to gdy spokojniejsze przychodziły godziny, gdy zostawał sam ze sobą, a *mołodcy* gdzie na boku chrapali po jakiéj przygodzie; wtedy czuł, że mu jakoś dziś już inaczéj.

Chwilami rozbierał w sobie myśli, jakich dawniéj nie miewał.

Dawniéj, gdy zdzierali z drugich zdobycz, czuli się tu wszyscy w prawie, jako silniejsi... Taras miał nawet pewne zadowolenie. gdy mógł dokuczyć ludziom ze siół, mieszkającym w chatach i mającym rodziny. Oni dla niego zawżdy byli wrogami! Toż pasł się widokiem bladnących *bohaczy* — przerażonych. Takich pierwéj widywał butnych i hardych!.. Teraz zaś buta ich korzyć się musi przed siłą i odwagą dzieci puszcz i dzikich ostępów!

Tak dawniéj zawsze sądził.

Dzisiaj?.. Dziś zaczyna wątpić, czyli mają prawo, tamtym odbierać, czego sami nie zapracowali. Zali kto czego nie zapracuje, to już nie jego?.. Czy *Hospod Boh* tak postanowił? A jeśli On tak postanowił, to karać będzie, gdy go ludzie nie usłuchają?.. *Swiaszczennyk* mówił, że skoro On zechce, rozpadną się góry, taj skały, a całe bory w jednéj chwili położą się pokotem, nito wiotka trzcina... Tu się zamyślił *mołodec.*

I stanęły mu w oczach chwile w tych borach takie, kiedy nawet jego druhowie pacierze zaczynali odmawiać, w grozie przestrachu.

Może ten stary miał racyą?.. Może on prawdę mówił?.. I tu tonął we własnych myślach.

Słowa kapłana, natrętne, coraz częściéj powracały w duszy jego i spocząć nie dawały *mołodcowi.* Lecz skoro pojrzał na druhów, nie mógł-ci tego przenieść na sobie, ażeby ich miał opuścić—wydać do tego władzom!

Dzicy ci ludzie, nieokrzesani, przyjęli go i stali mu się braćmi, gdy go tamci opuścili.

Nie, on tu z nimi los swój, dobry czy zły, dzielić już musi. I dodał silniéj: — Stary kłamał... On musiał już kłamać!

Chwilami zaś, po jakiéj wyprawie *drużyny* na bezbronnych mieszkańców, po odbytym, pełnym grozy rabunku, wydali się Tarasowi druhowie jakby dziś już inni, niżeli dawniéj....

Czy oni dziś gorsi, czy może to tylko jemu tak się zdaje?.. Ale nie mógł już zagłuszyć głosu w sobie wewnętrznego. Miał nawet dla druhów swoich słowa pogardy— i żółć się w nim burzyła. Chciałby w téj chwili być od nich daleko... Wtedy chwytał za flaszę z gorzałką, siląc się nią zatłumić w sobie myśli raz w raz się pojawiające, zabić robaka, co go od czasu pewnego gryzie.

Nocami stawało znów oczom jego przerażonym widmo dawno zmarłego.

Zali ten nie może już spocząć?.. Będzie-li się wiecznie o swoje upominał?...

Ha! bo on osierocił córkę i matkę!.. Teraz zaś osieroca drugie córki i matki!.. Czuł dzisiaj, że jest winny. Dlatego i tamten ma teraz do niego prawo....

Kto mu dziś pomoże?.. Na Boga! kto mu pomoże?!.. Niechajby się już odeń odczepiła mara!

Radzono mu jeszcze zanosić świeczki do cerkwi po siołach: te mają już *swój* skutek. Wierzono w nie, bez wiary prawdziwéj—wierzono w nie jakby w gusła a praktyki.

Taras zanosił światło do cerkwi Mikuliczyńskiéj, to do Żabiwskiéj, przebrany za parobka ze sioła. Ale skruchy tu nie było, żalu nie było żadnego. Był-ci w tém tylko strach i małoduszność. A ofiara do domu bożego szła z łupów zbójeckich.

Świeczka ze zrabowanego drugim grosza nie mogła się Bogu podobać. Tak mówił ów kapłan. Czuł to po części Taras: miał bowiem jakieś ciemne przeczucie, że to nie może być miłém Bogu.

Chwilami powracały mu w pamięci słowa starca, których z początku nie mógł był zrozumiéć. Jakżeby mógł on rozumiéć, wychowany bez ojca, bez matki, która go wcześnie odumarła, gdy w owych czasach nawet tacy, co mieli własnych ojców i których matki uczyły pacierza, nie miewali lepszego o Bogu i ofiarach składanych w cerkwi wyobrażenia!.. Jego zaś kto uczył prawd wiary świętéj w dniach młodości?.. Kto był mu wychowawcą?

Chował się jako ptaki, wypadłe z gniazda, jako zwierz na pustyni, a późniéj jako opryszek wespół z opryszkami.

Czasem powstawała w nim myśl jakaś, niby lepsza... ale ta była jakoby w pomroce, jakaś jeszcze ciemna. Było to, rzekłbyś, dalekie

tylko przeczucie czegoś jeszcze nieznanego, leżącego wprawdzie w naturze człowieka, ale żywot wśród dzikich ustroni, wśród puszcz odludnych — żywot taki, z łupów i rabunku, nie mógł jéj doprowadzić do jasności.

Mimo to dziś już stracił Taras dawną pewność siebie i swojego działania.

Jakaś niebywała pierwéj chwiejność cechowała kroki jego dzisiejsze; *mołodcy* zaś wydawali mu się dzisiaj bardziéj podobni już złodziejom i rabusiom, aniżeli junakom z gór i górskich lasów.

Czynił jeszcze wprawdzie wyprawy z nimi, tu i owdzie, po *lackiéj*, to po węgierskiéj stronie, lecz czuł czasami, i to z dnia na dzień coraz częściéj, pewne jakieś znużenie, dawniéj niebywałe.

Mołodcy zaczajali się po wertepach Czeremoszów, to po zapadłych roztworach potoków Prutowych.... Odwiedzano nawet *płaje* węgierskie nad *Czarną*, nad *Białą Cisą*, zapuszczali się daleko na wschód, w głąb aż Bukowiny; ale *mołodca* naszego coraz to już bardziéj teraz nużyło. Nocy miewał coraz częściéj bezsenne. A kiedy obdzierano bezbronnych, dostawał wtedy nawet ochoty bronienia słabszych.... Nieraz pogroził druhom, nazywając ich po prostu rabusiami, a gdy mógł, nie dopuszczał do czynów ohydniejszych. Nazywali go wtedy *widminą*, taj tchórzem *pohanym*,— grozili mu, że go zabiją, ano na śmierć zatłuką, jakoby *pyrhę* (1) wściekłego; ale on stawał w takich razach w jednéj chwili nito żbik rozjuszony, pokazując, że ma jeszcze pazury ostre, jako dawniéj, a druhowie kładli ogon pod siebie, poznawszy, że to dawny jeszcze *mołodec*, któremu nie zazierać w oczy!

Gdy zaś przychodziło rzucać się w niebezpieczeństwa, był do tego zawsze najpierwszy: to jeszcze miało dlań urok, było jego życiem! Takiego téż szanowano druha.

Lecz gdy napadano na chaty spokojnych gazdów, po ciemnéj nocy, wśród pluty a zawieruchy górskiéj, w *nałyczmanach* (2) na twarzy, gdy męczono i torturowano ofiary, przykładając węgle do ciał rozżarzone, by wykryć kryjówki, gdzie duszą *srokowce*: wtedy poznawał, że jest w drużynie tylko łotrów, tylko zbrodniarzy! Wtedy miał ochotę porzucić zbrodniczą tłuszczę i wejść pomiędzy ludzi, co nie kradną, nie rozbijają, lecz w pocie czoła na życie pracują. Myśl ta płonęła już w jego duszy i nie dawała spokoju *mołodcowi*.

---

(1) *Pyrha*, pies złośliwy.

(2) *Nałyczman*, rodzaj maski na twarz, jakiéj używali dla niepoznania rabusie.

XVI.

Dnia jednego zostali *mołodcy* obskoczeni przez siły przemożne. Przychodziło im już uledz.

Dwóch z nich jeszcze do tego uciekło, zapadłszy gdzieś w gąszcz z pofałatanymi prawie łbami. *Watażkę* brano już w łyka.

Wtedy Taras widząc druhów całkiem już upadających, rzucił się jeszcze jak *źwir* zraniony, wydobywszy ostatnią z siebie siłę, w mgnieniu oka dwóch ze straży ubił.... ale ratując *watażkę*, rozrywając mu łyka czemprędzéj, dostał tak silnie kolbą po plecach, że mu pękła łopatka i syknął z wielkiego bólu. Ale mimo to, nie dał za wygranę i nieprzyjaciel musiał uchodzić rejteradą.

Tak uratował wodza i drużynę.

Watażka i *mołodcy* wybawieni zostali od szubienicy. Wiedzieli też dobrze, że gdyby nie Taras, wkrótce już ich ciała wisiałyby na haku na grę wiatrów, na urągowisko ludzi z sioła! Taras ich wybawcą: toż jemu od dzisiaj wieczna należy się wdzięczność! cześć jemu i sława dozgonna!

Klęli się, że teraz zato i jemu się odwdzięczą, jeśliby kiedy w podobną popadł przygodę.

Atoli gdy został po téj przygodzie z bokiem krzywym, z dorodnego *łegina* jeno kaleką: z dnia na dzień zaczęto dlań chłodnąć. Wdzięczność *mołodcowi* ulatywała z wiatrem. Zapomnieli o przykréj przygodzie, a nawet ci, co pierwsi zemknęli, wynosili się po nad niego.

Zwolna dawano mu do poznania, że jest im teraz tylko ciężarem. Poszturkiwano nawet tego, co nie miał dziś takiéj siły, ażeby się innym módz odbić. Śmieli się jakby z niedołęgi. Lekceważono *mołodca*, okazując mu pogardę, jako słabszemu.

Wtedy opanowało go rozczarowanie. Miał dla druhów jeno pogardę.

Poznał, że jest tylko między „złoczyńcami“, co potrafią kraść i rozbijać, ale nie mają popędów lepszych człowieka. Oni dziś się już mu wydawali takimi, za jakich uważał *mołodców* starzec z cerkwi Jasieńskiéj.

Że ratował krwią swoją i życiem własném druhów swoich, że się za nich poświęcił, za to teraz poniewierają się nim, okazują mu lekceważenie i pogardę, jako słabszemu. Gdyby był ich zdradził, tać wydał w ręce „mandatarom“, taj „ferwalterom“, przebaczonoby mu wszystko i jeszcze może dołożono nagrodę: zostałby dobrym nawet gazdą... a może i zyskał spokój wewnętrzny. Tak mu teraz odpłacają!

Miał dziś wielką gorycz w duszy.

Przygnębiony, nie mogąc już znesić urągowiska od tych, których od niechybnéj wybawił śmierci — haniebnéj, pełen żalu do wszystkich, pogardzony, ale i pogardzający, opuścił drużynę.

Puszczono go wolno; wiedziano bowiem, że nie umie zdradzać. A czemuż-bo mieliby go nie puszczać, skoro dziś już im niepotrzebny!

Taras poznał, że spędził życie między złodziejami i rabusiami. Odkąd przybył z Jasienia od tego starca, inaczéj już się na wszystko zapatrywał i z dnia na dzień innymi wydawali mu się druhowie jego. Inaczéj téż pojmował dziś słyszane tu i owdzie o *mołodcach* zdania.

Inne myśli, choć jeszcze ciemne, nurtowały w nim odtąd i tworzyły w duszy jego zamęt jakiś i niepewność, z czego sobie jednak sprawy zdać nie mógł.

Mimo to przychodził coraz częściéj do innego już przekonania. Poznawał dziś powoli, co *złe*.... I coraz bardziéj *mołodcy* w oczach jego stawali się czarni, coraz bardziéj występni.

Czuł teraz, że dźwiga i sam winę na sobie, bo przebywał tak długo z tymi ludźmi. Jakże to dziś naprawi?.. *Świaszczennyk* mówił w Jasieniu coś o pokucie, by zmazać winy dni przybytych... Jeżeli co już będzie dlań pokutą, toć ono, że wejdzie pomiędzy dawnych ludzi, na służbę, jako kaleka.

Tak zaszedł do jednéj z chat, pytając się, czyby nie mógł tu stanąć za *najmita* (1)?.. Tać chciałby pracować. Ale gdy pojrzano na jego kalectwo, na bok wykrzywiony, odpowiedziano po chwili patrząc nań, że *najmita* nie potrzebują, bo to gazdowstwo samo sobie wystarcza.

W innéj znów chacie prawie już dobijano targu, lecz gazdyni wpatrzona w obcego, miała przestrach w twarzy i zaraz coś na uboczu szepnęła do ucha gaździe swojemu, który pobladł,—i kazał się obcemu czémprędzéj wynosić z obejścia swojego; tłómaczył się tém, że jest ubogim za nadto, by potrzebywał sługi: choć poznać już można było po chacie przestronnéj, po całém otoczeniu, że to dostatniejszy był gazda. Ale ludzie ci poznali, kto on był, i z jakimi to przebywał...

Czy życie to z *mołodcami* pozostawiło takie na nim piętno? Czy kaleka dziś nie obudzi już zaufania?

Po niejakim czasie udało mu się, wreszcie stanąć u pewnego gazdy za *najmita*. Toż postanowił pracować, ile tylko zmoże, jakby chciał dziś nagrodzić spędzony w junaczém próżniactwie żywot, wynagrodzić to, co zaniedbał.

---

(1) *Najmit* parobek, sługa.

Byli też z niego radzi.

Lecz ponieważ nie żałował sił swoich, których jako kaleka nie miał zbyt wiele, ponieważ po nad możność swoję pracował, nakładano nań coraz więcéj. Na pochyłe drzewo każdy wyłazi. Nie wiedziano, że Taras wcale nie ze słabości poddaje się ich rozkazom, lecz już tak sobie postanowił.

Ponieważ pracował nad siłę, rany mu się dawne odnowiły, rany zdobyte w tylu przygodach: bolały krzyże, i to go zwaliło na łoże. Musiał przeleżéć czas niejaki. Atoli jeszcze nie wyzdrowiawszy, powstał—i daléj zaczął pracować. Jemu się teraz zdało, że już spokój uzyska. Mara dawno zmarłego teraz mu się nie pokazywała. Zdawało się nawet, że Bóg już przyjmuje pokutę jego na ziemi.

Lecz gazda, spostrzegłszy tu i owdzie rany otwierające się, zaczął się domyślać, co znaczą owe kresy na twarzy, co również i łopatka ta złamana... Oj! to niekoniecznie od przygód na połoninach. w obronie *marzyny* przed niedźwiedziem. Tu wszedł w sługę swego, a ten się przyznał, kim był właściwie i jaki pędził żywot. Lecz teraz, to już co innego! On dziś chce szczerze inny wieść żywot. Ale gazda, dowiedziawszy się o tém wszystkiém, oddalił zaraz *najmita*, nie pytając nawet, gdzie się podzieje nieszczęsny.

Ha! chciał być człowiekiem, jako inni, którym dola dała ojca i matkę, a w ojczystéj wsi pozostawiła;—on bez ojca, bez opieki od młodości, bez gazdowstwa, chciał się drugim wysługiwać, ale mu nie dano.

Szedł jak ptaszę wyrzucone ze stada, ze złamaném skrzydłem, i dumał, czemu dziś taki nieszczęśliwy... Wszak nie był przystąpił do drużyny z łakomstwa zysku, jak oni gazdowie na gospodarstwie, co żyjąc we wsi między spokojnymi sąsiady, niepoznani, wchodzili do drużyny, sprowadzając zbóje na kumy swoje a pobratymy, dzieląc się łupem na swoich zrabowanym?..

Wszak on nie mordował—nie zabijał bezbronnych mieszkańców, owszem czasami stawał nawet w obronie niejednego. Nikogo nie zdradził, nawet zbójów, choć miał po temu sposobność i zachętę. A dla niego czém byli inni?.. Ileż krzywd musiał dźwigać od zarania żywota! Czyż warte co takie życie?

Ale jeszcze nie chciał się poddać rozpaczy—nie chciał dopuścić, by czarne myśli w duszy jego wzięły górę. Toż zachodził do chatyn gazdów, błagając, by go przyjęto za *najmita*. Jednak wszędzie otrzymywał odmowę.

Czy jemu już na twarzy wyryto, że go ludzie się bali, nie wpuszczając do chat swoich spokojnych?... Czy od urodzenia już napiętnowany?..

Ziemia piękna i szeroka, łąki pachną rozkosznem siankiem, ogrody kwitną, ale nie dla niego! W rozworach rzek, w rozkosznych dolinach ciągną się chaty spokojnych mieszkańców, a w nich wesoła skupia się rodzina: on zaś tu samotny, opuszczony od wszystkich, ze społeczeństwa ludzkiego wyzuty, błąkać się musi, nie mogąc wprosić pod żadną strzechę, by mu pracować pozwolono.

I takim myślom oddany, zaszedł nad brzeg Czeremoszu, gdzie w dole woda po złomach kamieni burząc się i pieniąc kipiątkiem waru wpadała w czarną głębię, tworząc wir szeroki, pełen jakiejś ponuréj grozy.

Słońce zachodziło posępne, krwawe, chmury się zbierały; w powietrzu cisza była wieczoru, ale i groza wieczoru. „Zła“ nadchodziła godzina.

On patrzał w głębię. Jeden skok teraz, uwolni go od ciężaru życia całego.

Ale tu w téj saméj chwili stanęła mu w oczach przeszłość jego cała.

I widział Worochtę i Prut płynący pośrodku i one miejsca, gdzie biegał dzieckiem, i jeszcze inny obraz, smętniejszy, stanął mu w duszy. I żal mu się zrobiło... Ah! chciałby raz jeszcze przed skonem ujrzéć strony rodzinne i ludzi, których znał za młodu, choć mu oni nic dobrego nigdy nie uczynili.... ale mimo to ciągnęło go, zobaczyć jeszcze raz tych, co byli niegdyś świadkami jego młodości!... ah! widziéć jeszcze jednę duszę!... Może ona mu przebaczyć! Bo ciężko świat ten opuszczać i zostawiać po sobie przekleństwo tych, których się kochało!

XVII.

Przeszedł pasmo lesistéj, w górę wzniesionéj „*Kostryczy*“ i schodził już do długiego rozworu Prutowego.

Zdala dochodził uszu jego odłos z hukiem i szumem przewalającego się Prutu. A chociaż mocno był strudzony i rany mu się napowrót odezwały; jednakowoż szum wody ojczystéj przynosił jakby daleki odgłos dawno minionych czasów.

Spieszył się więc, a choć musiał chwilami przystawać, jednak się wysilał i schodził daléj ku jarowi Prutowemu.

Tyle wspomnień dawno minionych czasów tłoczyło mu się teraz w myśli, że kroczył jakby pijany. I nie wiedział, że mu coraz bardziéj robiło się gorzéj.

Piersiami cięźéj już oddychał, rany go piekły, w twarzy czuł krew palącą. Chwilami musiał przysiadać... Z wielkiego osłabienia

wyciągał się jakby chory... Rozbierała go naprawdę choroba jakaś, łamiąc mu kości. Usta miał spieczone, i palił go oddech własny. Mimo to podnosił się, gdy zmógł tylko i ciągnął dalej.

Gdy już wszedł w rozwór Prutowy, wąski, kamienisty, nader błotny, stawały mu w poprzek na drodze poprzewalane świerki, omszone, dogniwające, zapełniające długo ciągnącą się dolinę. Tu i owdzie potykał się o głazy ostre, wystające. Nieraz zapadał w roztopy błotne... ale szedł dalej...

Droga ta strasznie go męczyła.

Raz w raz musiał usiadać; jednak podnosił się z wysileniem, coraz większém i kroczył dalej.

On chwytał już powietrze, wiejące z kotliny *Worochty*, i to mu sił niejako dodawało. Choć niczego tu nie zaznał dobrego, ale każdemu miłe powietrze, gdzie spędził poranek żywota.

Rozglądał się na prawo i na lewo, przypominając sobie każdy załom, każdy zakręt, każdą prawie kupkę smereczyny.

Woń *caryn* owiewała go, i zdało mu się, że siły nawet przybywają. Lecz to było tylko złudzenie! On był nito senny: on marzył. Marzył o młodości, i zdało mu się, że dziś na prawdę młodszy.

Nareszcie stanęła przed oczyma jego cała kotlina wsi ojczystej.

Tu uklęknął, i łzy mu się z oczu puściły. Dawno już nie płakał. Było to niegdyś, przed laty, wtedy, gdy był jeszcze niewinnym.

Szedł nito pijany, zataczając się prawie. Chwilami przystawał, wpatrując się w przechodzącego, i zdawał się czegoś szukać w myśli, niby coś sobie odpominać... Lecz tu ściągnęło mu się lice, gdyż poznał, że tyle lat już przeszło... On dziś nie ten sam i ludzie nie ci sami. Na niego patrzano się, lecz nikt go nie poznawał.

Więc on tak już się odmienił?... Tyleż odbiegł od dawnego *legina*, że nic z tamtego dziś w nim nie pozostało?...

Były nawet chwile, że ujrzawszy dziecko, przestraszone widokiem obcego, przywoływał do siebie, chcąc temuż się bliżéj przypatrzéć, czyli to nie to samo, które niegdyś widywał: ale tu musiał śmiać się sam z siebie, jakoby nie wiedział, że już tyle zbiegło dni, o których jakoby zapomniał.

Nareszcie nie zdołał już wlec się dalej... nogi się pod nim chwiały, i usiadł przy drodze. Nie były to siły dawne, dzisiaj rozbudzone, ale wysiłek jeno w gorączce palący. On marzył półsenny.

I tu nie wiedział, ile mu tak godzin zbiegło.

Powietrze owiewało go upajające i zasnął.

A gdy się zbudził, noc już była i księżyc świecił w górze. Wypatrzył się, lecz zanim rozpoznał, gdzie jest, głowa mu spadła, oczy się napowrót zawarły i zaczął chrapać gwałtownie, to niby się bu-

dzić i napowrót zasypiać. A twarz mu wszystka pałała, choć ją oblewało światło księżycowe blade...

Przez sen urywane wymawiał słowa, potém sapał tylko. A gdy się obudził, było już rano. Zaczął się rozglądać i odpominać, gdzie jest i jak tutaj przybył...

Głowa ciężyła mu kamieniem, piekło go w środku, krew biła z całego lica, parząc go niejako. Próbował wstawać, lecz musiał napowrót usiąść. Po chwili przecie się wysilił i daléj z wielkim trudem zaczął postępować.

W tém zdybał jakąś niewiastę z sioła, śpieszącą po wodę do Prutu.

Ona spojrzała nań uważniéj. Nagle wstrzęsła się, wyrzekłszy z cicha: — „Dalibóg!... To on?... *Hospody Bożе*!“

I zaczęła drżeć na całém ciele.

On na nią popatrzył uważniéj, i zdało mu się, że tu chyba śni mu się tylko...

— Nie, to być nie może?... Tać jakby to już się tak stało?... Przecież to dziś... nie może... być... ona?...

— Tak... ta sama.

I tu pochyliła lice, pełne żalu głębokiego a smętku.

On spojrzał na nią pełen litości, jakby nie wierzył, że to ta sama istota. Tyle nędzy i cierpień wyryło się na tém pięknem, dziecięcém niegdyś obliczu.

— Niedola ta chodzi po ludziach, a nie po lesie... Ale ja ciebie zaraz poznałam... Mówiono o tobie tyle złego... Lecz ty nie wyglądasz, jak oni... Po chwili dodała: Ty przecież nie rozbijasz? Nieprawda? Ty nie napadasz ludzi?

— Jam rozbijał z równymi sobie zbrodniarzami... I tu pochylił głowę, jak winowajca. Potém dodał z goryczą: „Nie spodziewałaś się, że takiego zoczysz zbója?... Prawda, że wyglądam jako rabuś?... Ha! kto mnie widzi—ten przeklina tylko i ucieka!“ Tu uśmiechnął się gorzko.

— Nie... ty tego nie mówisz na prawdę... Ciebie bieda popchnęła?... Klnę się. że bieda!.. Jednak ty ich jużeś rzucił?... Tyś ich musiał przecież rzucić?... Nie prawda, żeś już dawno opuścił tamtych? I czekała niecierpliwie.

— Tak, jam ich opuścił... ale mimo to zawsze byłem z nimi i rabowałem. Wina na mnie cięży. I ty mną gardzisz teraz?.. O! ty mi nie darujesz nigdy, żem ja cię zrobił sierotą?... Ale... wierz mi... Ja nie chiałem... Klnę się na moję duszę, że nie chciałem. Mnie nie wiele już chwil pozostało do życia, bo rany się dawne rozwarły i pali coś w środku... a tak mocno... Patrz, jaki ja dziś słaby... Nie wiele

mnie już pozostało... Toć ja przed śmiercią kłamać nie będę... A ja ci mówię, żem jego nie chciał śmierci!

— Ona się weń wpatrzyła—i rzekła po chwili półgłosem:—Tyś go przecie nie zabił... *Bożе borony*! żebyś ty miał mi ojca zabijać!

I tu mu opowiedziała, o czém on nie wiedział. Opisała śmierć ojca, który wcale nie przez niego, lecz sam przez siebie umarł.

A po słuchającym rozeszło się niby jasne słonko. Był wzruszony. I krew uderzyła jeszcze raz żywiéj na lice jego. On czuł, że mu dziś jakby już lepiéj na sercu.

Ale to wzruszenie odjęło mu całkiem siły pozostałe. Ledwo co mógł się jeszcze zapytać ze drżeniem:

— Toż ty... teraz sama?... Czy ciebie żadnemu nie dano gaździe?...

— Ta jakby już nie dano?... Przysiadł wujko i przysiadła *maty* i dano mnie nieszczęsną drugiemu. Ale jakem się iść wzbraniała, tak i doli z nim nie było żadnéj. Wszyscy to widzieli.

Tu się zamyślił Taras.

— Czemuż to jego nie chciałaś?... Wszakeś potrzebowała gazdy?

— *Maty* potrzebowała i gospodarstwo nasze... Ale nie ja... Ja... ja już.

Tu pobladł Taras... On nie chciał dopuścić, by ta istota za nim.. ha! przez niego...

I nie chciał dokończyć w myśli... Boby to była okropna fatalność losu!

— Ale tyś chory?.. Ty dzisiaj głodny?.. Chodź do chaty, do mojéj...

Lecz on spojrzał tylko posępnie i westchnął ciężko.

— Ja do chaty, do twojéj... iść nie mogę...

— Ta czemu?... Czy ty mną już pogardzasz?... Ja dla ciebie zawsze ta sama... Tak długie lata *sumowałam*. I przy nim. On nie był moim *czełowikiem*, jeno przyjęto go jako gazdę do gazdowstwa... a ja byłam tylko ofiarą... Ah! jakież było nasze życie ono!... Ale toć już przeszło!... *Hospod Boh* zabrał jego. Nie chcę o nim źle mówić. Ah! oboje byliśmy nie dla siebie... Lecz ja mu *pochoron* sprawiła, jak należy, taj opłakała, choć mi było zawsze z nim źle.. oj! bardzo źle... I teraz daję za duszę jego.

Ale Taras się zamyślił—i rzekł sobie w duchu:

— Ha! ona dziś wolna i myśli może... nieszczęsna... o mnie, nie wiedząc, kto ja... dla niéj... Ah! *Hospody Boże*!

Tymczasem gorączka coraz mocniéj wzmagała się... ceglasty rumieniec wykwitał na licu...

Wzruszenie jeszcze pogorszyło stan choroby. Tylko nadzwyczajny wysiłek i przyzwyczajenie do trudów trzymały go niby przy życiu, ale już nie mógł się podnieść. Ona ciągnęła go do chaty, by go pożywić... On ją z lekka odpychał.

Nareszcie wyjąkał:—Na miłość *Hospoda Boha*!... Nie ciągnij mnie do waszéj chaty... Ah!.. Nie wspominaj o tém, co już było... Ja nie wiedziałem i tyś nie wiedziała... My oboje tu bez winy... Może inni... Ale nie do nas sąd należy!.. Lecz słuchaj! Ja... twoim... nigdy nie byłem... kochankiem. To była ciężka tylko zmora.

Ona się wypatrzyła i żal ją objął wielki. Toż rzekła z płaczem:

— O! nie mów tego! Ja tak długo *sumowałam*. Tyś nareszcie przyszedł, po latach... żeby mi powiedziéć.

— Tak, nieszczęsna, że ci byłem. Boże! dodaj mi siły!... Ja ci byłem, i dodał ciszéj:—bratem.

I tu jakby się przeraził... Krew mu już z pod serca jakoby zaczęła uchodzić.

— Ah! przeklinaj dolę, nieszczęsna dziewczyno!

Ona się wypatrzyła, jakby słów jego nic zrozumiéć nie mogła.

Tu dodał on:—Tak... twój rodzic był i moim... Potém już rzekł do siebie:—Ah! nieszczęsna moja *maty*, którą on uwiódł! Zmarło jéj się... tak wcześnie... Ah! w takiéj nędzy!

Niewiasta nic nie rzekła, jeno stanęła, jakby jéj mowę odjęło.

I było milczenie tych dwojga.

W powietrzu czuć było, jakby zbliżała się już godzina, która dwa razy w życiu człowieka nie nadchodzi.

On oddychał coraz cięźéj, i coraz widoczniéj ściągało mu się oblicze, a oczy mgłą zdawały się zachodzić. Nareszcie jęknął i zaczął charczéć, bo go chwycił ból w boku kurczowy... Ona się przestraszyła... Chciała ratować... Lecz daremnie!

Bił jeszcze rękami, jakby chwytał powietrze, ale sił już nie miał, i padł jak długi z rozwartemi usty, ze szklanemi oczyma...

A gdy słońce wyjrzało z za chmury, jego już nie było.

Tylko słychać było szept pacierzy. Ona sama jedna dziś pozostała, by przebłagać Boga za winy ojca i syna.





MABLY

(1709—1785).

Pisarz francuski, którego śmierci stuletnia rocznica przypadła w roku ubiegłym, zarówno jako człowiek i myśliciel godnym jest bliższego poznania. Prócz tego, z naszéj strony zasługuje on na szczególną uwagę, ze względu na sympatyę, jaką okazywał dla kraju naszego, któremu rok życia i kilka prac swych poświęcił.

Gabriel Bonnot de Mably, starszy brat filozofa Condillac'a, pochodził ze staréj, lecz niezamożnéj rodziny Delfinatu. W młodym jeszcze wieku wysłanym został przez rodziców, w Grenobli zamieszkałych, do Lyonu, gdzie pobierał nauki w seminaryum jezuickiém. Ukończywszy je, udał się do Paryża, magnesu, przyciągającego ku sobie podówczas, jak i obecnie, wszystkich żądnych stanowiska i wiedzy. Tu bywał przyjmowany na zebraniach u krewnéj swojéj, pani de Tencin, siostry kardynała-ministra, gdzie zgromadzało się najświetniejsze towarzystwo stolicy i gdzie bywał między innymi stałym gościem koryfeusz ówczesnego ruchu umysłowego, uczony i dowcipny Montesquieu. Młody Mably w tém doborowém gronie mężów stanu i nauki zdołał w krótkim czasie zwrócić na siebie uwagę wymową i znajomością spraw państwowych, bezustannie poruszanych na owych zebraniach. Gdy tedy w r. 1740 wydał pierwsze swe dzieło „Parallèle des Romains et des Français par rapport au gouvernement", przychylnie przyjęte przez publiczność i krytykę, pani de Tencin wyrobiła tak wiele obiecującemu krewniakowi miejsce sekretarza u brata swego. Kardynał, człowiek ograniczony, stworzony na intryganta dworskiego a nie na dyplomatę i polityka, bez skrupułu korzystał z jego pracowitości i wiedzy i powierzał mu sprawy największéj wagi. Tak w r. 1743 za inicyatywą i staraniami Mablego

zawarte zostało przymierze przeciwko Austryi między Francyą i Prusami, a w r. 1746 postanowienia kongresu w Bredzie powzięte zostały pod jego wpływem. Lecz mimo powodzenia i uznania, jakiém cieszył się na stanowisku działacza politycznego, Mably wkrótce zniechęcił się do swych zajęć i skorzystał z pierwszéj sposobności (1), by zamknąć dla siebie bezpowrotnie tak świetnie rozpoczętą karyerę. Charakter jego prosty i stały, umysł konsekwentny, nie mogły dostroić się do pierwszych wymagań ówczesnéj dyplomacyi— giętkości nieograniczonéj grzbietu i przekonań. To téż często późniéj, w licznych ustępach, traktujących o t. zw. wyższéj polityce europejskiéj, odzywa się o niéj z goryczą i pogardą, jaką natchnąć może tylko istotne przekonanie i osobiste, bezpośrednie doświadczenie (2). Zwolniony z więzów nieodpowiedniego dla siebie zajęcia, Mably w sile wieku usunął się od hałaśliwego życia „towarzystwa", by w nielicznem gronie przyjaciół oddać się rozmyślaniom nad sprawami pierwszorzędnéj wagi, rozstrzyganemi przez kierowników narodu, jak sam naocznie się przekonał, z krańcową lekkomyślnością i niesumiennością. Człowiek, który bez wielkiego zachodu mógł mieć majątek, sławę i urozmaicone życie, przepędził blisko 40 lat w zaciszu, spokojnie i jednostajnie, korzystając z małéj renty 3000 franków, podczas gdy naokoło niego ludzie wielkiego umysłu (3) tracili siły w pogoni za tém właśnie, czego on sam dobrowolnie się pozbawił. Umarł 23 kwietnia 1785 r.

Mably jako pisarz niemniéj jaskrawo wyróżnia się od współczesnych mu znakomitości: brak mu przedewszystkiém wspólnéj im wszystkim elegancyi stylu i owego „esprit", w ówczesnéj francuskiéj literaturze pięknéj i naukowéj tak rozwielmożnionego. W naukach, jak i w życiu całém, szukano wyłącznie przyjemnéj rozrywki; miały one nadać umysłowi, jak sztuka tańca ciału, należytą giętkość i układność towarzyską, nic więcéj. W tym téż duchu uczono się astronomii z salonowych dyalogów Fontenelle'a, filozofii ze skrzących dowcipem aforyzmów Diderot'a, historyi u Woltera, a psychologii i polityki według anegdot Helwecyusza; jakoż wobec takich wzorów sposób pisania Mablego musiał wydać się suchym i ciężkim. Drugą charakterystyczną odrębność Mablego stanowi, że życie swe po-

(1) Kardynał, będący jednocześnie arcybiskupem lyońskim, chciał unieważnić pewne małżeństwo protestanckie; Mably sprzeciwił się temu. — (2) Por. np. Oeuvres complètes de l'abbé de Mably. Paris 1797—1798. T. XIII. Des maladies politiques p. 205 i nast. „La théorie de la politique, comme celle de la médecine, offre à la raison les objets les plus interessans et les plus dignes de notre curiosité, mais la pratique en est rebutante et dégoûtante." T. XV. Du cours des passions ect, p. 149 i nast.—(3) Wolter np. z otwartością wielką, Rousseau z hipokryzyą.

święcił wyłącznie jednéj gałęzi nauk — sprawom społecznym i państwowym. Współcześni mu znakomitsi pisarze postępowali wręcz przeciwnie, pracując jednocześnie w najrozmaitszych kierunkach. Wolter pisze o grawitacyi, prawie, religii, historyi i o wszystkiém, Rousseau komponuje opery i urządzenia państwowe, Holbach pisze o polityce, chemii i filozofii, Condorcet o matematyce i ekonomii politycznéj, wreszcie Diderot tak dalece rozdrabnia genialne swe zdolności, że potrzeba stulecia całego dla złożenia syntezy jego działalności. Wśród całego tego różnobarwnego urozmaicenia jedyny niemal Mably, przez pół wieku analizując systematy polityczne różnych narodów i myślicieli, wytrwale stara się zbudować systemat możliwie doskonały. Temi odrębnemi cechami, głęboko zakorzenionemi w jego charakterze, objaśnia się nieprzyjazny stosunek, zachodzący pomiędzy Mablym a współczesnymi „filozofami", którym w wielu miejscach słusznie zarzuca powierzchowność i nienaukowość, a którzy wzamian odpowiadali kpinami (1). Jedyny z nich, którego cenił, był pokrewny mu duchem Rousseau i o nim téż z zadziwiającą przenikliwością wydał sąd, sprawdzony obecnie dopiero przez nowsze poszukiwania (2).

Chwila (w r. 1746), w któréj Mably cofnął się do życia prywatnego, zaznacza nietylko przemianę w nim praktycznego działacza politycznego na teoretycznego myśliciela, lecz stanowi jednocześnie decydujący przełom w jego przekonaniach. Kluczem do zrozumienia kierunku i rozwoju poglądów Mablega są jego studya nad historyą i literaturą klasyczną (3). Oddawał się im z zapałem jeszcze w seminaryum, a następnie silnym bodźcem pod tym względem było dlań znakomite dzieło Monteskiusza z historyi rzymskiéj (4). Pod niewątpliwym wpływem tego ostatniego napisaną została wspomniana wyżéj „Parallèle", w któréj nie znajdujemy jednak żadnéj z późniejszych zasad charakterystycznych Mablego. Ustroje państwowe narodów nowożytnych stawia tu niejednokrotnie wyżéj niż klasyczne, zbytek uważa za pożyteczny czynnik ekonomiczny, a władzę monarchy określa jako wszechmocną ograniczoną nie przez ustawę

(1) „On a parcouru superficiellement toutes sortes d'ouvrages et des sujets; pour peu qu'on ait alors de facilité on se croira un homme universel, parce qu'on a des morceaux sur tout." T. XIV. Des Talens p. 182 i nast.; także w inn. m. Z drugiéj strony por. Voltaire: Epître à Horace, lub Grimm: Correspondance, T. III, p. 201.— (2) „Il faut trancher le mot, quoiqu'il me paroisse dur: Rousseau, je le dis pour son honneur, étoit fou dans toute la force du terme." T. XIV, Des Talens p. 236.— (3) Porów. własne jego słowa T. XIII, De l'etude de la politique p. 148, 149. — (4) Wyszłe w 1734 r. Jest-to jedyne prawie współczesne mu dzieło, które Mably chwali bez ogródki; stawia je wyżéj niż Esprit des lois, por. T. XIII, p. 150.

lecz jedynie przez obyczaje (1). Atoli kilkuletni pobyt w ministeryum i bezpośrednie poznanie stanu społecznego i politycznego Francyi i Europy, wprowadziło do umysłu Mablego nowy czynnik — bezwzględny pesymizm, niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy. Obadwa te czynniki: optymistyczny pogląd na świat starożytny— jako rezultat teoretycznego wykształcenia, i pesymistyczny na świat współczesny — jako wynik doświadczeń życiowych, wytworzyły w swém połączeniu cały późniejszy system Mablego. Wtedy to tak znienawidził pierwsze swe dzieło, że nie wyrażał się o niém inaczéj jak z lekceważeniem i pogardą, a znalazłszy je razu jednego na stole u hrabiego Egmonta, rozerwał na kawałki wobec licznego zgromadzenia (2).

Pierwszy z wskazanych czynników znalazł niezadługo dalsze swe rozwinięcie w dwóch dziełach, wydanych w krótkich odstępach, „Observations sur les Grecs“ 1749 i „Observations sur les Romains“ 1751 r. W obydwóch znać silny wpływ Monteskiusza, wykazują one jednak niektóre charakterystyczne cechy późniejszych poglądów Mablego. U Greków ideał państwa upatruje on w Sparcie, a prawodawcy w Lykurgu, przekonamy się zaś wkrótce, jak stanowczy wpływ wywarły właśnie urządzenia spartańskie na dalszy kierunek jego myśli. W szkicu historyi rzymskiéj zwraca szczególną uwagę na prawa agrarne Grachów, w których doszukuje się żywiołu komunistycznego i które zastosował późniéj w swych projektach reformy własności ziemskiéj. Wreszcie zarówno u Greków jak i Rzymian potępia rozwój sztuk i zwiększenie bogactw i zbytku, niszczące poprzednią równość obywateli, w czém widzi główną przyczynę moralnego rozkładu i upadku politycznego.

W następnéj swéj pracy „Droit public de l'Europe“, powstałéj z luźnych notatek dla kardynała de Tencin, Mably naszkicował obraz nowożytnéj polityki państw europejskich. Jest-to szczegółowy rozbiór wszystkich traktatów politycznych, zawartych w ciągu stulecia od pokoju westfalskiego do połowy XVIII wieku. Dzieło to, owoc żmudnéj i samodzielnéj pracy, zapełniło ważną lukę w nauce i znalazło powszechne uznanie; zabronione we Francyi, drukowane było za granicą i tłómaczone na wiele języków europejskich (3). Owóż

(1) Parallèle Liv. III, p. 272, 318 i nast. — (2) Saint-Surin w Biographie universelle T. XXVI, p. 7. W wydaniu rewolucyjném 1794, „Parallèle“ nie została umieszczoną dla łatwo zrozumiałych powodów. Por. zresztą słowa Mablego w „Avertissement“ do pierwszego wydania Observations sur l'histoire de France, T. I, p. 88. — (3) Obowiązkowo wprowadzone jako podręcznik do uniwersytetów angielskich. Pierwsze wydanie w 2 tomach 1748, drugie zmienione 1754, trzecie kompletne w 3 tomach wyszło 1764 r.

w „Prawie państwowém Europy“ znalazło się wiele materyału dla owéj drugiéj podwaliny teoryi charakterystycznych Mablego, o któréj wspomnieliśmy wyżéj, jego pesymizmu politycznego. Zamiast otwartości i szczerości, jaką podziwiał w międzynarodowych stosunkach świata starożytnego, w nowożytnéj historyi Europy spotykał na każdym kroku fałsz i obłudę, zamiast interesów narodowych i państwowych widział zawsze i wszędzie uwzględniane interesa jednostek lub rodzin. Szlachetny protest przeciwko tym nowoczesnym zapatrywaniom na politykę i dyplomacyę wygłosił Mably w wydanych 1757 r. „Principes des négociations,“ gdzie, jakby w epilogu do poprzedniego dzieła, dowodzi potrzeby wprowadzenia do polityki pierwiastku etycznego. Myśli téj, tak dziwnie odbijającéj od współczesnych mu faktów, nie wyraża jednak jako deklamator frazeolog, lecz stara się uzasadnić ją utylitarystycznie, wykazując na zasadzie materyału historycznego, że niemoralna akcya polityczna jest jednocześnie niekorzystną, nie odpowiadającą swemu celowi, i odwrotnie.

Ukończywszy wspomnione wyżéj prace historyczne, Mably zabrał się do zsumowania i uogólnienia otrzymanych wyników społeczno-państwowych, a więc przedewszystkiém do określenia „praw i obowiązków obywatela.“ W treściwém dziełku, wydaném pod tym tytułem (1), w ulubionéj formie dyalogu (którą odtąd nadawał wszystkim prawie swym pismom) rozpatruje kwestye polityczne najwyższéj doniosłości w sposób samodzielny i śmiały, wychodząc z ogólnych zasad psychologicznych. W żądzy szczęścia, jako rezultacie instynktu samozachowawczego i zdolności rozróżniania między przyjemnością a przykrością, widzi pierwotny bodziec wszystkich czynów ludzkich. Na przeszkodzie szczęściu stają jednak nasze namiętności, sprawiające chwilową przyjemność, a które w ostatecznym wyniku przynoszą bolesne skutki; powstrzymuje zaś je i okiełznać się stara rozum, jako owoc dłuższego doświadczenia. Wreszcie, dla umożliwienia zwycięstwa rozumu nad namiętnościami, konieczną jest wolność wypowiadania rozumowanych wniosków i wprowadzania ich w czyn. Stąd wypływa określenie charakteru i zadania państwa: celem jego—możliwe szczęście obywateli, środkiem—rozumne zwalczanie ich namiętności, a zasadniczym warunkiem—wolność. Jeśli brak jednego z tych pierwotnych czynników, obywatele mają prawo i obowiązek zmienić ustrój państwowy w sposób odpowiedni. Wojny domowe, wywołane takiemi pobudkami, nie są bynajmniéj dla państwa szkodliwe, lecz przeciwnie, są to niejako zbawienne

(1) Wydanie pośmiertne 1790 r., napisane 1758.

operacye, uwalniające organizm od zgangrenowanego członka dla zapewnienia zdrowia całości (1). Nie należy się również obawiać, by wojny domowe nie stały się zbyt częste i wyrodziły w anarchię, gdyż za dostateczne zabezpieczenie pod tym względem służy wrodzony masom instynkt zachowawczy, oparty na sile przyzwyczajenia. Co się tyczy formy rządu, to Mably przedewszystkiém powstaje przeciw monarchii dziedzicznéj i wogóle przeciw wszelkiéj władzy dożywotniéj, jako niezgodnéj z dobrém i prawami narodu, jedyném źródłem wszelkiéj władzy (2). Przy téj sposobności wypowiada monarchii francuskiéj groźne *memento*, które wydaje się być proroctwem gotujących się wypadków (3). Ze stanowczością wielką przepowiada gwałtowne zmiany polityczne we Francyi i przewiduje zwołanie stanów generalnych; w ręku tych ostatnich, jak sądzi, spoczywa cała przyszłość narodu (4). Na konstytucyę angielską, tak wychwalaną podówczas przez świat cały za wzorem Monteskiusza, zapatruje się nader pesymistycznie i twierdzi, że żaden system zrównoważenia władz nie może przynieść korzyści, jeżeli zwierzchnia pozostaje dziedziczną, gdyż przez to musi ona nabyć z czasem stanowczéj przewagi nad innemi (5). Ten pogląd Mablego, którego błędność wykazała historya Anglii w ciągu ostatnich lat stu, spotyka się w wielu późniejszych jego dziełach i zasługuje na uwagę jako punkt wspólny z Rousseau'em. Wogóle wiele myśli z „Praw i obowiązków“ zostało późniéj rozwiniętych obszerniéj i konsekwentniéj w „Umowie Społecznéj“ i prawdziwie zastanawiającą jest zgodność tych dwóch samodzielnych umysłów w poglądach, do których doszli najzupełniéj niezależnie od siebie (6).

---

(1) T. XI, Droits et devoirs du citoyen. L. III, p. 221. L. IV. p. 250. Por. zupełnie podobne ustępy u Helwecyusza: „Les troubles sont salutaires, ce sont les tranchées qu'occasionne au malade le médecin, qui le guérit“ De l'homme Sect. IX. Ch. IX. Także De l'esprit Disc. II, Ch. IV. Podobnież powiada Diderot w swoich Reflexions sur le livre de l'esprit: „Comment rend on les moeurs à un peuple corrompu? Comme Medée rendit la jeunesse à son père, en le dépeçant et le faisant bouillir.“ Podobnież Holbach: Système de la nature I. Ch. IX. Ta zgodność zewnętrzna ma głębokie znaczenie ze względu na późniejszy przebieg rewolucyi. — (2) Dr. et dev. L. II p. 196 i nast. L. V p. 266 — (3) „Qui êtes vous? La nation vous a fait ce que vous êtes; Hugues Capet étoit sujet comme nous, et si vous l'ignorez, la nation peut faire éprouver à votre maison le sort, qu'a éprouvé celle de Charlemagne. La France ne vous appartient pas, c'est vous qui lui appartenez: vous êtes son homme, son procureur, son intendant... Quand vous ne voudrez plus reconnoître d'autre règle, que votre bon plaisir, vos peuples pourront bien reclamer les lois éternelles, invariables et imprescreptibles de la nature.“ Dr. et dev. L. II p. 211.— (4) Ib. p. 277 i nast. 296 i nast. — (5) Ib. L. II p. 209. — (6) Rousseau w „Confessions“ L. XII zarzuca Mablemu plagiat w „Entretiens de Phocion“ ze swego „Sur l'Inégalite“ i „Du contrat social;“ oskarżenie to upada jednak w obec wydania „Droits et devoirs,“ napisanych jeszcze 1758 r., podczas gdy „Contrat social“ wydany został dopiero 1762 r.

Te same zasady, jakie Mably wygłasza w „Prawach i obowiązkach“ ustami przedstawiciela cywilizacyi nowożytnéj, anglika, słyszymy, zastosowane do świata starożytnego z ust szlachetnego obywatela ateńskiego, Phociona. Lecz w „Rozmowach Phociona“ (wyd. 1763) Mably posuwa się o krok daléj i prócz negatywnego zadania państwa, zwalczania namiętności naszych, stawia pozytywne, popieranie i rozwój cnót obywatelskich. Cnoty te zasadnicze według niego są: miłość pracy, umiarkowanie w potrzebach i żądza sławy; wyłączonym zostaje patryotyzm, na miejscu którego stanąć winna kosmopolityczną „miłość ludzkości“ (1). Nietrudno dostrzedz, że zarówno cnoty powyższe są koniecznemi hypotezami wszelkiéj teoryi komunistycznéj, jako téż ów kosmopolityzm stanowi charakterystyczną cechę takowéj. To téż wydaje się, jakoby już podówczas podobne poglądy kiełkować poczynały w umyśle Mablego; nadto stwierdzeniem tego przypuszczenia jest bezwględny zachwyt, jaki on na każdym kroku okazuje dla prawodawstwa Lykurga (2), posiadającego, jak wiadomo, charakter komunistyczny. Forma rządu w Sparcie znajduje w Phocionie Mablego, choć ateńczyku, gorącego zwolennika: oświadcza się, wzorem Platona, przeciwko czystéj monarchii, arystokracyi i demokracyi i wychwala mięszaną formę Sparty, z podziałem władzy pomiędzy dwóch królów senat i lud (3). Już bo wogóle Sparta miała dla Mablego szczególny urok; we wszystkich swych dziełach wspomina o niéj z najwyższemi pochwałami (4) i być może miał słuszność, gdy razu jednego w rozmowie o sympatycznym dla siebie narodzie zawołał: „W Sparcie urodzony stałbym się czémś!“

„Rozmowy Phociona“ ukazały się w pierwszém wydaniu bezimiennie, jako tłómaczenie z greckiego, lecz gdy Towarzystwo berneńskie uznało je za najlepsze z napisanych w ciągu roku w Europie dzieł i przyznało autorowi nagrodę, (jaką w dwa lata późniéj otrzymał znakomity traktat Beccarii) Mably wystąpił z ukrycia i odrazu zwrócił na siebie powszechną uwagę. Niemniejsze powodzenie miało napisane około tegoż czasu dzieło o historyi Francyi od najdawniejszych czasów, które zjednało Mablemu u współczesnych przesadne bezwątpienia tytuły francuskiego Liwiusza i Tacyta. Pierwsza połowa „Observations sur l'histoire de France“ wyszła w roku 1765 i doprowadzoną została do Filipa Pięknego, druga wydana pośmiertnie—do Ludwika XIV. Pomiędzy dwiema temi częściami istnieje za-

---

(1) Entretiens de Phocion, T. X, p. 71—95. 103—112. — (2) Ib. p. 33. 53. 75, 76, 87, 113, 158 i inne. — (3) Ib. p. 51 (note) 52, 53. — (4) Np. T. XI. Doutes, p. 10. De la législation, T. IX, p. 43. 76.—T. XII. p. 13, 23, 237.

sadnicza różnica: w pierwszéj autor jest tylko historykiem i znajduje ideał prawodawcy w Karolu Wielkim; w drugiéj, którą nazwał swym testamentem, występuje wyłącznie polityk pesymista, który widzi w czarnych barwach całą przeszłość narodu, a w czarniejszych jeszcze przyszłość. Chociaż Mably w przedmowie do pierwszego wydania nazywa swe dzieło szkicem tylko, nie zaś historyą rozwoju politycznego, oparte jest ono jednak na poszukiwaniach źródłowych kierowanych zmysłem krytycznym; doznało też nader pochlebnego przyjęcia ze strony świata uczonego i doczekało się w r. 1823 drugiego wydania przez Guizota.

W dotychczasowych dziełach Mablego stopniowo uwidoczniał się coraz jaśniéj komunistyczny kierunek jego myśli. Jeszcze w „Droits et Devoirs“ poza główną nicią logiczną dyalogu zauważyć się dają częste wycieczki przeciwko prawu własności, wypowiadane jednak w formie paradoksalnéj, jako fantastyczne *pia desideria.* Prawo własności zostało tam wyłączone z rzędu praw pierwotnych, przyrodzonych a zaliczone do późniejszych, umówionych w społeczeństwie i posiadających jako takie warunkową moc tylko (1). Własność to źródło wszystkich nieszczęść ludzkości (2), a jednak wspólność własności jest tylko piękną chimerą, o któréj marzą poeci, gdyż przy najrówniejszym podziale wszystkich dóbr danego narodu, poprzedni stan musi powrócić najpóźniéj w trzeciéj generacyi, wskutek różnorodności warunków przyrodzonych. Jeżeli Mably mimo to szkicuje w „Droits et devoirs“ plan idealnego państwa równości, gdzie obywatele znoszą owoce swéj pracy do magazynów publicznych, skąd znowu wybierani w tym celu przez ojców rodzin nadzorcy rozdzielają produkta odpowiednio do potrzeb jednostek, gdzie żądza sławy i poważania, a nie chciwość, stanowi dźwignię życia społecznego, opartą na sile opinii publicznéj, gdzie poeci i artyści wszelakiego rodzaju ustępują miejsca pracownikom (laboureurs), wyrabiającym jedynie przedmioty niezbędnego użytku—to myśli podobne sam nazywa fantazyami i szaleństwami (folies), którym oddaje się z rozkoszą, lecz o niewykonalności których nie wątpi. Zupełnie inaczéj występuje w wydanych 1768 r. „Doutes proposés aux économistes;“ (3) już nie jako marzyciel fantastyk, lecz jako krytyk rozpowszechnionych uprzedzeń, nie cofający się przed żadnemi wnioskami logicznemi, daje tu szkic całego późniejszego swego systematu. Dziełko to stanowi rozbiór wyszłéj w r. 1767 książki krań-

(1) Dr. et dev. L. III p. 240. — (2) Ib. L. IV, p. 257 i nast. (3) „Doutes proposés aux philosophes économistes sur l'ordre naturel et essentiel des sociétés politiques.“ (T. XI zbioru dzieł).

cowego fizyokraty Mercier'a de la Rivière p. t. „Ordre essentiel et naturel de la société," napisanéj w duchu panującéj szkoły Quesnay'a. Odróżniając trzy rodzaje własności, „osobistą," (*personelle*), pod którą rozumie prawo rozporządzania swoją osobą), ruchomą i ziemską. Mably tylko w pierwszéj widzi prawo przyrodzone, nieodłączne od człowieka. Własność ruchoma, o ile ją stanowią przedmioty niezbędne do zachowania życia (zdobycia pożywienia, obrony itp.), również winna być tolerowaną, jako bezpośredni wypływ własności „osobistéj." Co się jednak tyczy własności ziemskiéj, ta z łatwością może zostać zniesioną z pożytkiem dla społeczeństwa, jak tego dowodzą urządzenia spartańskie w świecie starożytnym lub w nowożytnym zaprowadzenie przez jezuitów wspólności gruntów w Paragwaju. Niesłusznym byłby ze strony zwalczanych w ten sposób fizyokratów zarzut, jakoby tylko ziemia uprawiana przez właścicieli dawała należyte zyski, gdyż zwrócić go można zarówno przeciw większéj własności ziemskiéj, tak wychwalanéj właśnie przez ekonomistów szkoły Quesnay'a. Zaprowadzenie własności ziemskiéj, przy niemożliwości udziałów zupełnie równych ilościowo i jakościowo, musiało wywołać potęgującą się z postępem czasu nierówność pomiędzy ludźmi. Nierówność ta nie jest przyrodzoną, lecz wytworzyła się w społeczeństwie jedynie jako skutek własności ziemskiéj; z natury wszyscy ludzie nietylko pod względem praw, lecz faktycznie byli najzupełniéj równi a jeśli zdarzały się przypadkowe wyjątki, to usunięcie ich winno było stanowić główne a łatwo wykonalne zadanie polityki.

Lecz jakże teraz, przypuściwszy zupełną przyrodzoną równość ludzi, trwającą nadal nawet po wstąpieniu w związki społeczne, objaśnić powstanie tych związków? Konsekwentny myśliciel materyalistyczny, Holbach, poszukując przyczyn powstania społeczności politycznéj, doszedł w tym samym prawie czasie, co Mably, do wprost przeciwnych wniosków. Gdyby ludzie byli równi pod względem fizycznym i duchowym, nie mieli by żadnéj potrzeby różniczkowania zajęć a zatém i łączenia się w społeczeństwa, nie tylko więc nie należy się uskarżać na przyrodzoną i konieczną nierówność, lecz winniśmy ją błogosławić—oto rozumowanie Holbacha (1). Mablemu, przeczącemu wzajemnie dopełniającéj się różnorodności jednostek społecznych, nie pozostało nic innego, jak odwołać się do Arystotelesowego zmysłu społecznego i kłaść nacisk na moralno-społeczne

(1) „La nature est forcée de diversifier tous ses ouvrages... cette diversité met entre les hommes de l'inégalité... qui nous met dans l'heureuse necessité de nous associer itd. Holbach, Système de la nature (wyd. londyńskie 1771 r.) T. I p. 129 i nast.

uczucia człowieka, przyjaźni, miłosierdzia itp. (1). Jestto bardzo ważny punkt w systemacie Mablego, gdyż posłużył mu jako podstawa dla komunistycznych pomysłów prawodawczych, gdzie odśrodkowe popędy egoistyczne zwalczać zamierzał przy pomocy pobudek altruistycznych.

Z zacisza rozmyślań teoretycznych, których kierunek staraliśmy się wskazać, Mably wyrwany został i odwołany do życia praktycznego w r. 1769. W tym roku konfederacya barska zwróciła się do dwóch najsławniejszych podówczas pisarzów politycznych, J. J. Rousseau'a i Mablego, z prośbą o program reformy konstytucyi polskiéj. Inicyatorem téj myśli był Michał Wielhorski, kuchmistrz w. ks. litewskiego, poseł jeneralności w Paryżu, człowiek nader czynny i ruchliwy, który, przy osobistéj znajomości z obudwoma pisarzami, łatwo zdołał ich skłonić do przyjęcia tak zaszczytnego mandatu. Program Rousseau'a wyszedł w 1772 r.; Mably ze zwykłą sobie sumiennością postanowił przedewszystkiém zwiedzić kraj, któremu miał podać rady w najważniejszych sprawach i najcięższéj chwili jego bytu. Zabawiwszy pewien czas w Krakowie, gdzie zapoznał się z wybitnymi działaczami politycznymi, udał się na Wołyń, do Horochowa i tutaj kilka miesięcy przepędził. Powróciwszy po roku niespełna do Paryża, napisał zaraz w 1770 r. swe „Du gouvernement et des loix de la Pologne,“ poświęcone Wielhorskiemu, a w następnym 1771 r. dodał księgę objaśnień. Rzecz cała ukazała się w druku dopiero w 1781 r.

Za główne zadanie i warunek wszelkiéj reformy państwowéj Mably poczytuje ścisłe rozgraniczenie władz, prawodawczéj i wykonawczéj. Pierwsza reprezentowaną być winna przez zgromadzenie prawodawcze, składające się z 600—700 posłów wybieralnych, przyczém każde województwo ma wysyłać jednaką ich liczbę. Przy wyborze posłów zachowane być winny następujące warunki: wybrany powinien być zupełnie niezależnym, nie znajdować się na cudzéj służbie, być jedynym przedstawicielem swéj rodziny w zgromadzeniu itp. Przy zgromadzeniu prawodawczem należy urządzić możliwie wielką liczbę komitetów pomocniczych, przez które przechodzić mają wszystkie projekta prawodawcze, a to w celu zabezpieczenia zgromadzenia od zbyt nieoględnych postanowień. Co się tyczy liberum veto, to Mably widzi w niem instytucyę bezwzględnie szkodliwą, któréj jednak natychmiastowe i zupełne zniesienie byłoby trudném i niebezpieczném. Dla tego radzi ograniczyć liberum veto do jednomyślnych przeczących głosowań posłów jednego wojewódz-

(1) Doutes. L. I. II.

twa, zupełne zaś zniesienie pozostawia biegowi czasu (1). Wogóle na każdym kroku ostrzega przed pośpiechem i nieoględnością w reformach. „Polska zbyt ciężko jest chorą, by wyzdrowienie nie miało być nader powolném“ (2). Władza króla winna zostać możliwie ograniczoną (w rodzaju króla szwedzkiego lub doży weneckiego), jedyném jego zadaniem „wypełnienie próżnego miejsca;“ dla téj téż przyczyny władza królewska powinna być dziedziczną. To ostatnie odstąpienie od poprzednich swych poglądów Mably wyjaśnia w ten sposób, że zamierzał projektować dla Polski nie najlepszy, lecz najlepszy możliwy ustrój państwowy i dla tego rachować się musiał z daném położeniem i warunkami. Zresztą sądzi, że niebezpieczeństwo, jakie według niego przedstawia monarchia dziedziczna, w znacznym stopniu może być zażegnane przez ustanowienie instytucyi, która łączyła by w sobie główną część władzy wykonawczéj, zazwyczaj tak nadużywanéj w ręku króla (3). Taką instytucyą ma być senat, wybieralny, pod prezydencyą króla i podlegający jedynie nadzorowi zgromadzenia prawodawczego. Prócz tego, stosownie do potrzeb, zgromadzenie prawodawcze naznacza ministrów; ci zaś, zarówno jak i senatorowie wybierani zostają czasowo; król jest jedynym dożywotnim dygnitarzem (4). Nareszcie Mably wspomina o chłopach, w których ucisku widzi jedną z głównych przyczyn nieszczęść Rzeczypospolitéj: „ten lud, w którym nie uznają człowieka, może uważać się tylko za wroga Rzpltéj, dajcie mu wolność, a stanie się jéj obrońcą“ (5). W żydach polskich upatruje żywioł nader szkodliwy dla kraju, lecz winę przypisuje jedynie ograniczeniu ich praw, „które skazują ich niejako na okradywanie was z subtelnością;“ najlepszym środkiem ku ich uobywateleniu—umożliwienie im pracy rolniczéj i zniesienie ograniczeń.

Nader zajmującém jest porównanie zapatrywań Mablego na reformę Polski z wyż wspomnianemi „Considérations sur le gouvernement de Pologne“ J. J. Rousseau'a. Nie wdając się w szczegółowe zestawienie, zaznaczyć wypada główne sprzeczności: w kwestyi dziedziczności korony, przeciw czemu Rousseau stanowczo protestuje (6), a także w kwestyi liberum veto i konfederacyi, których broni

(1) T. VIII, Du gouv. et des lois itd. Ch. II. Także Éclaircissemens Ch. IV.—(2) Du góuv. et des lois. Ch. III. — (3) Ib. Ch. V. VI. Także Éclairciss. Ch. V. Por. téż De la situation de la Pologne p. 37 i De l'étude de l'histoire (T. XII) p. 102—110.—(4) Du gouv. et des lois. Ch. VII. IX. — (5) Ib. XIII. XIV. — (6) „Au moment que cette loi (de rendre la couronne héréditaire) sera portée, la Pologne peut dire adieu pour jamais à sa liberté“.., i daléj: „Je pense, qu'une couronne élective avec le plus absolu pouvoir vaudroit encore mieux pour la Pologne, qu'une couronne héréditaire avec un

i radzi zachować z drobnemi modyfikacyami, jako dzielne zabezpieczenie prawdziwéj wolności (1). Wogóle Rousseau, który na rzeczy patrzał zdaleka, przez szkła swego systematu i entuzyazmu dla spraw wolności i reformy, widział w Polsce tylko starożytne cnoty republikańskie, a w elekcyach, konfederacyach i t. p.—przejawienie tych cnót z korzyścią dla państwa. Mably, poznawszy na miejscu stosunki i ludzi, zapatruje się na swe zadanie mniéj optymistycznie i w jego rozprawie zauważyć się daje obawa złych instynktów i zwyczajów mas i brak wiary w bezinteresowność jednostek, niestety zbyt uzasadnione. Z tego względu podróż do Polski była dla Mablego jednem z najcięższych rozczarowań w życiu i ostatecznie utwierdziła w nim ów gorzki pesymizm i niewiarę w ludzi, jakie go do końca życia nie opuszczały. W wielu późniejszych pismach wspomina z bólem o smutnych doświadczeniach, które zrobił w Polsce (2); zwłaszcza zaś nacehowane są goryczą dwa drobne pisma, Polski specyalnie dotyczące a wydane pośmiertnie w r. 1794 (3). Pierwsze z nich p. t. „Le banquet des politiques,“ w formie listu z Krakowa do przyjaciela w Paryżu, opisuje wrażenia podróżne i owych polaków „tak niepodobnych do swych pięknych portretów paryskich.“ Mably, zaproszony na „obiad polityczny“ przez pewnego hrabiego i wysokiego dygnitarza, w sposób trafny i dowcipny a tak niezwykły u niego charakteryzuje współbiesiadników, generała saskiego, szlachcica polskiego i ekscelencyę gospodarza. Rozmowa o stanie i przyszłości Polski wykazuje dosadnie, jak dalece każdy z nich przy rzetelnym nawet patryotyzmie ma jednakże na oku egoistyczne swe cele i pobudki. Kiedy generał widzi jedyny ratunek dla kraju w dynastyi saskiéj, konserwatywny szlachcic znajduje go w powrocie do dawnéj nieograniczonéj wolności szlacheckiéj, a ekscelencya lawiruje ogólnikami, starając się zawsze płynąć z prądem. Jednocześnie wszyscy ci patryoci bynajmniéj nie przypisują sobie winy nieszczęść kraju, ani wogóle nie szukają jéj wewnątrz, lecz wszystko zwalają na czysto zewnętrzne i przypadkowe okoliczności, których również przypadkowa zmiana może znowu powrócić dawne złote czasy. „W rezultacie, powiada Mably, nie wiedziałem. czy mam śmiać się z Demokrytem, czy płakać jak Heraklit“, a przykre to uczucie potęgować się musiało

---

pouvoir presque nul.“ Radzi przez osobne prawo zabronić synowi zająć tron po ojcu. Rousseau Considérations Ch. VIII. XIV. — (1) Ib. Ch. IX. — (2) „Je me suis si lourdement trompé sur le compte des Polonois, que je n'affirmerai jamais rien sur des ouïdires... En arrivant en Pologne tous mes héros ont disparu et je n'ai trouvé, que des Sarmates, qui ne savent ni réflechir, ni combiner leurs actions, capables de tout dans un moment, mais incapables de rien suivre pendant deux jours et de songer au lendemain“ itd. T. XIII Notre gloire ou nos rêves p. 408 i nast. — (3) T. XIII zbioru dzieł.

w miarę, jak się przekonywał, że opisane przezeń jednostki nie są bynajmniéj wyjątkami. Gdy jednak w r. 1770 pomimo smutnych spostrzeżeń liczył jeszcze cokolwiek na pomyślne wypadki polityczne (rozpoczętą właśnie wojnę rosyjsko-turecką) i przypuszczał możność powolnego wprowadzenia reform przy spokoju i bezpieczeństwie na zewnątrz,—po rozwianiu i tych złudzeń ostatecznie zwątpił o Polsce. W napisanéj około 1777 r. „Situation de la Pologne" nie żywi już żadnéj złudnéj nadziei i radzi światłym Polakom porzucić bezskuteczne zabiegi i usunąć się od życia publicznego „jak Cycero po upadku Pompejusza," by pracując każdy w swym zakątku nad podniesieniem materyalném i umysłowém kraju, przygotować fundament dla lepszéj przyszłości. Rozpatrując główne możliwe zmiany w stosunkach politycznych Europy, Mably w żadnéj nie znajduje zbawienia dla Polski; stąd z chłodną logiką rachmistrza politycznego wnioskuje, że „należy ograniczyć się być człowiekiem, jeśli niepodobna być obywatelem." W téj ostatecznéj swéj konkluzyi zapoznaje on zupełnie znaczenie i charakter czynnika narodowościowego i staje na gruncie kosmopolitycznym, zgodnie z całym kierunkiem współczesnéj mu epoki oraz własnego systematu.

Po tém zboczeniu w dziedzinę rzeczywistości, Mably snuł daléj swe teorye społeczne, a mianowicie zajął się rozwinięciem i połączeniem w jedną całość luźnych rozumowań, zawartych w dotychczasowych jego pismach. Uczynił to w wyd. 1776 r. dziele „De la législation ou principes des lois" w sposób konsekwentny i systematyczny.

Prawa, któremi rządzić się winny społeczeństwa ludzkie, są stałe i niezmienne, niezależne od warunków przyrodzonych, a oparte jedynie na duchowych, wspólnych wszystkim ludziom własnościach (1). Dla tego też prawodawca „nie powinien studyować termometru, lecz afekta", a więc przedewszystkiém znane nam już z poprzednich wzmianek (w „Doutes") „przymioty społeczne (qualités sociales), czyli

---

(1) „Qu'importent des plaines, des montagnes, un sol plus sec, plus humide, plus ou moins fertile, le voisinage de la mer ou d'une grande rivière et cent autres pareils accidens pour decider des lois les plus propres a faire le bonheur de l'homme? La nature des climats change-t-elle la nature de son coeur? N'a-t-il pas partout les mêmes besoins, les mêmes organes, les mêmes penchans, les mêmes sens, les mêmes passions et la même raison?" T. IX. De la législ. L. I Ch. 1, p. 17, 18. Por. także T. XII. De l'étude de l'histoire: „Le sort des états tient à des principes fixes, immuables et certains" (p. 14). Il n'est pas vrai que les rayons du soleil plus ou moins perpendiculaires décident du gouvernement, que chaque peuple doit avoir.... que la forme du gouvernement, qui seroit la meilleure dans un pays, fut la pire dans un autre" Ib. p. 64. Por. téż T. X. Entretiens de Phocion p. 30, 31.

pewne mimowolne instynkta, poprzedzające wszelką refleksyę, które mocą naszego pociągu do przyjemności i obawy bólu pobudzają nas do wzajemnego zbliżania się i pocieszania, wzajemnéj miłości i wzajemnych przysług" (litość, wdzięczność, nadzieja, potrzeba kochania i t. p.). Lecz te instynkta społeczne łatwo wyradzają się lub słabną pod wpływem instynktów egoistycznych; dla utrzymania pierwszych w czystości i sile natura użyla wszechpotężnego środka—równości ludzi, równości koniecznie ścisłéj (rigoureuse), gdyż wszelkie od niéj zboczenie musiałoby z biegiem czasu wzrastać w stosunku geometrycznym. Pierwotni ludzie otrzymali od przyrody jednakie organa, potrzeby, rozum, nie było śród nich ni wielkich, ni małych, bogatych ani biednych, i dzięki temu cieszyli się zupełną szczęśliwością (1). Powstaje pytanie: co było przyczyną, że ludzie, na przekór zamiarom opatrzności przyrodzonéj, wytworzyli między sobą tę rażącą nierówność, jaka istnieje w rzeczywistości, sięgając najdalszych epok historycznych i przybierając tak zatrważające rozmiary w czasach najnowszych? Na tak postawione pytanie Mably znajduje tylko jedną odpowiedź: tą zgubną przyczyną było zaprowadzenie własności.

Już przedtém (2) Mably zapatrywał się na własność jako na urządzenie po-społeczne; w niniejszém dziele stara się ten pogląd głębiéj uzasadnić. Społeczeństwo utworzone zostało w czasach, kiedy ogromne a słabo zaludnione przestrzenie z łatwością dostarczały mieszkańcom pożywienia zapomocą myśliwstwa i rybołówstwa i nie było żadnéj potrzeby uciekać się do zmudnéj i stałéj pracy koło roli. Późniéj nawet, gdy rosnąca ludność zmuszoną została zwrócić się do pracy rolniczéj i ziemia nabrała wartości, nie było jednak podziałów a więc i własności ziemskiéj, lecz uprawa roli, jak poprzednie wyprawy myśliwskie, odbywała się pospołem na całéj należnéj do społeczeństwa danego ziemi, z równym między wszystkich obywateli podziałem otrzymywanego plonu. Podobne przypuszczenie znajduje uzasadnienie w konserwatyzmie mas i w taki sposób wspólność własności nietylko przestaje być chimerą, lecz staje się koniecznością przyrodzoną, a zagadkę natomiast stanowić powinno pojawienie się własności. Jedyne objaśnienie téj zagadki znaleść można w zjawianiu się śród owego pierwotnego społeczeństwa komunistycznego jednostek leniwych, które korzystały z pracy bardziéj pilnych; ci ostatni dla ukrócenia nadużyć zaprowadzili własność ziemską, z któréj następnie powstała już wszelka inna. Po części, być może, wpłynęło tu także niezadowolenie z powodu niesprawiedliwego podziału owoców wspólnéj pracy przez urzędników publicznych, którym czyn-

(1) De la législ. L. I. Ch. 2. — (2) Dr. et dev. por. wyżéj.

ność ta była powierzoną. Bądź-co-bądź, było to nieroztropném, nieoględném postanowieniem, błędem „prawie niemożliwym“ (presque impossible de faire), gdyż powyższym nadużyciom można było zapobiedz za pomocą czasowych środków administracyjno-prawodawczych. Podobnież łatwo było usunąć wrzekomą nieprodukcyjność pracy komunistycznéj, zastępując brak bezpośredniego osobistego zainteresowania pracowników chęcią sławy i poważania, przy odpowiednich prawach o odznaczeniach (wieńce laurowe Grecyi i t. p.). Zresztą obfitość produktów jest tylko środkiem a nie celem dla społeczeństwa, pomimo że od niéj zależy ilość ludności, gdyż „lepiéj, żeby na ziemi całéj żyło tylko milion szczęśliwych ludzi, niż obecne niezliczone mnóstwo nędzników i niewolników“ (1). Jest-to, ze względu na epokę, nader godny uwagi pogląd, który znajdujemy podówczas jeszcze tylko u Woltera (2); powszechne mniemanie, dzielone przez najwybitniejszych pisarzów ówczesnych uważało ilość ludności za niezawodny miernik dobrobytu kraju (3).

Ustanowiwszy w pierwszych rozdziałach ideał stosunków społecznych, Mably przechodzi do stanu faktycznego państw europejskich, tak dalekiego od owego ideału i stawia pytanie następujące: czy i w jakim stopniu drogą środków prawodawczych można zreformować spaczone stosunki społeczne i zbliżyć je do pierwotnych, przyrodzonych, komunistycznych? Przedewszystkiém tedy całkowite przywrócenie tych ostatnich uważa za wręcz niemożliwe, gdyż wskutek długowiecznego istnienia własności wyrodziły się pomiędzy ludźmi zasadnicze różnice, których w zupełności zgładzić niepodobna. „Państwo idealne założyć by można w obecnych czasach (w. XVIII) tylko na brzegach Ohio lub Mississipi, a Platon ze swoją rzecząpospolitą mógłby znaleść powodzenie jedynie w lasach Afryki, dokąd nie zabłąkały się jeszcze nasze żądze i namiętności.“ Europejski zaś prawodawca-reformator znajduje się w położeniu żeglarza, którego przeciwne wiatry zwracają z obranéj drogi, i który, unikając ich naporu, nie wprost lecz pod kątem zdąża do celu. „Namiętności, wytworzone przez własność, są tém dla państwa, czém wiatry dla morza; nie należy wbrew im postępować, gdyż porwą za sobą śmiałka i zatopią go bezpowrotnie.“ Mably maluje w najczarniejszych barwach położenie państwa, w którém ustanowione raz prawa własności bądź przez samowolę jednostek, bądź drogą prawodawczą

---

(1) De la législ. L. I. Ch. 3. — (2) „Le point principal n'est pas d'avoir du superflu en hommes, mais de rendre ce, que nous en avons, le moins malheureux, qu'il est possible“ Voltaire. Dictionnaire philos. Art. Population, Sect. 2.—(3) Por. np. Rousseau. Du contrat social L. III. Ch. IX.

podlegają skrzywdzeniu i naruszeniu. Jednakże, zarówno jak wolność jednostek bywa ograniczaną w razie, gdy używają jéj ze szkodą dla innych jednostek lub państwa, podobnież państwo ma obowiązek ograniczać prawo własności obywateli, jeśli zastosowane w swéj pełni przynosi ogółowi szkodę. W rezultacie zadanie prawodawcy redukuje się do walki z dwiema najzgubniejszemi namiętnościami, wypływającemi z prawa własności i stanowiącemi wieczną groźbę dla dobrobytu państw: chciwością i ambicyą (1).

Chcąc zapobiedz chciwości jednostek, dążącéj ku powiększeniu różnic pomiędzy obywatelami, państwo jako całość pierwsze winno dać przykład umiarkowania w swych potrzebach i wymaganiach. Należy zmniejszyć, o ile się daje, podatki, znieść wszystkie podatki pośrednie a obciążyć bezpośrednim tylko ziemię; w odpowiedni téż sposób winny uledz zmniejszeniu wydatki państwowe. Na miejscu pomocy pieniężnéj państwo ma natomiast korzystać z czynnych usług swych członków: wszystkie urzędy winny być sprawowane bez wynagrodzenia, gdyż każdy obywatel, jak dotychczas płacił podatki, tak obecnie ma obowiązek pełnić darmo służbę państwową. Drugim środkiem przeciwko chciwości są prawa o zbytku (somptuaires), które zasługują na najpilniejszą uwagę prawodawcy. Żądza bogactw z konieczności musi słabnąć, gdy nie ma możności ich użycia, co właśnie osiągnąć się daje przez najsurowsze zabronienie zbytku. Tu Mably, w sposób przypominający gorące tyrady Rousseau'a, powstaje przeciw zbytkowi pod wszelką postacią, do którego zalicza sztuki piękne, poezyę i t. p. i stawia znowu za wzór ukochaną swą Spartę, „przenoszącą dobre prawa nad sztukę“ (2). Prawa o zbytku powinny dotyczéć mieszkań, mebli, pokarmu, odzieży, służby, słowem wchodzić we wszystkie szczegóły życia prywatnego, najlżejsze bowiem uchybienie pod tym względem może miéć nader szkodliwe skutki dla całego systemu, a przytém „nie ma praw łatwiéj wykonalnych.“ Handel i przemysł, jako główne źródło zbytku, zasługują na macosze traktowanie ze strony państwa i jest-to jednym jeszcze dowodem wyższości starożytnych, że brzydzili się handlem i pozostawiali go niewolnikom.

---

(1) De la législ. L. I. Ch. 4. Por. także T. XII. De l'étude de l'histoire p. 239 i nast.

(2) „J'espère, qu'on laissera aux arts nécessaires une certaine grossièreté et qu'on ne retablira jamais les arts inutiles.... A quoi peut nous être bonne une académie de peinture?... Laissons croire aux Italiens que leurs babioles honorent les nations“ i t. d. De la législ. p. 88. Por. także Entretiens de Phocion, gdzie wychwala prawo Lykurga, zakazujące używać do wyrobu mebli innych narzędzi prócz piły i siekiery, i prawo Platona, „według którego każdy malarz zostaje zobowiązany rozpocząć i ukończyć swój obraz w jednym dniu.“ p. 86.

W ścisłym związku z prawami o zbytku, ograniczającemi korzystanie z bogactw, znajdują się prawa, ograniczające skupianie się bogactw w ręku jednostek lub rodzin, a więc przedewszystkiém prawa agrarne i spadkowe. Pierwsze, których wzór stanowią ustawy agrarne Grachów, określając maximum ziemi, jakie posiadać wolno obywatelowi, prócz politycznego osięgną i cel ekonomiczny, gdyż, jak twierdzi Mably, drobna własność ziemska jest produkcyjniejszą niż wielka (wbrew wprost przeciwnym a panującym mniemaniom fizyokratów). Co się tyczy urządzeń spadkowych, powinny one, również za przykładem praw rzymskich (dawniejszych), ograniczyć wolność testowania i prawa linii bocznych oraz zabronić przechodzenia majątku jednéj rodziny do drugiéj drogą zapisu. Prócz tego w wypadkach specyalnych należy zastosować osobne przepisy: tak córka jedynaczka wnosi mężowi tylko trzecią część spadku po zmarłym ojcu a resztujące dwie trzecie otrzymują dwaj „przybrani bracia“ podług wyboru opiekunów; spadek, pozostały po zmarłym bez prawnego spadkobiercy, rozdzielonym zostaje pomiędzy biednych miejscowych (nie zabiera go państwo, które ma dawać zawsze przykład bezinteresowności) i t. p. W końcu osobne prawa, których zresztą bliżéj nie określa, powinny stanąć na przeszkodzie zbytniemu powiększaniu majątków obywateli przez tranzakcye zagraniczne i, sprowadzając do minimum handel i stosunki z sąsiadami, ochronić jednocześnie państwo od ich złego wpływu (1).

Niemniéj ważną dla dobrobytu państwa jest walka z drugim wrogiem równości a zatém i szczęścia ludzkiego — ambicyą, któréj jednak nie należy utożsamiać z cnotliwą żądzą sławy. I tutaj przedewszystkiém państwo jako całość przodować powinno. Należy z zasady wyrzec się wszelkich zdobyczy terytoryalnych i tylko w razie przeludnienia przesiedlać część ludności do kolonii, którym pozostawioném być winno prawo zupełnego odłączenia się od metropolii i utworzenia państwa samodzielnego. W tém miejscu Mably przepowiada oderwanie kolonii amerykańskich od Anglii, na kilka miesięcy przed rozpoczęciem właściwéj walki, a wkrótce ta przepowiednia (którą znajdujemy zresztą jeszcze w wydaniu 1764 r. „Droit public“) miała w zupełności się sprawdzić (2). Daléj, dla ukrócenia ambicyi urzędników państwowych należy możliwie powiększyć ich liczbę i podzielić władze, a także zmniejszyć czas służby w stosunku odwrotnym do obszerności zakresu władzy (3). Urzędy powinny wszystkie być wybieralne, a wszelkie wybory odbywać się nie przez

(1) De la législ. L. II. Ch. 1. — (2) Por. także Ib. p. 198. — (3) Ib. L. II. Ch. 3. Podobnie Rousseau: Considérations p. 473.

tajemne skrutynium lecz przez publiczne głosowanie, aby każdy głosujący stał zawsze przed sądem opinii publicznéj. Zniesienie podziału na stany, który tak silnie podtrzymuje ambicyę, choć wielce pożądane, jest jednak obecnie niemożliwém w zupełności; należy więc przynajmniéj rozdrobnić je i powiększyć ich liczbę, by zmniejszyć różnice i ułatwić przejście z jednego w drugi (1).

Po określeniu zadań władzy prawodawczéj pozostaje jeszcze określenie istoty jéj faktycznéj i sposobu przejawienia. Widząc jedyne źródło wszelkiéj władzy państwowéj w narodzie, Mably nie zgadza się jednak z poglądem (Rousseau'a), jakoby tylko powszechne zgromadzenia ludowe były uprawnione do postanowień prawodawczych i sądzi, że dostateczném zabezpieczeniem wolności są dokładne instrukcye wyborców, których trzymać się winni ściśle członkowie zgromadzenia prawodawczego (2). Szczegółowsze uwagi Mablego w téj kwestyi znajdujemy zresztą w projekcie reformy dla Polski. Co się tyczy systemu kar, to Mably, niezgodnie ze współczesnym mu humanitarnym prądem w literaturze, pozostaje dość surowym; tak znosi zupełnie ułaskawianie przestępców i zachowuje karę śmierci za rozmyślne zabójstwo i zdradę stanu, którego jednak przestępstwa nie określa ściśle (3). Godną głębokiéj uwagi jest zgodność jego pod tym względem z Rousseau'em (4); obadwaj dla urzeczywistnienia swych teoryi uznawali potrzebę silnych środków represyjnych.

Nareszcie wspomniawszy jeszcze o wychowaniu publiczném młodego pokolenia. któremu za wzór stawia spartańskie, Mably ze szczególną uwagą zwraca się do kwestyi kultu religijnego. W religii widzi jedną z najtrwalszych podpór społeczeństwa, gdyż podtrzymuje ona moralność wiarą w życie przyszłe i wszechobecność Boga, i to nawet w takich razach, gdzie państwo z całym aparatem kar i środków uprzedzających byłoby bezsilném (5) „Jeśli niema Boga, niema moralności“ i ateiści, jeżeli zechcą być konsekwentni, zmuszeni będą dojść do czystego materyalizmu a więc i fatalizmu zjawisk „związanych nierozerwalnym łańcuchem przyczynowości,“ unicestwiając w ten sposób wszelką rożnicę między moralnie dobrém i złém, sprawiedliwém i występném, „Katonem i Katyliną.“ Z tego względu ateizm przedstawia bez porównania większe niebezpieczeństwo dla państwa, niż najbardziéj zwyrodniały poganizm, który w świecie starożytnym nie przeszkodził bynajmniéj rozkwitowi naj-

---

(1) Ib. L. II. Ch. 4.—(2) Ib. L. III. Ch. 2, 3.—(3) Ib, Ch. 4.—(4) Por. Rousseau: Du contr. soc. L. II Ch. 5; L. IV. Ch. 2 note. — (5) Por. także Entret. de Phocion p. 97 i następne.

wznioślejszych cnót obywatelskich. „Należy się zatém od państwa więcéj tolerancyi doktrynie jakiegoś mustego lub bramana, niż naukom Epikura i Spinozy.“ Propaganda ateistyczna powinna być karaną za pierwszym razem pięcioletniém więzieniem, a w razie recydywy zamknięciem na całe życie (1). Jednakże czysta, filozoficzna wiara w Boga niewystarczającą jest dla celów praktyczno-państwowych; dla tłumu potrzeba kultu, działającego na wyobraźnię, podtrzymującego w sposób widoczny i bezpośredni wierzenia religijne, potrzeba świątyń, ołtarzów, ceremonii pobożnych. A więc i filozofowie deiści przynoszą szkodę dla ogółu i zasługują na karę, choć łagodniejszą cokolwiek niż ateiści (2). Niemniéj szkodliwém i niebezpieczném bywa tworzenie się w państwie różnych sekt religijnych: stąd wniosek, że religia państwowa winna być wyrażoną w sposób jasny i krótki prostego katechizmu i że zabronioną zostaje wszelka teologiczna analiza i krytyka takowéj (3). Rozumując w taki sposób, Mably dąży do zupełnego zjednoczenia kościoła i państwa i znowu w nader ważnym i charakterystycznym punkcie schodzi się z politycznemi teoryami Rousseau'a (4).

Poświęciliśmy więcéj miejsca rozpatrzeniu „Prawodawstwa“ Mablego, gdyż dzieło to stanowi właściwie ostatnie stadyum rozwoju jego przekonań politycznych, ostateczny niejako wynik pracy życia całego. We wszystkich późniejszych swych pismach nie posuwa się daléj, czyni tylko zastosowania otrzymanych wniosków i rozwija szczegółowiéj niektóre części systematu. Napisana dla młodego księcia Parmy i Placencyi w r. 1778 rzecz „De l'étude de l'histoire“ zawiera w streszczeniu znane nam już poglądy z pewnemi, drobnemi zresztą modyfikacyami ze względu na stanowisko czytelnika, dla którego była przeznaczoną. Znajdujemy tu obszerniejsze rozwinięcie poglądu na historyę, jako na szkołę moralności, i opartą na téj zasadzie krytykę działań politycznych państw europejskich, przed którą łaskę znajduje tylko Sparta i Szwecya. W wydanéj w r. 1782 „Manière d'écrire l'histoire“, Mably z tego samego punktu widzenia rozpatruje całą znaną mu literaturę historyczną, szczególniéj zaś rzymską i francuską. Przy jednostronném swém kryteryum potępia ze stanowczością i bezwzględnością wielką najznakomitszych pisa-

(1) De la législ. L. IV. Ch. 2. „L'athéisme est toujours plus funeste aux hommes que la guerre, la famine et la peste“ Ib. p. 265. — (2) L. IV. Ch. 3. Za pierwszym razem więzienie, póki nie dadzą obietnicy poprawy; za drugim—3 lata więzienia, a w razie trzeciokrotnej recydywy wieczne zamknięcie. — (3) Ib. L. IV. Ch. 4. „Le gouvernement doit être intolérant.“ Ib. p. 301. — (4) Por. Rousseau. Du contr. soc. L. IV. Ch. 8. Zaznaczyć wypada, że w téj kwestyi Mably, ze względów zarówno subjektywnych jak i objektywnych, był bardziéj krańcowym.

rzów, Tacyta, Polybiusza, Hume'a, Robertsona, Gibbona, Woltera (1). „Principes de morale", które zabronione zostały przez cenzurę sorbońską i pojawiły się w druku w r. 1784, pomimo tytułu nie przedstawiają nic nowego i są jedynie parafrazą uwag, zawartych w „Rozmowach Phociona" o stosunku namiętności do życia społecznego. Ciekawém jest jeszcze zapatrywanie Mablego na kobiety, o których wspomina w wielu miejscach i między innemi w „Zasadach moralności." Odzywa się o nich zawsze z największą pogardą (2), przypisuje im główną winę zepsucia obyczajów i rozluźnienia węzłów małżeńskich i kreśli nader czarno obraz życia rodzinnego i towarzyskiego ówczesnéj Francyi. Dla tego też kilkakrotnie powtarza kategorycznie żądanie, by państwo albo trzymało kobiety w zamknięciu domowém, albo „zrobiło z nich mężczyzn", t. j. dało im w zupełności te same co mężczyznom prawa i wychowanie, by tak lub owak unicestwić szkodliwy wpływ na społeczeństwo wrodzonych im złych instynktów (3).

W tym samym czasie spełniło się oddawna przepowiadane przez Mablego oswobodzenie kolonii amerykańskich, a Mably na żądanie posła Stanów Zjednoczonych w Paryżu, Adamsa, napisał (w tymże 1784 roku) „Observations sur le gouvernement et les lois des Etats-Unis d'Amérique. Rzecz ta, w któréj, nie znając warunków miejscowych, z jednostronnego punktu widzenia swych teoryi czyni liczne nieuzasadnione zarzuty konstytucyom trzynastu Stanów, została przyjętą za oceanem z wielkiém oburzeniem. W różnych miastach Stanów rzucano książkę Mablego w błoto i palono ją na stosach. Pomimo to niektóre obawy Mablego względem Stanów Zjednoczonych w rzeczywistości również się sprawdziły, jak dawniejsze pomyślne jego przepowiednie. Tak, w dogodném położeniu handlowém Stanów i łatwości szybkiego zbogacenia się upatruje źródło przyszłéj sprzedajności obywateli i urzędników młodéj rzeczypospolitéj; przewiduje niesnaski między południowemi i północnemi Stanami przy różnych warunkach klimatycznych i prawodawstwach itp.

„Uwagi o Ameryce" były ostatniém dziełem Mablego, jakie ukazało się w druku za jego życia. Nieprzychylne przyjęcie „Uwag"

(1) Najwięcéj dostaje się Wolterowi: „Sa mauvaise politique, sa mauvaise morale, son ignorance et la hardiesse avec laquelle il tronque, défigure et altère les faits." T XII. De la manière i t. d. p. 265. „L'histoire universelle de Voltaire n'est qu'une pasquinade." Ib. p. 298. Także Ib. p. 336 i nast. Zresztą Wolter zawsze był mu antypatycznym; por. T. XIV. Des Talens p. 182—184 i 221—226. Du Beau p. 301. T. XV. Du développement de la raison p. 2 i nast, p. 78 i nast.— (2) „Des petites mijorées, abymées de luxe, d'oisiveté, de mollesse et de minauderies étudiées i t. p. T. X. Principes de morale p. 199 i nast. Ib. 279—292. — (3) Entret. de Phocion p. 76. De la législ. p. 244.

przez świat cały i napaści, jakie cierpieć musiał tak z powodu tychże, jak i kilku pism poprzednich, zniechęciły go najzupełniéj do publicznego wygłaszania swych myśli. Powiększyło to jeszcze jego pesymizm i mizantropię i słusznie od tego czasu sam sobie wyrzucał „de mêler de l'humeur dans sa philosophie.“ Wobec tego trzy tomy pośmiertne jego pism mało przedstawiają rzeczy zajmujących i nie wymagają szczegółowego rozbioru, zwłaszcza, że traktują przeważnie o bieżących kwestyach politycznych (1). Obszerniejsze i ogólniejszéj treści rozprawy „Du développement de la raison“ i „Des passions dans la société“, kręcąc się w kółku dawniejszych pomysłów autora, stanowią tylko wyraz gadatliwości zgorzkniałego starca. To samo niemal powiedziéć można o innym większym traktacie „Du beau“, w którym obszernie rozwija tezę, „że istnieje wieczna walka pomiędzy pięknem politycznem i moralnem, a pięknem sztuk i nauk i że te różnorodne i wrogie sobie piękna z natury swéj wzajemnie się wyłączają“ (2). Nareszcie należy się wzmianka artykułowi o handlu zbożowym, gdzie Mably powstaje przeciw fizyokratom i wolnohandlowcom i radzi wobec panującego podówczas we Francyi głodu przedsięwziąć energiczne środki przez określenie cen zboża, zabronienie wywozu zagranicę i t. p. Jednocześnie zwraca uwagę na nieporządki w różnych częściach Francyi, jakich dopuszczał się lud wygłodzony i ostrzega przed gorszemi jeszcze następstwami i spotęgowaniem zaburzeń (3). Była to ostatnia przepowiednia „proroka nieszczęścia“ (4), która wkrótce miała się spełnić w nieoczekiwanych przez nikogo rozmiarach.

Rewolucyjna myśl XVIII wieku streszcza się w żądaniu wolności i równości. Podwójne to hasło zawiera w sobie dwa pojęcia zasadniczo sprzeczne i wykluczające się nawzajem. Lecz tylko pierwsze wyraża główny kierunek myśli i czynu rewolucyjnéj Francyi; drugie stało się dążeniem jednostek, które uledz musiały w nierównéj walce. Jednostką taką był Mably i pozostał odosobniony, był nią Babeuf nieco późniéj w sferze czynu i skończył na szafocie. Stąd wypływa podwójna zasługa Mablego: pisarza, który powstając przeciw panującéj jednostronności zwrócił uwagę na nieobliczonéj doniosłości kwestye i człowieka, niezłomnie trzymającego się niepopularnéj idei, w którą wierzy.

---

(1) Są to: w T. XIII. De l'étude de la politique. Notre gloire ou nos rêves. T. XIV. De la paix d'Allemagne. De la mort de l'imperatrice-reine. T. XV. Le Compte rendu. La retraite de m. Necker. — (2) T. XIV. Du beau p. 272. — (3) T. XIII. Du commerce des grains p. 269 i nast.— (4) Przyjaciele nazywali go „prophète de malheur.“ Brizard: Éloge de Mably p. 84.

Szymon Askenazy.



LISTY CZESKIE.

XIII.

Od ostatniego listu mego, t. j. od drugiéj połowy 1885 r., stan rzeczy w Czechach nie polepszył się bynajmniéj, możnaby raczéj powiedziéć że pogorszył się jeszcze; ja zaś zmuszony jestem znów powiedziéć to, co już kilkakrotnie powtarzałem, że najważniejszym objawem w naszych stosunkach publicznych jest walka narodowościowa, wobec któréj wszystko inne staje się, nie powiem, nic nieznaczącém, ale o wiele mniéj doniosłém, aniżeli być by mogło w innych warunkach. W téj walce rozstrzyga się istotnie kwestya istnienia lub niebytu narodu czeskiego, a jeżeli wykażę, iż tak jest rzeczywiście, w takim razie nie będę potrzebował dowodzić, że właściwie obojętną jest rzeczą, czy ów naród, pod tym lub innym względem przedstawia objawy jakiejś żywotności, gdyby ostatecznym wynikiem walki narodowości miało być upragnione przez Niemców unicestwienie narodu czeskiego.

Nie chcąc być źle zrozumianym i protestując stanowczo przeciwko przypuszczeniu, jakobym co do przyszłości Czech hołdował pesymizmowi, który według mego najgłębszego przekonania niczém nie jest usprawiedliwiony, muszę przedewszystkiém oświadczyć, że nie wierzę bynajmniéj, ażeby naród czeski, jedynie dla pięknych oczu szowinistów niemieckich wyrzekł się prawa do swego istnienia. Przeciwnie, żywię nadzieję, dotychczas niczém niezachwianą, że naród czeski wyjdzie zwycięsko z ciężkich zapasów, jakie wciąż staczać musi przeciwko coraz jawniéj i wyraźniéj występującym zapędom wielkoniemieckiéj żądzy panowania i dostarczy całemu cywilizowanemu światu dowodów, że w XIX chrześciańskiém stuleciu, w wieku wolności politycznéj ludów europejskich, nawet mały sto-

sunkowo naród nie da się dobrowolnie skazać na śmierć polityczną, jeżeli tylko ma potrzebną siłę do życia i poważne pragnienie zachowania swéj egzystencyi.

Jeżeli jednak trzymam się téj nadziei i trwam w silném przekonaniu, że naród czeski ma przed sobą lepszą przyszłość i zapewnione istnienie, to nie mogę wszelako ukrywać sam przed sobą, że téj przyszłości, téj egzystencyi zagrażają jeszcze niemałe niebezpieczeństwa i że dla odwrócenia tych niebezpieczeństw potrzeba będzie całkowitéj, właściwéj ludowi czeskiemu siły odpornéj.

Kto chce grożącemu niebezpieczeństwu przeciwdziałać ze skuteczném powodzeniem, ten przedewszystkiém powinien zdawać sobie jasno sprawę z natury niebezpieczeństwa, nie lekceważyć go ani też nie przeceniać; a kto następnie pragnie je odwrócić, ten musi pamiętać o drugim warunku powodzenia: żeby sił swoich dobrowolnie nie rozpraszać, lecz wobec jednego dla wszystkich niebezpieczeństwa, we wspólnym je skupić wysiłku. Pod jednym i pod drugim względem dzieje się w nas niezupełnie tak, jakby dziać się powinno lub mogło. Tu i owdzie niebezpieczeństwo bywa jeszcze bardzo lekceważone; ale w ostatnich czasach występuje ono (rzekłbym prawie na szczęście dla nas) tak wyraźnie, że zupełna świadomość jego natury stać się musi wkrótce ogólną w całéj inteligencyi narodu czeskiego. Naturalném następstwem niedostatecznéj jeszcze znajomości grożącego nam niebezpieczeństwa jest brak jedności w naszym obozie narodowym, wynikający z często osobistych pobudek, który jednak zniknie w chwili, kiedy wobec wybuchającéj burzy rozkaz „wszyscy na pokład“ wszędzie się rozlegnie.

Zamierzając dać czytelnikowi zupełnie przedmiotowy obraz naszego położenia obecnego, scharakteryzuję najprzód w jasnych słowach i bez ogródki niebezpieczeństwo, które nam zagraża, następnie równie szczerze powiem o rozterkach w naszym obozie, które naturalnie potęgują tylko to niebezpieczeństwo.

Niemcy chcą zrobić z Czech (a gdyby się dało z Morawii i Szląska) drugi Szlezwig, w którym życie narodowe zagrożone jakoby obcém panowaniem, tylko przez ścisły związek z potężném państwem niemieckiém, a więc przez jego interwencyę może być na przyszłość zabezpieczone. Takie jest w krótkich słowach wyrażone, właściwe dążenie tak zwanego „krańcowo-narodowego stronnictwa“ Niemców czeskich. Ruch narodowy wśród Niemców w Czechach ukształtował się w tym celu i w tym kierunku zupełnie odmiennie niż dawniéj. Hasło w szeregach „krańcowo-narodowych“ streszczone w słowach: „nie chcemy organizować ani partyi konstytucyjnéj, ani niemiecko-austryackiéj, lecz wytworzymy natomiast stronnictwo nie-

miecko-narodowe" — ma znaczenie odrębne, oparte na zupełnem przekształceniu dawniejszych zapatrywań i dążeń. Poprzednia niemiecka partya konstytucyjna dążyła do zabezpieczenia sobie na podstawie konstytucyi 1861 roku owéj przewagi politycznéj w Austryi, która Niemcom przy pomocy tejże saméj konstytucyi i *ad hoc* sztucznie obmyślanéj ordynacyi wyborczéj miała być zapewnioną nawet w krajach, gdzie (jak w Czechach i w Morawii) ludność niemiecka stanowi mniejszość. Kiedy Niemcy przekonali się po 1879 r., że przewagi narodowéj w Austryi nie zabezpieczy im wpływ rządu, który jest tylko niezupełnie wrogo dla Słowian usposobiony (ministeryum Taafego), kiedy nawet przy Szmerlingowskiéj ordynacyi wyborczéj ujrzeli się w sejmie czeskim w mniejszości, przestali sami nazywać się „partyą konstytucyjną" i opozycya niemiecka w wiedeńskiéj radzie państwa nadała sobie nazwę „zjednoczonéj lewicy." Dzień 26 lutego, t. j. rocznica nadania tak zwanéj konstytucyi lutowéj, stracił już dla Niemców w Wiedniu charakter uroczystości politycznéj. Jeżeli jednak partya niemiecka, tak długo u steru rządów stojąca, przestała poniekąd uważać konstytucyą lutową za swoję narodową świętość, to wysoko w jéj szeregach stawiano, „austryacką, polityczną samowiedzę", „austryacką ideę państwową" i stronnictwo usiłowało zabezpieczyć sobie znaczenie polityczne w państwie austryackiém, jak niemniéj potrzebne do tego wpływy, ogłaszając się wyłącznie uprzywiliowanym strażnikiem téj „austryackiéj samowiedzy politycznéj", téj „austryackiéj idei państwowéj." Rzecz prosta, że według ściśle podmiotowego zapatrywania się téj niemieckiéj partyi, „austryacka samowiedza polityczna" i „austryacka idea państwowa" była nie czém inném, jeno koniecznością utrzymania niemieckiéj przewagi narodowéj nad nie-niemieckiemi ludami Austryi, a zatém zapanowanie nad większością owych nie-niemieckich ludów, konstytucyjnie uprzywilejowanéj mniejszości niemieckiéj.

Kamieniem obrazy dla tych samolubnych dążeń niemieckich, był naród czeski w królestwie czeskiém i w margrabstwie morawskiém (w pierwszém stanowiący $^3/_5$, w drugiém $^3/_4$ całkowitéj ludności) i poważne jego dążenie do politycznego i narodowgo równouprawnienia. W celu usunięcia tego kamienia obrazy, wprawiono w ruch wszelkie dźwignie agitacyi narodowéj. I przytrafiło się żądnéj panowania partyi austryacko-niemieckiéj, jak owemu uczniowi czarodzieja w znanéj balladzie Goethego: wywołała duchy, których teraz napowrót zakląć nie może; dała początek agitacyi wśród Niemców w Czechach, któréj ster inne siły z rąk jéj wyrwały i wytworzyła w tym kraju sytuacyą, która nietylko jest groźną dla istnienia narodu czeskiego, ale zaczyna być niebezpieczną dla całości pań-

stwa austryackiego. Firma nie nazywa się teraz „niemiecko-austryacką“, lecz „niemiecko-narodową“, co ma znaczyć (jak to się już jawnie wypowiada w organach publicystycznych tak zwanéj „krańcowo-narodowéj partyi niemieckiéj“), że należenie do Austryi jest dla tego stronnictwa rzeczą podrzędną, a ciążenie do wielkiego państwa niemieckiego musi być uważane za główny cel niemiecko-narodowych dążeń.

Nastąpiła więc tymczasem w łonie stronnictwa niemieckiego w Austryi rozterka, która zaraz przy początku okresu parlamentarnego w wiedeńskiéj radzie państwa tém się objawiła, że „zjednoczona lewica“ dawniejszego okresu rozpadła się na dwa kluby „niemiecko-austryacki“ i „niemiecko-narodowy.“ Co ma oznaczać ten rozdział, wypowiadają nam wyraźnie organa krańcowéj partyi niemiecko-liberalnéj w Czechach. Jeżeli przywódcom dawnego stronnictwa niemieckiego szło o pochwycenie na nowo w swoje ręce steru rządów, bo wiedzą oni dobrze, że łączą się z tém rozliczne korzyści materyalne, to kierownicy krańcowych narodowców otwarcie wypowiadają, że inne są ich cele; a gdy dawniejsi przywódcy robią wszelkie wysiłki, żeby utrzymać w całém stronnictwie niemieckiém jedność a przynajmniéj jéj pozory, nie chcąc bądź-co-bądź wyrzec się samolubnych celów,—krańcowi narodowcy oświadczają przeciwnie bez żadnéj ogródki, że ta jedność faktycznie już nie istnieje, i że oni bynajmniéj nie są skłonni służyć tym panom za narzędzie do osiągnięcia osobistéj pozycyi i osobistych korzyści. Najwyraźniéj wypowiedziała to gazeta „Rumburger-Zeitung“, organ krańcowych narodowców w Czechach, w artykule skierowanym przeciwko posłowi do rady państwa, Plenerowi. Baron von Plener, deputowany od egerskiéj izby handlowéj w Czechach, powszechnie znany kandydat na ministra, jedna z najpierwszych, jeżeli nie najpierwsza zdolność finansowa, jak niemniéj jeden z najlepszych mówców w radzie państwa, człowiek niewątpliwie wysoce utalentowany, może być uważany za prototyp téj klasy parlamentarystów niemieckich, którzy za pomocą obalenia obecnego systematu rządowego dojść pragną do przywrócenia przewagi niemieckiéj i do zapewnienia sobie osobistéj władzy w charakterze członka gabinetu na wskróś niemieckiego. Plenerowi idzie naturalnie bardzo o to, żeby sił stronnictwa niemieckiego, t. j. dzisiejszéj opozycyi nie rozpraszać i nie utrudniać tym sposobem dojścia do wytkniętego celu, ale jeszcze więcéj na to baczyć, aby całkowicie nie uniemożebnić osiągnięcia tego celu nieostrożném występowaniem jawnie anti-austryackich zachcianek i dążeń. Więc w początku grudnia 1885 r. wypowiedział Plener w tym duchu mowę w niemieckiém Kasynie w Pradze, mówił o *dawnych*

tradycyach, których sztandar zawsze wysoko trzymać zamyśla i starał się na ich podstawie dowieść, że między klubami „niemiecko-austryackim“ i „niemiecko-narodowym“ nie istnieje właściwie żadna różnica zasadnicza i istnieć nie może. Na to dała mu krańcowo-liberalna gazeta „Rumburger-Zeitung“ bardzo ostrą i dla wszystkich zrozumiałą odpowiedź. Plener, pisze ten dziennik, powinien przestać uważać się za *noli me tangere* i trzeba raz jasno wypowiedzieć, że jego poglądy podzieli w całości szczupła tylko garstka posłów sejmowych (niemieckich). Mowa Plenera jest obrazą dla deputowanych należących do „klubu niemieckiego.“ *Teraz właśnie należy zerwać z dawnemi tradycyami.* „Precz zatém z frazesami o koniecznéj jedności, którą na szwank narażają nasze postanowienia i czyny..... ....przedewszystkiém jednak strzeżmy się urojenia, jakoby nie było rzeczywiście żadnéj różnicy między niemiecko-austryackim klubem Herbsta, Chlumeckiego, Plenera (znani kandydaci na ministrów) i niemieckim klubem Pickerta, Strachego, Knotza (przywódcy krańcowych narodowców w Czechach). *W planach Plenera co do przywrócenia Austryi pod niemiecką przewagę, nie możemy iść z nim ręka w rękę, do wytworzenia zaś stanu odpowiadającego naszym życzeniom, uważamy „dawne tradycye“ za nieodpowiednie.*“

Przywrócenie zatém Austryi pod niemieckim przewodem jest dla krańcowych narodowców przestarzałą kwestyą; dążą oni do wytworzenia innego stanu rzeczy, który ma ziścić ich życzenia. Takiego stanu nie mogą stworzyć „dawne tradycye“ stronnictwa niemieckiego. Otóż treścią nowych krańcowo-narodowych dążności jest jedynie wydźwignięcie na wyżyny żywiołu niemiecko-narodowego i wynikające stąd uciskanie lub nawet możliwe usunięcie żywiołów nie-niemieckich. Jeżeli więc te dążności nie mają być urzeczywistnione za pomocą przywrócenia niemieckiéj przewagi w Austryi, to w jakiż sposób będą ziszczone? Jedynie przez ciążenie do cesarstwa niemieckiego, a zatém przez rozpadnięcie się organizmu państwa austryackiego (1).

Kiedy przed zgromadzeniem się austryackiéj rady państwa, na konferencyi niemieckich posłów rozbierano kwestyą przyszłego ukształtowania się stronnictwa, a ze strony krańcowo-narodowych zaproponowano utworzenie „klubu niemieckiego“, kandydaci zaś na

---

(1) Zupełnie wyraźnie odzywa się pod tym względem Liberecka „Deutsche Volkszeitung“ z 5-go stycznia 1886 r. „Stronnictwo niemiecko-narodowe nie może być nigdy specyficznie austryacką partyą polityczną. Niepodobna nam entuzyazmować się dla rzekomego interesu austryackiego.“ Wreszcie ten dziennik dodaje: „że w pewném określoném stadyum życia narodowego inny polityczny ustrój jest odpowiedniejszym.“

ministrów, nie chcąc się kompromitować i uczynić się niemożliwemi, obstawali przy nazwie klubu „niemiecko-austryackiego“, wtedy „Neue freie Presse“ z 24 września 1885 r. napisała: „Rozdwajanie partyi jest fatalnym błędem; rozterka w łonie lewicy jest największém nieszczęściem, jakie ją spotkać mogło.“ „*Dzisiaj są tam obojętni dla Austryi*,—jutro wyrzucą wolność i konstytucyą, jako niepotrzebny balast.“ Organ niemieckich kandydatów ministeryalnych chciał zatrwożyć krańcowo-narodowych— ale ci oddawna już spalili byli za sobą austryackie mosty. 13-go czerwca 1885 napisał Pickert w swojéj „Gazecie Litomierzyckiéj“: „Jaka jest właściwie myśl polityczna Austryi? *Austryacka idea państwowa nie jest żadném ustaloném pojęciem*“; a 6-go czerwca 1885 r. można było wyczytać w tejże saméj gazecie: „Któżby mógł dziś jeszcze wymagać od niemieckiéj ludności w Czechach żeby ku Wiedniowi ciążyła?“

Krańcowo-narodowi w Czechach, na czele których stoją obecnie: Knotz (adwokat w Czeskiéj Lipie), Pickert (redaktor dziennika w Litomierzycach), Strache (wydawca gazety „Abwehr“ w Warndorf) i Prade (Liberec) stali się zatém dla dawnego stronnictwa niemieckiego w Austryi, które niegdyś zwało się partyą konstytucyjną i zawsze kładło nacisk na swą zdolność rządzenia, a nawet ogłaszało się za jedynie do rządów uzdolnione, nietylko wielką zawadą na drodze do osiągnięcia zamierzonych celów, ale nawet prawdziwym kłopotem; z jednéj strony bowiem niemieccy kandydaci na ministrów chętnieby użyli téj krańcowéj partyi jako dogodnego postrachu na sfery rządzące, z drugiéj strony muszą być sami pod wpływem obawy, ażeby obcowanie z tą partyą nie zadało ich zdolności do rządów rany trudnéj do uleczenia.

Gdyby ci panowie chcieli spojrzéć na rzeczy zupełnie przedmiotowo, musieliby wyrzec się usiłowań w celu zapełnienia rozpadliny, która ich dzieli od téj partyi i przyznaliby otwarcie, że nie mogą już być kierownikami tam, gdzie sami poddali się kierunkowi. Nie mam bynajmniéj zamiaru wdawać się tu w dochodzenie czy pp. Plener i Schmeykal chętnie dadzą powodować sobą, lub o ile ulegają naciskowi. Kiedy przy ostatnich wyborach do rady państwa kandydaci z niemieckiego Kasyna w Pradze przeciwstawieni przywódcom krańcowo-narodowych przepadli, „Gazeta Litomierzycka“ wystosowała pod adresem d-ra Schmeykala, dotychczas powszechnie uznawanego prowodyra Niemców czeskich szorstką nieco przestrogę: „Ten doniosły objaw narodowego ducha będzie niewątpliwie według wartości ocenionym i w pewnym pałacu „na Przykopie“ (niemieckie Kasyno). Trzeba, żeby w Pradze raz nareszcie zrozumiano, *że przywódcy mogą tylko iść na czele narodu, nie wlec się za nim.*

Czy p. dr. Schmeykal pozwala się istotnie wlec za krańcowo-liberalnemi, nie będę tu również rozpatrywał, poprzestanę tylko na przedmiotowéj uwadze, że nominalnie figuruje zawsze jako polityczny przywódca Niemców w Czechach; sam zaś prawdopodobnie nie zechce twierdzić, że jest rzeczywistym kierownikiem krańcowych narodowców.

Ta partya żądająca „*utrwalenia węzłów między Austryą a cesarstwem niemieckiém za pomocą umowy politycznéj, którąby zawierała w sobie i zjednoczenie na polu ekonomiczném*“, która zatém chce pozostawić polityczną i ekonomiczną samoistność i niezależność państwa austryackiego na etacie wymarcia, odbiera widocznie rozkazy i wskazówki skądinąd, nie z niemieckiego Kasyna w Pradze. Panowie w północnych Czechach mają wbród pieniędzy na agitacye polityczne i narodowe; szafują niemi z takiém marnotrawstwem, że wygląda to jak gdyby ten grosz nie był mozolnie na miejscu zebrany. Zresztą stosunki ich z zagranicą (z jednéj strony w kierunku Bawaryi, z drugiéj ku Saksonii, aż do Berlina) są zupełnie jawne i znajduje się między niemi dość Niemców z cesarstwa. Wiadomo, że dzisiejsza Przedlitawia należała niegdyś do Związku niemieckiego i każdy wie, że tak zwana idea wielko-niemiecka do niczego innego nie zmierza tylko do utworzenia wielkiego państwa niemieckiego na całém terytoryum dawnego Związku niemieckiego.

Że ta idea wielko-niemiecka ma w cesarstwie niemieckiém wielu stronników, to także nie tajemnica, a że szczególniéj królestwo czeskie jest przedmiotem najgorętszych pragnień dla wszystkich, którzy dążą do doskonałego spotęgowania siły niemieckiéj i niemieckiego władztwa, o tém mówi się wszędzie z zupełną otwartością: „Czechy mieć musimy!“ — takie zdanie można w Niemczech dość często słyszéć, nie wiele nawet podróżując. Nie ulega zatém wątpliwości, że myśl pożądanego „wcielenia“ Czech do państwa niemieckiego z zewnątrz została do Niemców w północnych Czechach przyniesioną. W poprzednim moim liście zwracałem już uwagę czytelników na rolę, jaką pod tym względem odgrywali po 1866 r. niemieccy wolno-mularze i jak uderzającym jest fakt, że w Czechach ogniska stowarzyszeń wolnomularskich odpowiadają w zupełności ogniskom agitacyi niemiecko-narodowéj. W ostatnich czasach miałem sposobność rozmawiać w Szwajcaryi z człowiekiem wysoko postawionym o stosunkach czeskich, znanych mu tylko z dzienników niemieckich. Usłyszał odemnie naturalnie zupełnie co innego niźli to, co czytał w gazetach, a ponieważ należał do coraz już szczuplejszéj klasy ludzi ukształconych, którzy pretensyom narodowego szowinizmu nie poświęcają prawdziwie humanitarnych idei sprawiedliwości i miłości

chrześciańskiéj, przekonałem go wkrótce o słuszności naszych pragnień i dążeń narodowych. Z wywodów prasy niemieckiéj o stanie rzeczy w Czechach Szwajcar ów nabrał przekonania, że my Czesi chcemy wyrugować język niemiecki ze wszystkich publicznych stosunków w królestwie czeskiém i dążymy tym sposobem do zczeszczenia wszystkich Niemców, którzy w takich okolicznościach zdecydowaliby się jeszcze pozostać w Czechach. Nietrudno mi naturalnie było sprostować to mniemanie. Z toku rozmowy przyszło i do niemieckich wolnomularzy, co do których, rozpocząwszy uwagą: „nie wiem, czy pan sam jesteś wolnomularzem czy nie“; rozpowiadałem daléj, że agitacyą niemiecko-narodową w Czechach prowadzą głównie niemieckie stowarzyszenia masonów. Słuchał z natężoną uwagą moich dowodzeń, a gdy skończyłem, rzekł: „Jestem wolnymmularzem, sądzę jednak, że pan się mylisz, uważając masoneryą za ognisko narodowéj lub wogóle jakiéjbądź agitacyi politycznéj. Franmasoni z zasady nie zajmują się sprawami narodowemi, politycznemi, ani religijnemi. We Włoszech i we Francyi wolno-mularze uprawiają wprawdzie politykę; w Anglii cała masonerya ma małe znaczenie i jest raczéj towarzyską igraszką; ale w Niemczech i u nas wolno-mularze trzymają się ściśle kierunku humanitarnego i z zasady nie mięszają się do walki stronnictw chwili bieżącéj.“ Odpowiedziałem na to, że zupełnie jestem przekonany, iż tak się dzieje w Szwajcaryi; poparłem jednak moje zdanie temi wszystkiemi wywodami, które były wyłuszczone w poprzednim liście; zdaje mi się, że przekonałem mego interlokutora o słuszności tego zdania. Uważałem za stosowne przytoczyć tu powyższą rozmowę, zdarzyć się bowiem może i między czytelnikami ktoś, kto, bez względu na to czy jest masonem czy nie, mógłby powątpiewać o zasadności moich twierdzeń o niemieckich wolno-mularzach.

Pod tym względem nie należy zapominać, że wskutek ostatnich wypadków, cały naród niemiecki wstąpił w szczególną fazę swego duchowego rozwoju. Czasy Schillera i Goethego minęły, ówczesny kierunek kosmopolityzmu humanitarnego uważany jest teraz w Niemczech za „ckliwą głupotę młodzieńczą“; idealizm powszechnéj miłości bliźniego, dzięki dzisiejszéj polityce chwilowych powodzeń, ustąpił miejsca realistycznie samolubnym na świat poglądom, a wielkie czyny wojenne, dokonane przez naród niemiecki, spotęgowały w nim do tego stopnia przeświadczenie o materyalnéj energii, że przy niéj znaczenie duchowéj przewagi wydaje się Niemcom czémś nieodpowiadającém dzisiejszym czasom, niepraktycznem, należącém do przeżytych ideałów. Czysto materyalna potęga niemieckiego narodu i państwa jest obecnie w Niemczech jedynym wielkim celem, do któ-

rego dążą wszyscy, skąd naturalnie wynikają i w stosunku do naszych dążeń narodowych zupełnie odrębne i dla nas Czechów niebardzo pocieszające następstwa.

Francya stała się w stosunku do cesarstwa niemieckiego mocarstwem drugiego rzędu, z Anglią współzawodniczy cesarstwo niemieckie o stanowisko w innych częściach świata, bo wobec wojennéj siły Niemiec, Wielka Brytania ma w Europie prawie podrzędne znaczenie; na Rosyą zwrócona jest ciągle uwaga, a nawet spogląda się na nią z pewną obawą. Austrya jest dla cesarstwa niemieckiego pożądanym przedmiotem kombinacyi, którego utrzymanie lub zagłada jest i zawsze może się stać celem polityki niemieckiéj. W téj to Austryi naród czeski pragnie zdobyć sobie zabezpieczenie własnego życia narodowego i odpowiednie do tego stanowisko w życiu politycznéni. Że takie dążenia narodu czeskiego nietylko nieodpowiadają kierunkowi idei wielko-niemieckiéj, ale są mu wprost przeciwne, dowodzić niepotrzeba. Jeżeli więc przytém odwołujemy się do pojęć, które uważamy za zdobycze prawdziwie ludzkiéj kultury i za postulaty wyższéj cywilizacyi europejskiéj, nie znajdujemy naturalnie posłuchu u tych, dla których samo nasze istnienie jest już zawadą konieczną do usunięcia.

I w tym téż kierunku pracują Niemcy przeciwko nam, ile im tylko sił starczy, wszelkiemi możliwemi insynuacyami lub jawną potwarzą. Podszczuwanie przeciwko narodowi czeskiemu prowadzone jest w pewnéj części dziennikarstwa niemieckiego tak systematycznie, że trzeba koniecznie przyjść do przekonia, iż robota odbywa się według dobrze obmyślanego planu. Zupełnie tak samo, jak niegdyś w XV wieku czescy Husyci, a z niemi naród czeski, napiętnowany był przez cały ówczesny świat katolicki, jako barbarzyńska horda kacerzy, jako pogardy godzien przedmiot powszechnéj nienawiści, są dziś Czechy, przynajmniéj dla całego niemieckiego świata, przedmiotem powszechnego wstrętu i narodowéj nienawiści, a idzie o to, żeby—gdzie to tylko będzie możliwém—stały się nareszcie przedmiotem fanatycznego prześladowania, w końcu zaś całkowitéj zagłady. Narodowe pragnienia Czechów nazywają się w języku niemieckich szczujących dzienników: „czeskiém Gepowidal“, „czeskiém zuchwalstwem“, „czeskiém urojeniem“, „czeską głupotą“, „czeskiém szaleństwem.“ Śmieszną chimerą, zuchwałością niedoprzebaczenia ma być dla wszystkich Niemców nasze pragnienie politycznego równouprawnienia, a za głupotę czy téż szaleństwo, według upodobania, ma prawo uważać każdy Niemiec życzenie Czechów, ażeby Niemiec był obowiązany nauczyć się drugiego języka krajowego, t. j. czeskiego, jeżeli chce wstąpić na urząd publiczny w Czechach. Według téj te

oryi, prawdziwy Niemiec powinien uważać za swój obowiązek narodowy nienawidzieć Czecha i unikać z nim wszelkiego obcowania; ma nadto uznawać za swoje prawo narodowe rozpowszechnianie między Czechami niemieckiéj kultury, tj. germanizowanie o ile się da, i będzie się czuł w godności narodowéj upokorzonym, jeżeli Czesi zażądają od niego, żeby się nauczył języka czeskiego.

Otóż udało się nieustającéj i w ostatnich czasach fanatycznie prowadzonéj agitacyi zaszczepić podobne usposobienie wśród znacznéj części niemieckiéj ludności w Czechach. Nie potrzeba być wielkim znawcą ludzi, ażeby o tém wiedzieć, iż dość jest łatwo obudzić w naturze ludzkiéj popędy zarozumiałości i samolubstwa i że skutki takich usiłowań tém są pomyślniejsze, im mniejszym jest stopień ukształcenia poddanych próbie jednostek. Nic więc dziwnego, że w niższych głównie warstwach ludności niemieckiéj najsilniéj objawia się nienawiść do Czechów, która nawet tu i owdzie do pożałowania godnych nadużyć doprowadziła. Nieokrzesany parobek lub wyrobnik niemiecki, któremu raz wbito w głowę myśl, że bez względu na swoje nieokrzesanie, na swoje gburowstwo, jako Niemiec jest już czemś lepszém od najlepszego Czecha, że ten Czech, dla tego właśnie iż jest Czechem, przestaje być dlań bliźnim zasługującym na ludzkie uczucia, a może i ma obowiązek być przedmiotem, na którym Niemiec powinien wywierać swoją indywidualną dzikość, jeżeli chce być prawdziwym Niemcem,—taki parobek czy wyrobnik, powtarzamy, będzie w ten sposób usiłował wykazać swoję narodową wyższość, że każdego spotkanego na drodze Czecha wybierze sobie za przedmiot mniéj więcéj brutalnego obejścia.

Do takiego stanu rzeczy przyczynili się faktycznie krańcowi, narodowcy swojemi agitacyami i swojém podszczuwaniem w północnych Czechach. Nie dopuszczę się bynajmniéj *przesady*, twierdząc, że obecnie dla Czechów nie jest zupełnie bezpieczném podróżowanie w północnych miejscowościach królestwa czeskiego, a liczne wypadki nieprzyjemne dostarczyły dowodów, że narodowe rozdrażnienie i rozgoryczenie przeciwko Czechom doszło w miastach i wsiach północnych Czech do niepokojącego stopnia. Czesi wchodzący do karczmy w niemieckiéj wsi i rozmawiający z sobą po czesku, narażają się na to, że ich gospodarz od siebie wypędzi, jeżeli zaś przemilczawszy z początku, ostrożnie siądą do stołu obok innych gości i zaczną, choćby przytłumionym głosem mówić z sobą w języku ojczystym, w takim razie usłyszą od kogoś z obecnych, zuchwałą przestrogę, że dźwięki, które do uszów mu doleciały, słuch jego dotkliwie obrażają.

Wypadki, w których Czesi w miejscowościach niemieckich brutalnie byli napadani i ciężko poturbowani z tego jedynie powodu, że są Czechami, zbyt niestety często powtarzały się w ostatnich czasach. Tu czescy gimnastycy (Sokolové), wracając z wycieczki przez wieś niemiecką, na granicy dwóch języków, obrzuceni zostają kamieniami, które kilku z nich ciężkie zadają rany: tam znów mała czeska kompania, chce na niemieckiéj stacyi siąść na pociąg kolei i wrócić do domu, tymczasem w sali pasażerskiéj napadają ją Niemcy z kijami i z krzykami: „A! ty także jesteś Czech!“ „Bić czeskich psów.“ Że w podobnych wypadkach nie było ze strony Czechów żadnéj prowokacyi, lecz że wszystko stało się tylko dzięki jednochwilowemu wybuchowi nienawiści rasowéj, wytworzonéj i spotęgowanéj przez systematyczną agitacyą wśród niższych warstw społecznych,— o tém zapewniać czytelnika nie potrzebuję.

Najjaskrawszą ilustracyą tego rodzaju stosunków w północnych Czechach jest napad w Langenbruck, zakończony w pierwszych dniach listopada 1885 r. przed c. k. sądem okręgowym. Langenbruck jestto wieś, któréj domy rozproszone są wzdłuż gościńca prowadzącego przez góry Jesztedu do Libereca. Terytoryum czeskiego języka rozpoczyna się zaraz u południowego stoku łańcucha tych gór. Langenbruck leży już na wyniosłości i jest niemieckiem. Liberec liczący prawie 40.000 mieszkańców, dość znaczne miasto przemysłowe, jest również największém miastem na terytoryum niemieckiem ciągnącém się w kierunku północnym od gór Jesztedzkich. Ponieważ w miejscowościach położonych niżéj, na południe od tych gór owoce i jarzyny lepiéj się udają, aniżeli w niżéj leżących okolicach miasta Libereca, przeto czescy mieszkańcy wiejscy przywożą najczęściéj te artykuły spożywcze na targ, a że odległość miejsc zamieszkania producentów od miasta wynosi kilka godzin, więc wieśniacy czescy jadą nocą do Libereca, ażeby już w rannych godzinach towar swój wystawić na sprzedaż. Z tego powodu w nocy z 30 na 31 sierpnia jechało 12 wozów z owocami i jarzynami do Libereca. 30-go sierpnia była niedziela, i w oberży we wsi Lungenbruck, leżącéj przy wspomnianym gościńcu, zebrane było liczne towarzystwo młodych ludzi, samych Niemców, które do późnéj nocy zabawiało się tańcem. Wozy nie jechały za sobą w ciągłéj linii, lecz rozdzielone były między sobą znacznemi przestrzeniami, przybywały bowiem z rozmaitych miejscowości czeskich. Około 2-éj godziny zrana 31 sierpnia przyjechał pierwszy wóz do oberży w Langenbruck. Na wszystkie 12 wozów w miarę jak między 2 a 3 godziną rano, to jest w ciągu godziny przed ową oberżą przejeżdżały, młodzież zgromadzona w oberży napadała, ściągała z siedzeń jadących i lżéj lub ciężéj turbowała.

Wydawane przy tém przez napastników okrzyki: „czeski psie,“ „poczekaj przeklęty Czechu, dam ja tobie,“ „czeskie ścierwo,“ „czeskie sobaki, my was ubijemy,“ które przytaczam z aktu oskarżenia jako zeznaniami świadków stwierdzone, dowodzą jasno o co w téj napaści chodziło. Prokurator wyrzekł motywując oskarżenie: „Mamy przed sobą brutalne fakta, gwałty spełnione przez dzikich fanatyków na ludziach spokojnie publiczną drogą jadących z tego jedynie powodu, że ci ludzie do innéj należą narodowości. „W ciągu jedynéj godziny napadnięto na 12 wozów wiozących 24 ludzi, i ci ludzie byli dla siebie dotychczas zupełnie obcy. Nie była to więc bynajmniéj pospolita bijatyka. Nie wszystkich napastników udało się ująć; dziewięciu tylko młodych ludzi od 19 do 25 lat wieku skazano na kilkomięczne więzienie.

Ta napaść w Langenbruck, którą każdy bezstronny sędzia bezwarunkowo potępić musi, była we wszystkich dziennikach niemieckich usprawiedliwiana tak zwaną „*Królodworską sprawą,*“ jako jéj konieczne następstwo. W wypadku w Kralo-Dworze stroną cierpiącą byli Niemcy, więc też Niemcy uważają napaść w Langenbruck jako przez Czechów właściwie wywołany akt zemsty. Ponieważ w ostatnich czasach wszystko, czego się Czesi przeciwko Niemcom dopuścili, wtedy nawet kiedy się to działo wskutek wyraźnéj prowokacyi, bywało zawsze w dziennikach niemieckich bez miary wyzyskane, więc naturalnie „*Królodworska sprawa*“ przedstawioną została w całéj prasie niemieckiéj najjaskrawszemi barwami, jako nowy dowód czeskiéj dzikości i brutalnego ucisku Niemców w Czechach. Z tego powodu uważamy za stosowne podać tu krótki przedmiotowy opis wypadku dla wykazania, o ile słuszne są i uzasadnione podobne zarzuty i oskarżenia.

Kralové Dvur (Königinhof) znany z powodu znalezionego tam w 1817 r. przez Hankę staroczeskiego poematu (Kralodvorsky rukopis), jest miastem położoném w północnych Czechach blizko granicy językowéj i liczy około 9.000 mieszkańców, z których mniéj więcéj $^9/_{10}$ należy do czeskiéj a $^1/_{10}$ do niemieckiéj narodowości. Jeżeli Niemcy nazywają Liberec z $^1/_5$ czeskich mieszkańców i Most (Brüx) z $^1/_3$ czeskiéj ludności miastami rdzennie niemieckiemi, to możnaby ze spokojném sumieniem nazwać Krolodwór miastem czeskiem. My nazwiemy je po prostu miastem z ludnością mieszaną. Niemcy domagający się apodyktycznie, żeby czeskie mniejszości w tak zwanych „rdzennie niemieckich miastach“ nie dawały żadnego wyraźnego znaku życia, a każdy taki objaw, choćby utworzenie skromnéj „Besedy“ do towarzyskiéj rozrywki przeznaczonéj, piętnują jako „czeską pretensyą“ i „czeską prowokacyą“, mają naturalnie zupełnie in-

ne teorye dla niemieckich, choćby najdrobniejszych mniejszości w miastach czeskich. Tam nie ma mowy o tém, ażeby mniejszości niemieckie poddawały się czeskim większościom, żeby unikały niepotrzebnych narodowych manifestacyi i niebezpiecznych prowokacyi, lecz przeciwnie pracuje się ze wszystkich sił nad podszczuwaniem mniejszości niemieckiéj przeciw większości czeskiéj, nad pobudzeniem jéj do skarg i krzyków o ucisku narodowym, słowem nad wytworzeniem istnego stanu wojennego, który wyzyskuje się następnie w widokach wielkoniemieckich marzeń anneksyjnych. Taki był stan rzeczy w ostatnich latach w Królodworze, za dowód posłużyć może następujący dokument urzędowy.

Na 339 posiedzeniu Izby deputowanych w wiedeńskiéj radzie państwa odczytano 8 maja 1884 r. niżéj podany memoryał z Królodworu:

„Niżéj podpisani obywatele niemieckiéj narodowości królewskiego czynszowego miasta Królodworu, protestują niniejszém z całą stanowczością, przeciwko pełnym kłamstw i nienawiści artykułom gazeciarskim, które w ostatnich czasach pisane były przez ludzi niepowołanych przeciw naszym współobywatelom narodowości czeskiéj w celu *zakłócenia istniejącéj do dziś dnia zgody w naszém mieście i nadania smutnéj nazwy nieustającego Kuchelbadu. Kłamstwem jest twierdzenie jakoby w Królodworze żaden Niemiec nie był pewnym mienia ani życia; przeciwnie Niemcy i Czesi obcują z sobą w życiu towarzyskiem zupełnie zgodnie i żyć tak będą, da Bóg w przyszłości mimo wszelkich sztucznych podszczuwań i prowokacyj dobrze znanych zapaleńców*". Królodwór 30 września 1883.

Takie oświadczenia, takie zapewnienia o istniejącéj zgodzie i życzenia utrzymania jéj nie licują naturalnie z programatem agitatorów narodowych. Ci pragną rozterki, żeby módz krzyczeć, pisać i wzywać pomocy potężnego cesarstwa niemieckiego dla uciśnionych Niemców. Musiano więc w obozie niemieckim postarać się o to ażeby rzeczy inny przyjęły obrót w czeskim Królodworze. Pan dr. Schmeykal, przywódca Niemców w Czechach uważał za właściwe użyć tu swego wpływu i pokazać niejakiemu Mandlowi w perspektywie wszelkie możliwe zaszczyty narodowe aż do kandydatury do rady państwa, w zamian za skutecznie prowadzoną agitacyą narodową w Królodworze. Ten to właśnie Mandl stał się w dniu 23 sierpnia 1885 r. głównie działającą osobą w tak zwanéj „sprawie królodworskiéj." Tu, jak wszędzie, środkami narodowego podszczuwania są zwykle używane stowarzyszenia gimnastyczne, śpiewackie i „stowarzyszenie niemiecko-narodowe". W stowarzyszeniach gimnastycznem i śpiewackiem przygotowują się młodsze zastępy bojowników

narodowych, w „stowarzyszeniu niemiecko-narodowém“ szeregują się starsze siły. W pierwszém, gimnastyka jest rzeczą podrzędną uprawianą tylko dla pozorów; główną treść stanowią zgromadzenia i pijatyki, na których wypowiadane są niezbędnie podburzające mowy. Stowarzyszenie śpiewackie służy do wyuczania się niemieckich pieśni wojennych, za pomocą których fanatyzm narodowy ma być podniecany w młodocianych duszach. Nareszcie stowarzyszenie narodowe jest właściwém ogniskiem, nadającém ton podszczuwania narodowego, sztabem jeneralnym agitacyi narodowéj. Nienawiść do Czechów jest wszędzie hasłem, a możliwe jéj rozpowszechnienie głównéni zadaniem stowarzyszenia (1).

I my również mamy nasze czeskie stowarzyszenia gimnastyczne i śpiewackie, ale nam nigdy na myśl nie przychodzi wdzierać się przy ich pomocy na terytoryum języka niemieckiego i w niemieckich miastach wzniecać niepokój olbrzymiemi pochodami gimnastów lub hałaśliwemi produkcyami pieśni czeskich. Inaczéj poczyna sobie p. Mandl w Królodworze; ten ma nakreślone sobie zadanie, które chce wypełnić dla otrzymania przyrzeczonéj nagrody.

Zapowiedział tedy w Zarządzie powiatowym na 23 sierpnia pochód publiczny a następnie zgromadzenie niemieckich stowarzyszeń gimnastycznych, przybywających do Królodworu z różnych miast sąsiednich. Ponieważ dzięki nieustannym zabiegom tego agitatora harmonia między Niemcami a Czechami w tém mieście, istniejąca jeszcze jako tako, we wrześniu 1883 znacznie już była osłabła i z te-

(1) Jeżeli w ten sposób odzywam się o stowarzyszeniach niemieckich, to niech mi wolno będzie na dowód przedmiotowości moich twierdzeń przytoczyć co następuje. W Pradze istnieje od dwóch blizko lat tak zwane „*Stowarzyszenie rękodzielników niemieckich*“. Na jedném z ostatnich jego posiedzeń (w połowie grudnia 1885) postanowiono: 1) Wysłać do dra Schmeykala przywódcy Niemców deputacyą która zwróci jego uwagę, że w swojéj kancelaryi adwokackiéj ma tylko Czechów i zażąda aby ich zastąpił rodowitemi Niemcami. 2) Wezwać prezesa niemieckiéj sali gimnastycznéj w Pradze, żeby natychmiast oddalił gospodarza sali, który będąc Niemcem, mówi po czesku. 3) Wyznaczyć komisye z poleceniem, żeby we wskazanych im rewirach miasta zbadały, gdzie w rodzinie niemieckiéj trzymaną jest czeska służba, któréj oddalenie będzie wymaganém, bo przez służbę czeską dzieci uczą się po czesku, czy też, według wyrażenia stowarzyszeń niemieckich *zczeszczają się*. Pisząc to, czuję potrzebę nadmienienia wyraźnie, że daleki jestem od pozwalania sobie w podobnych sprawach żartu lub od puszczania wodzów satyrze, lecz że to wszystko jest literalnie prawdziwém. Wspomniane „stowarzyszenie niemieckie,“ dla tego tylko nazywa się „Stowarzyszeniem rękodzielników,“ że w niem idzie o wytresowanie w narodowém podszczuwaniu klasy rękodzielnikow i drobnych mieszczan, bo zadaniem Stowarzyszenia ma być niby obrona interesów klasy rękodzielniczéj, które właściwie są rzeczą podrzędną obok głównéj, tj. agitacyi narodowéj.

go powodu można się było obawiać, żeby tłumny pochód niemieckich gimnastów, w czeskim Królodworze zupełnie zbyteczny i niepotrzebny, nie doprowadził do przeciw-demonstracyi i przykrych starć, więc starosta powiatowy odmówił zezwolenia urzędowego na zapowiedzianą, a w czasie spotęgowanego rozdrażnienia bardzo niewczesną manifestacyą niemiecko-narodową i zgodził się tylko na zgromadzenie zaproszonych gimnastów w lokalu zamkniętym, tj. w salach hotelu.

Przybycie gimnastów nastąpiło o 2 popołudniu w oznaczonym d. 23 sierpnia, w niedzielę, bez szczególnych przeszkód, przyczém jednak zaznaczyć wypada, że z obu stron nie zachowano ostrożności niezbędnych, gdy idzie o uniknienie starcia. Gimnaści przyjechali powozami i byli obrzuceni przez czeskich niewątpliwie uliczników różnemi rzeczami (resztkami owoców, drobnemi kamykami), czego łatwo można było uniknąć, gdyby policya miejska była w tym celu przedsięwzięła stosowne środki. Niemieccy gimnaści, którzy i tak nie żywili przyjaznych uczuć dla czeskiéj ludności Królodworu, wyrazili swój nastrój w słowach „czeskie gałganiarstwo“ itp. Z tego wstępu nie można już było nic dobrego wróżyć na poobiedzie. Gdy przybyli już wszyscy gimnaści, zamknięto bramę hotelu. Na placu przed bramą zgromadził się znaczny tłum, którego usposobienie dla zamkniętych w hotelu Niemców, jak to zwykle bywa w podobnych ciżbach, stawało się coraz zapalniejszém, tak że nareszcie ozwał się głośno okrzyk, ażeby szturmem wtargnąć do hotelu i wypędzić stamtąd a następnie z miasta gimnastów niemieckich. Tu znów należy zauważyć, że tak policya miejska jak wogóle rozważniejsi mieszkańcy miasta, nie zrobili tego, co było koniecznem dla rozproszenia od samego początku zgromadzonego tłumu i dla przeszkodzenia szerzącéj w niém egzaltacyi. Ze strony gimnastów nie powstrzymano rownież pojedyńczych dowodów bohaterstwa, które na tém polegało, że niektórzy z nich wychodzili z hotelu przed tłum i tak już wzburzony i prowokującém postępowaniem nie mało przyczynili się do podniesienia namiętności. W tém miejscu nadmienić trzeba, że ci pojedynczy gimnaści nie byli czynnie przez tłum napastowani, lecz że oni właśnie kijami bili otaczających ich uliczników i przytém położyli jednego chłopca, tak że wkrótce rozbiegła się wieść, że gimnaści niemieccy zabili dziecko. Dopiero kiedy wzburzenie zgromadzonéj na placu ciżby przybrało niepokojące rozmiary, uczyniono ze strony tych, którzy powinni byli wdać się od początku, wszystko, ażeby tłum rozproszyć i plac opróżnić. Ale te usiłowania nie osiągnęły już pożądanego skutku. Co się działo pod ten czas wśród gości zebranych w hotelu, między któremi znajdowało się także wiele dam, nie było

publicznie wiadomém; sądzę jednak, że nie omylę się, przypuszczając, że im nie bardzo było w tych okolicznościach przyjemnie. Kiedy wreszcie starosta uznał za najrozsądniejsze wezwać niemieckich gimnastów do odjazdu i przytém zrobił uwagę, że mógłby być postawiony w konieczności wezwania eskorty wojskowéj dla ich bezpieczeństwa, jeden tylko znany agitator Mandl wyzywająco odpowiedział: „Tego właśnie chcemy.“ To właśnie wyrażenie może być uważane za dowód, że ów podszczuwacz miał zamiar doprowadzić rzeczy do ostateczności. Inni jednak przegłosowali Mandla i gimnaści niemieccy przygotowali się do odjazdu. Tymczasem zrobiło się już ciemno i opłakane zakończenie całéj sprawy nastąpiło przy końcu miasta, między ostatniemi domami, wśród zapadłéj już zupełnie nocy. Powodowani ostrożnością mieszczanie Królodworu eskortowali odjeżdżające powozy prawie do końca miasta, chcąc tym sposobem przeszkodzić wszelkim napaściom, ale eskorta nie sięgała tak daleko jak powinna była sięgać dla zupełnego bezpieczeństwa jadących. Kilku uliczników stanęło na czatach przy ostatnich domach i obrzuciło powozy kamieniami, przyczém skaleczono 12 osób, z których dwie ciężkie odniosło rany. Mandl oddawna już powszechnie nienawidzony, a w tym dniu uważany za przyczynę całego wzburzenia miał do samego mieszkania eskortę z kilku miejscowych mieszczan; tak że przynajmniéj na jego osobie nadużyć żadnych nie popełniono. I ten wypadek zakończył się również przed sądem kryminalnym w Królodworze, a jako dowód że sąd przy wyrokowaniu nie poczynał sobie stronnie z winnemi, może posłużyć wyrok wydany na byłego burmistrza Królodworu, skazujący tego pod każdym względem szanownego człowieka na 3 miesiące więzienia jedynie za to, że w bardzo naturalném rozdrażnieniu z powodu tego fatalnego zajścia, stał się winnym pewnego wyrażenia o gimnastach niemieckich, o którém można było przypuszczać że przyczyniło się do wzburzenia tłumu, jakkolwiek nie zostało dowiedzioném, iżby te słowa wyrzeczone jedynie do starosty, były istotnie przez innych słyszane. Że Mandl został skazany, że skazano również kilku gimnastów niemieckich, którzy w sposób wyzywający na tłum z kijami napadli, dziwić się nie można, jakkolwiek dzienniki niemieckie przedstawiają te wyroki jako nowe dowody „zwykłego w Czechach prześladowania Niemców.“

Z tego przedmiotowego i zupełnie zgodnego z prawdą opisu „sprawy królodworskiéj“ łatwo wywnioskować, że gdyby w dniu 23 sierpnia niemieccy gimnaści mogli byli wrócić do domu bez wypadku, sprawa nie dostarczyłaby tyle upragnionego tematu do wielkich deklamacyj o czeskiéj dzikości i o strasznym ucisku Niemców w Cze-

chach. Opłakany postępek kilku nierozsądnych, brutalnych uliczników był więc jedynym momentem, którzy zajściu wyjątkowe nadał znaczenie. Obarczać brutalstwem kilku awanturników cały naród czeski, czyn podobny uważać za naturalny wynik wrogiego nastroju tego narodu dla wszystkich Niemców, słowem utożsamiać naród, z kilku ulicznikami, wszystko to może być wygodném dla celu krańcowo-narodowych agitatorów niemieckich, ale bynajmniéj nie odpowiada wymaganiom słusznego i przedmiotowego oceniania stosunków ludzkich. Potępialiśmy wszyscy nadużycia w Kuchelbadzie, nasze narodowe organa nie przestają ostrzegać i powstrzymywać od wszelkich ekscesów, upominając, że lepiéj jest znieść cierpliwie krzywdę od Niemców, aniżeli odpłacać ją niesprawiedliwością, że należy unikać wszelkich prowokacyi; dr. Rieger, wzywał nas również naglęco i to nie poraz pierwszy w publiczném przemówieniu, żebyśmy się strzegli wszelkiego z Niemcami starcia. I wiemy bardzo dobrze dla czego to wszystko czynimy i nie wahamy się wypowiadać tego jawnie i otwarcie. Wiemy, że między Niemcami panuje od wielu lat dążność przedstawiania się wobec potężnego niemieckiego państwa za upośledzone dziecko, które z niedoli swojéj i ucisku raz przecie musi być oswobodzone. Wiemy to, i o ile jasném być musi dla każdego przedmiotowego badacza stosunków czeskich, że Niemcy chcą w myśl téj dążności wywoływać starcia, tak również jasno widzieć musi ów badacz, że w naszym dobrze zrozumianym interesie leży, o ile można wszelkich starć z Niemcami unikać. Stare „*fecit cui prodest*“ znajduje przy wszystkich podobnych starciach zupełne zastosowanie, bo, krótko mówiąc, my pragniemy zgodnego pożycia obu narodów w Czechach, życzymy sobie porozumienia z Niemcami i zawsze pierwsi wyciągaliśmy do tego rękę.

W tém miejscu najwłaściwszém będzie pomówić obszerniéj o rzeczach, których dotychczas nie dotykałem w moich listach, mianowicie o usiłowaniach z naszéj strony w celu załagodzenia sporu narodowości i osiągnięcia spokojnego ich obok siebie pożycia w królestwie czeskiem. Oparte na znanych niezbitych faktach przedstawienie tego wszystkiego, do czego w tym kierunku dążyliśmy zawsze, wykaże jednocześnie o ile słuszném jest oskarżenie Niemców, nieustannie na nas rzucane i ciągle za najskuteczniejszy środek agitacyjny używane, że nie inny cel mamy przed sobą tylko przerobienie na Czechów wszystkich Niemców w królestwie czeskiém.

W dniu 20 marca 1848 r. Franciszek Palacký przedstawił zgromadzeniu niemieckich i czeskich pisarzy do uchwalenia deklaracyą, która w następującéj formie jednogłośnie została przyjętą:

„Pisarze prascy, czeskiéj i niemieckiéj mowy, ożywieni uczuciem swobody i ujawnionéj w ostatnich czasach zgody między czeską i niemiecką ludnością wspólnéj ich ojczyzny, na zebraniu odbytém 21 marca 1848 r. jednogłośnie postanowili oświadczyć publicznie, że pragną ze wszystkich sił tak działać, żeby ten pomyślny stosunek nie był zakłócony, ale żeby trwale mógł się utrzymać. Ma on oprzéć się na podstawie zupełnego równouprawnienia, tak, żeby ani Niemcy przed Czechami, ani Czesi przed Niemcami żadnego nie używali pierwszeństwa. Dla tego chęć i gorliwość ze strony czeskiéj części ludności, korzystania we wszystkiém z tego równouprawnienia, nie powinna być uważana za zakłócenie téj zgody.“

W znanéj powszechnie deklaracyi czeskich posłów sejmowych z 22 sierpnia 1868 r. powiedziano między innemi:

„W pojęciu naszém najlepszą reprezentacyą kraju będzie przedstawicielstwo oparte na takiéj ordynacyi wyborczéj, w któréj równouprawnienie obu narodowości naszéj ojczyzny byłoby praktycznie przeprowadzonem przez równe wszędzie zastosowanie jednakowych zasad i *pragniemy dojść do porozumienia* z *naszymi współziomkami niemieckimi co do takich instytucyi, któreby mogły powstrzymać wszelkie ograniczanie jednéj lub drugiéj narodowości, wynikające jedynie* z *mocy saméj tylko większości.*“

Wybory w roku 1870 dały w sejmie większość czeskiemu stronnictwu narodowemu. Klub czeskich posłów sejmowych postanowił natychmiast jednogłośnie zaprosić deputowanych niemieckich na wspólną naradę nad warunkami pojednania między obu narodowościami, czyli załagodzenia wznieconego już wtedy sporu między Niemcami i Czechami.

Deputacya udała się do Kasyna niemieckiego w celu zakomunikowania téj uchwały klubowi niemieckich posłów. Dr. Rieger zabrał głos; było to wieczorem 26-go sierpnia 1870 r. Dr. Schmeykal oświadczył na to, że wniosek będzie roztrząsany i że odpowiedź jeszcze tego samego dnia nastąpi. Po 10-téj godzinie wieczorem zjawił się dr. Schmeykal z dwoma kolegami w „Měštánskiej Besedzie“ i oznajmił zgromadzonym tam posłom czeskim, że klub niemiecki, w uznaniu uprzedzającéj uprzejmości klubu czeskiego, przyjmuje jego wniosek i wyznaczy od siebie 5 członków do komisyi pojednawczéj. Radosne brawo! i „Na zdar“ powitały to oświadczenie, a dr. Rieger wyrzekł szczerze odczute słowa: „Niechaj Bóg pobłogosławi wielkie dzieło!“

Cały kraj przyjął z radością wieść o tym wiele obiecującym wypadku. Komisya pojednawcza utworzyła się, ale dotykalnego rezultatu w niéj nie osiągnięto, i nie chcę tu badać, z któréj strony wy-

stąpiły przeszkody w tém dziele szczerze przez nas upragnionego porozumienia.

Rok 1871 był okresem przyjaznych Słowianom rządów gabinetu Hohenwarta. Czeska większość sejmu w Pradze wzięła się sama do dzieła, którego komisya pojednawcza z 1870 roku dokonać nie była w stanie, i skłoniła rząd do przedstawienia sejmowi czeskiemu *prawa o narodowościach*, co się istotnie spełniło (1).

---

(1) *Prawo w przedmiocie zabezpieczenia równych praw narodowościom czeskiéj i niemieckiéj w Czechach.*

§ 1. We wszystkich stosunkach prawa publicznego i cywilnego narodowości czeska i niemiecka mają jednakowe prawo do poszanowania, ochrony i pielęgnowania swéj odrębności narodowéj a szczególniéj języka.

§ 2. Mieszkańcy należący do jednéj narodowości nie mogą z powodu swego pochodzenia i języka być gorzéj traktowani niźli mieszkańcy drugiéj narodowości (przy tych samych okolicznościach), ani przez prawo, ani w rozporządzeniach władz, ani pod względem korzystania z wszelkiego rodzaju publicznych instytucyi, utrzymywanych środkami krajowemi.

Stosuje się to szczególniéj do czynnego i biernego prawa wyboru na członków publicznych ciał reprezentacyjnych, do równomiernego dopuszczenia do publicznych urzędów i godności, do jednakowego uwzględnienia obu narodowości przy ustanawianiu jurysdykcyi administracyjnych i sądowych, do języka obowiązującego w urzędach i instytucyach publicznych, oraz stosunku z niemi mieszkańców, jak niemniéj do jednakiego zabezpieczenia możności korzystania ze środków i instytucyi naukowych.

§ 3. Prawa krajowe będą do uchwalenia przedstawiane, stanowione i ogłaszane w obu językach krajowych.

Przy wszelkich rozprawach w sejmie każdy z członków może posługiwać się według upodobania jednym lub drugim językiem krajowym.

Wszelkie komunikaty rządu do sejmu, jak niemniéj wszelkie wnioski i uchwały w sejmie mają być wygłaszane w obu językach; protokóły sejmowe będą w obu językach prowadzone i ogłaszane.

Przewodniczący w sejmie i jego zastępca powinni władać obudwoma językami krajowemi.

§ 4. Okręgi administracyjne sądowe i wyborcze mają być tak rozdzielone między korporacye reprezentacyjne, aby każdy z nich składał się o ile możności z gmin jednéj i téj saméj narodowości.

§ 5. Język urzędowy gminy ustanawia reprezentacya gminy; w razie sporu między wyborcami, rozstrzyga o języku urzędowym głosowanie wyborców, stanowiących większością absolutną.

Jeżeli w pewnéj gminie znajdzie się mniejszość przynajmniéj $1/5$ wyborców, to w gminie téj drugi język krajowy ma być w mowie urzędowéj o tyle uwzględnionym, żeby członkowie gminy mogli posługiwać się nim w przedstawicielstwie, żeby wszelkie ogłoszenia publiczne w nim czyniono i w obcowaniu władz gminnych ze stronami podania w tymże języku przyjmowane i załatwiane były, a także na żądanie sporządzano protokóły.

Prawo to wypracowane było przez posłów czeskich z Riegerem i Palackim na czele i jest najwymowniejszym dowodem, że z naszéj strony przerabianie Niemców na Czechów w królestwie czeskiém nigdy nie było zamierzane. Niemcy podnieśli wtedy głosy przeciwko owemu prawu o narodowościach i od tego czasu nic o niém słyszéć nie chcą, bo od roku 1871 równouprawnienie z Czechami, narodowe i polityczne porównanie z ludem należącym do „niższéj“

Takie używanie drugiego języka krajowego jest w każdym razie obowiązujące w stolicy kraju.

§ 6. Język większości mieszkańców danego okręgu jest językiem urzędowym reprezentacyi tego okręgu. Jeżeli do okręgu należy choćby jedna tylko gmina innéj narodowości, język jéj, zgodnie z § 5 ustępem 2 może być urzędownie używanym.

§ 7. Język urzędowy reprezentacyi okręgowéj ma być również językiem urzędowym władz sądowych i sądów w tym okręgu.

Niezależnie od tego wszystkiego, w stosunku ze stronami, może być na ich żądanie dopuszczony drugi język krajowy o tyle, że będą w nim przyjmowane i załatwiane podania lub spisywane protokóły.

§ 8. W stosunku między sobą, współrzędne władze używają własnego języka urzędowego, podobnież podwładne w stosunkach ze zwierzchniemi władzami.

Cesarskie i królewskie władze cywilne wydają swoje rozporządzenia władzom podwładnym w języku tych ostatnich.

Jako język urzędowy wszystkich cesarskich i królewskich władz cywilnych, których jurysdykcya rozciąga się na cały kraj, może być zarówno używany język niemiecki i czeski.

Ustanowione do zarządu całym krajem władze rządowe i autonomiczne, jak również do wyrokowania w wyższéj instancyi powołane trybunały muszą mieć taki skład, żeby w nich sprawy mogły być prowadzone w obu językach.

§ 9. We władzach rządowych w królestwie czeskiém nikt nie może być mianowany referentem ani sędzią, kto obudwoma językami ustnie i piśmiennie nie włada.

Dopóki w Czechach znajdują się jeszcze w służbie publicznéj urzędnicy władający tylko jednym językiem krajowym, mają być jedynie w takich władzach używani, gdzie ich język jest językiem urzędowym. Władze autonomiczne obowiązane są przestrzegać, ażeby użycie języka mniejszości (§ 5 i 6), o ile na nie prawo dozwala, było najściśléj zabezpieczone.

§ 10. W celu zabezpieczenia nietykalności jednakowych praw obu narodowości, sejm dzieli się na *kurye narodowe.*

§ 11. Kurye narodowe tworzą się w następujący sposób: Przedstawiciele okręgów wyborczych miast i gmin należą do kuryi téj narodowości, do któréj należą ich okręgi wyborcze. Reprezentanci okręgów z językiem mięszanym, przedstawiciele wielkiéj własności i wielkiego przemysłu, zarówno jak rozporządzający głosami wirylnemi mają przy wejściu do sejmu swobodę przystąpienia do kuryi narodowéj i wyboru takowéj; reprezentanci jednak wielkiéj własności, którzy sami posiadają wielką własność, mogą tylko do téj kuryi przystąpić, w któréj językowém terytoryum położona jest ich własność.

Po zgromadzeniu się sejmu na nową sesyą, kurye narodowe winny się ukonstytuować i wybrać sobie przewodniczącego.

słowiańskiéj rasy wydaje im się upokorzeniem, przeciwko któremu buntuje się gwałtownie obudzone w nich przeświadczenie o wyższości niemieckiéj.

Mimo to czescy posłowie byli niezmordowani w usiłowaniach przeprowadzenia pożądanego z Niemcami porozumienia, działali oni w myśl słów dra Riegera, który powiedział pewnego razu: *„Gdyby nawet nasi niemieccy ziomkowie odtrącili 99 razy rękę, którą im na pojednanie wyciągamy, podamy im tę rękę poraz setny."*

W przepisach porządkowych sejmu ma być przewidziane wszystko, co kuryi umożebnia korzystanie z przysługujących jéj praw.

§ 12. Każda kurya narodowa przy glosowaniu nad budżetem może domagać się, żeby zamierzony w nim na cele szkolne i oświaty fundusz, o ile nie przeznaczony jest na zakłady wspólne dla obu narodowości, był w stosunku do wpływu podatkowego z okręgów jéj narodowości użyty na instytucye naukowe z językiem wykładowym tejże narodowości. W tym samym stosunku kurya może domagać się wydzielenia dochodu od przeznaczonych na ten cel funduszów, o ile nie mają one określonego przeznaczenia szczegółowego.

Każdéj kuryi narodowéj dozwala się uchwalić drogą prawną oddzielny podatek na okręgi i gminy swéj narodowości na cele oświaty.

Wykonywanie praw w poprzednich ustępach kuryom przyznanych winno być ustawą urządzone.

W duchu tego przepisu należy również dać narodowym mniejszościom w powiatach i gminach podobne zabezpieczenie prawne, t. j. przestrzegać, aby mogły z przypadających na nie stosunkowo funduszów z dochodów okręgowych czy téż gminnych na cele naukowe przeznaczonych, albo téż z innych własnych środków lub szczególnych podatków przyczyniać się do fundowania i prowadzenia zakładów naukowych dla młodzieży swéj narodowości w jéj własnym języku, przy zachowaniu obowiązujących w kraju praw szkolnych.

§ 13. Każda kurya narodowa ma prawo domagać się, ażeby artykuły projektu do prawa, dotyczące używania języka w życiu publiczném, w urzędach i w takich zakładach naukowych, które nie należą wyłącznie do drugiéj narodowości (§ 12), po drugiém odczytaniu w sejmie poddawane były jeszcze głosowaniu według kuryi narodowych.

Po podobném wotowaniu przepis, przeciw któremu głosowała absolutna większość całkowitéj liczby członków kuryi, uważa się za odrzucony.

Stosuje się to mianowicie do praw mających się wydać w przedmiocie dalszego tego prawa wykonania

§ 14. Przy wyborze posłów sejmowych w ciałach przedstawicielskich, w którym bierze udział królestwo czeskie wraz z innemi królestwami i krajami państwa, musi przynajmniéj trzecia część wybranych pochodzić z czeskiéj, a przynajmniéj czwarta z niemieckiéj kuryi narodowéj

§ 15. Równe prawa obu narodowości postawione są pod osłoną przysięgi koronacyjnéj.

§ 16. Obecne prawo ma być, pod względem mogących się w niém wprowadzić zmian, traktowane w ten sam sposób jak prawo krajowe.

Nadto każda zmiana, aby uzyskać moc prawną, musi być przyjętą przez obie kurye narodowe sejmu.

Kiedy w czerwcu 1883 odbyły się nowe wybory do sejmu, komitet czeskich mężów zaufania wystosował do wyborców czeskich odezwę, w któréj powiedziano: „Nie wzywamy do walki, bo pragniemy pokoju; ale posłowie nasi gotowi do obrony równouprawnienia wejdą do sejmu *nie po to, żeby tam szukać walki, albo zdążać do pierwszeństwa przed innemi, ale aby stworzyć dzieło pokoju.*“

Wybory do sejmu w 1883 r. wytworzyły znowu w czeskim sejmie mniejszość niemiecką, bowiem 74 reprezentantów wielkiéj własności ziemskiéj należy nie do niemieckiéj partyi centralistycznéj, lecz co do królestwa czeskiego hołduje zasadom samorządu i muszę tu wyraźnie zaznaczyć, że znaczna liczba reprezentantów wielkiéj własności ziemskiéj, głosujących w sejmie czeskim z Czechami przeciwko Niemcom, z pochodzenia należy do narodowości niemieckiéj. Owych 74 posłów wielkiéj własności ziemskiéj tworzy swój własny klub; w „klubie czeskim“ zbierają się według narodowości tylko czescy deputowani, czeskich miast i gmin wiejskich; daléj istnieje trzeci klub, niemiecki, w którym gromadzą się według narodowości niemieccy posłowie niemieckich miast i gmin wiejskich na wspólne narady.

Nieustającym przedstawicielem reprezentacyi krajowéj, jest złożony z 8 członków Wydział krajowy (2 z kuryi wielkiéj posiadłości ziemskiéj, 2 z kuryi miast i izb handlowych, 2 z kuryi gmin wiejskich i 2 wybranych przez cały sejm). W kuryi miast i izb handlowych mają Niemcy według istniejącéj ordynacyi wyborczéj większość, w kuryi gmin wiejskich Czesi są naturalnie w większości. Jeżeli zatém kurya wielkiéj własności ziemskiéj głosuje z Niemcami, w takim razie Niemcy mogą w wydziale krajowym mićć 6 członków a Czesi tylko 2. Dopóki więc Niemcy w sejmie miewali większość przy pomocy wielkiéj własności ziemskiéj, wydarzało się tak zawsze, Niemcy bowiem nie zgadzali się nigdy na proponowany kompromis, żeby z całego sejmu do wydziału krajowego wybierany był 1 Czech i 1 Niemiec, przyczém mieliby i tak zawsze większości 5 przeciwko 3. Niemcy wyzyskiwali zawsze swoję większość bezwzględnie. Czeska większość sejmu nie czyni tego, ale stoi konsekwentnie przy dawnéj przyjaznéj uprzejmości dla Niemców i wybiera z całego sejmu do wydziału krajowego 1 Niemca i 1 Czecha.

Oprócz tego dowodu usposobienia pokojowego i przyjaznego ponowioną została w 1883 r. formalna propozycya pożądanego porozumienia.

Dr. Rieger, przewodniczący w komitecie czeskich mężów zaufania (sbor dǔvěrniků), wystosował 1-go sierpnia 1883 r. następujące pismo do dra Schmeykala, politycznego przywódcy Niemców:

„*Szanowny Panie!*

„Równouprawnienie narodowe stało się zasadniczém prawem państwowem. Niejednokrotnie jednak wyrażone było zdanie, które nawet wystąpiło w formie projektów do praw, że do odpowiedniego przeprowadzenia tego zasadniczego prawa potrzebne są jeszcze dalsze rozporządzenia. Mianowicie w naszéj ojczyźnie, w Czechach, niezbędne są jeszcze przepisy co do zastosowania tego zasadniczego prawa państwowego w szkole, w urzędzie i w życiu publicznêm, brak bowiem takich praw daje z jednéj strony powód do utyskiwań, że ta zasada w praktyce nie jest w słusznéj mierze uwzględniona, z drugiéj strony budzi obawę, ażeby jedna lub druga narodowość skutkiem falowania większości, albo skutkiem łaski czy téż niełaski władz, nie kierowanych stałą normą, nie była w prawach swoich ograniczona lub téż w swoim rozwoju narodowym krępowana. Stan taki podsyca niezadowolenie w naszéj ojczyźnie i nieufność między dwiema w kraju narodowościami. Wobec siły narodowego w nich poczucia, prawo w téj materyi, choćby konstytucyjnie jedynie drogą większości postanowione, nie byłoby wystarczającém do nakazania milczenia utyskującym i do usunięcia nieufności dzielącéj dwa narody, dopóki większość nie poprze swego prawa obustronném uznaniem jego słuszności.

„Dla osiągnięcia tego i utrwalenia zgody w kraju najpewniejszym środkiem byłby swobodny, przez oba narody zawarty pakt, który po poprzedniem, poza-parlamentarném między niemi porozumieniu, zostałby uchwalony przez sejm i pod opiekę korony, jako zasadnicze prawo krajowe oddany.

„Dążyć do takiego porozumienia się poza-parlamentem, jest niewątpliwie poważnym, niecierpiącym zwłoki obowiązkiem przedstawicieli dwu narodowości, zaleconym również nagląco w interesie całego państwa.

„Posłowie narodowości czeskiéj proponowali w celu zabezpieczenia wszelkich narodowych i cywilizacyjnych interesów obu narodowości, głosowanie według narodowych kuryi i inne tym podobne normy. Gdyby przedstawiciele narodowości niemieckiéj, nie ograniczając zasady równouprawnienia, chcieli zaproponować inne rękojmie, jesteśmy gotowi rozpatrzéć takowe. Przesyłamy zatém przedstawicielom niemieckich Czech szczere, braterskie wezwanie, aby z pośród siebie wybrali komisyę z 3—5 mężów zaufania, która zgromadziłaby się z naszemi mężami zaufania w równéj liczbie i na podstawie obustronnych projektów, starałaby się porozumiéć co do prawa o przeprowadzeniu równouprawnienia narodowego i o ochronie obu narodowości w naszéj ojczyznie.

„Powyższą propozycyę przesyłam w imieniu klubu czeskich deputowanych do szanownego pana, jako przewodniczącego w klubie posłów niemieckich z prośbą zakomunikowania i uzyskania odpowiedniéj uchwały.

„Piszę się z wysokim poważaniem

Dr. Rieger.

Na ten list otrzymał dr. Rieger po kilku dniach odpowiedź od dra Schmeykala, *że niemieccy mężowie zaufania stanowczo odrzucają wnioski dra Riegera.*

Po tém wszystkiém mogę powiedziéć krótko: pragnęlibyśmy chętnie żyć w zgodzie z naszymi ziomkami niemieckimi, ale Niemcy stanowczo tego nie chcą. Co do pobudek takiego usposobienia i postępowania ze strony Niemców, czytelnik tych listów nie może miéć żadnéj wątpliwości. Przekształcenia spełnione w łonie partyi niemieckiéj były w nich scharakteryzowane; niech mi jednak wolno będzie przytoczyć jedno jeszcze niezbite świadectwo na poparcie słuszności moich w téj materyi wywodów.

Do organu zachowawców w Tyrolu „Neue Tirolen Stimmen“ pisano co następuje pod datą 26 grudnia 1885 r.

„Wrzenie między Niemcami w Czechach północnych coraz większe, młodo-Niemcy i staro-liberalni (kasyno niemieckie w Pradze) stoją teraz naprzeciw siebie w zupełnym szyku bojowym. Dotychczas opozycya (zjednoczona lewica) utrzymywała ciągle, że nie istnieje wśród niéj żadna rozterka i że wszystkie w niéj grupy wysoko trzymają sztandar jedności państwowéj, centralizmu i liberalizmu. Obecnie młodo-Niemcy wypierają się tego zapatrywania w swoich organach z całą stanowczością. Oświadczają otwarcie, że nie myślą bynajmniéj dopomagać do utworzenia w Austryi obok niemieckiego cesarstwa drugiego państwa niemieckiego. Nie chcą więc słyszéć o centralizmie, lecz zmierzają raczéj do możliwego rozluźnienia stosunku niemieckich krajów Austryi do słowiańskich narodowości za pomocą sfederalizowania cesarstwa austryackiego i pracują jedynie nad zdobywaniem dla niemieckich krajów jaknajszerszéj autonomii. Brzmi to krótko, węzłowato: chcemy wszystko przygotować do przyszłéj aneksyi Austryi niemieckiéj do Prus.“

Takie jest już obecnie i w Wiedniu zdanie o krańcowo-narodowéj partyi w Czechach, co pragnąłem zaznaczyć, nie chcąc podać się w podejrzenie u czytelników, że na te rzeczy patrzę przez stronnicze powiększające okulary.

Zresztą anty-austryacka agitacya krańcowéj niemiecko-narodowéj partyi w Czechach, wywołała już od kilku lat zbawienną re-

akcyą między naszymi współziomkami niemieckimi. Utworzył się „niemiecki związek włościan“ w celu wystąpienia przeciw bezowocnemu i ogólnie szkodliwemu podburzaniu narodowości i pracowania nad tém, ażeby Niemcy i Czesi zjednoczonemi siłami strzedz mogli we wspólnéj ojczyźnie swoich interesów materyalnych, szczególniéj na polu rolnictwa. Pod nazwą „austryackiéj partyi ekonomicznéj“ połączyli się ludzie inteligentni różnych stanów dla przeciwdziałania zgubnym czynom agitatorów krańcowo-narodowych, a sama nazwa partyi wskazuje już wyraźnie jéj program, według którego członkowie tego stronnictwa, jako Austryacy większą wagę przywiązują do kwestyi i zadań ekonomicznych, aniżeli do zajmowania się sporami narodowości. I ta partya również chce w spokoju i zgodzie z narodem czeskim zdążać do swego celu, t. j. do popierania interesów ekonomicznych całego kraju wspólną pracą i dla tego otwarcie jest za pojednaniem narodowém, za porozumieniem się obu narodowości mieszkających w królestwie czeskiém.

Obie te partye są naturalnie solą w oku krańcowo-narodowym podszczuwaczom w północnych Czechach. Według ich zapatrywania, każdy Niemiec, który odzywa się o pokoju i zgodzie z Czechami, jest zdrajcą sprawy niemieckiéj, używają się więc wszelkie możliwe środki fanatycznego teroryzmu stronniczego, ażeby stronników tych obu partyi zachwiać i nawrócić. Zwracam uwagę pod tym względem na artykuł wiedeńskiéj „Pressy“ (N. 297 z 28 października 1885) pod tytułem „*Prześladowani Niemcy.*“

Z powodu wniesionych do rady państwa przez niemieckich posłów z Czech północnych oskarżeń i utyskiwań nad prześladowaniem i uciskiem Niemców w Czechach, przypomina „Presse“, że w północnych Czechach znajduje się wielu „prześladowanych Niemców“, o których w końcu należałoby również pomówić. Ci Niemcy są istotnie prześladowani, ale przez swoich niemieckich współziomków. Dziennik wiedeński przytacza następujący szczególny wypadek:

Dr. Schneider, dyrektor niemieckiéj szkoły rolniczéj w Kadaniu, poseł na sejm i członek rady kultury krajowéj, oświadczył się w 1883 r. przeciwko zamierzonemu wtedy przez niemiecką partyą, jedynie w celach agitacyi wystąpieniu niemieckich członków z krajowéj rady kultury i ogłosił deklaracyą, w któréj stanowczo potępił prowadzoną w niemieckim obozie agitacyą, wskazując na to, że ta instytucya przeznaczona do opiekowania się interesami gospodarstwa rolnego, która niema nic do czynienia z kwestyami narodowości, nawet w obecnym swoim składzie (to jest przy czeskiéj większości) uwzględniała zawsze dostatecznie życzenia niemieckich stowarzyszeń

ekonomicznych i popierała je hojnie w stosunku do posiadanych funduszów (1).

Dr. Schneider był ogłoszony natychmist za zdrajcę sprawy niemieckiéj i jak pisze „Presse“ formalnie go ekskomunikowano. Żadnemu szynkarzowi w Kadaniu nie dozwolono podać mu szklanki piwa, lżono go na ulicy, posunięto się nawet do znieważenia jego żony. Rada miejska kadańska stała się organem wykonawczym zemsty narodowców niemieckich. Na kazdém posiedzeniu kuratoryum szkoły rolniczéj Schneider doznawał upokorzeń. Podburzono przeciw niemu krewnych, zaniepokojono interesantów, u których robił niektóre zakupy, i to wszystko trwało dopóty, dopóki biedny człowiek nie zmiękł i poddał się, co podobało się nazwać, „przebudzeniem sumienia niemieckiego“ d-wi Knotzowi, który nie ośmielił się odczytać publicznie w radzie państwa odpowiedniego pisma Schneidra.

Prezes rady powiatowéj czesko lipskiéj, Hölzl, oświadczył się również za programatem „austryackiego stronnictwa ekonomicznego“. „Prześladowania nietylko jego samego, pisze „Presse“, ale nawet jego synów. 23 marca 1885 r. w „Obronie“ Wernsdorfskiéj ukazał się namiętny list z Chribska przeciwko tamtejszemu aptekarzowi, synowi Hölzla, i o co?—o to że w oberży w tém miasteczku leżał dziennik partyi ekonomicznéj; zadenuncyowano więc Hölzla, że on to był tym, który tam przyniósł ową gazetę.

Gospodarz wiejski Hüttl w Habakladrau jest prezesem miejscowego „Stowarzyszenia włościan niemieckich.“ Cała miejscowość została za to ekskomunikowaną przez niemieckich podszczuwaczy gazeciarskich, Hüttla obrzucono obelżywemi słowami, do domu jego krążyły i krążą listy z groźbami, które, winienem tu dodać, nie zachwiały jeszcze tego dzielnego człowieka w jego uczciwych dążeniach.

Szczególnie charakterystycznem jest to, co się zdarzyło p. Fritsch'owi, członkowi partyi ekonomicznéj, budowniczemu z Breznicy nad Elbą, w Czeskiéj Lipie, dokąd przybył bynajmniéj nie w celach agitacyjnych, ale za własnemi interesami prywatnemi. Przeciwko temu człowiekowi, jedzącemu najspokojniéj obiad w oberży, urządzono formalny tumult uliczny, wypędzono go z oberży, na ulicy

---

(1) Subwencye użyte na cele ekonomiczne lub rozdane stowarzyszeniom ekonomicznym:

	Ogólna suma	*w okręg. niemiec.*	*w okręg. czeskich.*
1880	31,786 fl. 43 c.	16,273 fl. 70 c.	15,512 fl. 83 r.
1881	42,706 „ 55 „	21,623 „ 74 „	21,082 „ 81 „
1882	37,389 „ 53½ „	18,527 „ 79 „	18,861 „ 74½ „
1883	53,967 „ 31 „	27,193 „ 88 „	26,773 „ 43 „

ścigał go tłum obelżywemi słowami i w końcu Fritsch musiał zażądać eskorty żandarmów, ażeby cało z miasta się oddalić.

W marcu 1885 r. niemiecki exporter w Jabloncu, p. Palma uległ proskrypcyi za to, że znany lekarz czeski z Libereca u niego się zatrzymał. Gdy późniéj Palma zaprzeczył temu, przebaczono mu, ale wkrótce znów wpadł w niełaskę, ponieważ posłał ogłoszenie do jednego z dzienników czeskich.

Nie chcąc nużyć czytelnika, pomijam inne wypadki przytoczone przez „Presse“ i kończę następującym: „W grudniu 1885 r. zmuszono pewnego p. Purscha w Nedowesce do podpisania deklaracyi przeciwko partyi ekonomicznéj. Jakim sposobem się to stało, pisze p. Józef Pursch 19 grudnia 1885 r.

„Oświadczam zgodnie z prawdą, że wymuszono na mnie tę deklaracyą, że zagrażano mi nietylko szkodą na majątku, na opinii, ale utratą życia. Liczba wdzierających się do mnie podszczuwaczy była tak znaczną, że chcąc z całą skórą wydostać się z tego „niemieckiego“ koła, podpisałem wszystko czego żądano.“

„Presse“ kończy swój artykuł następującemi słowy: „Podobnych wypadków moglibyśmy setki przytoczyć, ale dość będzie tych które nam na pamięć przyszły. Wobec tych wypadków, tych niesłychanych prześladowań niemieckich mężów i dobrych patryotów austryackich, pozwalamy sobie i my, postawić pytanie jego ekscelencyi panu prezesowi ministrów, czy mu są znane te stosunki i jeżeli tak jest, co zamyśla uczynić rząd c. k., ażeby na przyszłość obywatele tego państwa zabezpieczeni byli od zamachów na ich cześć, mienie i życie?“

Otóż przytoczywszy to wszystko, mogę śmiało wyrzec, że agitacya rozpoczęta tak energicznie przez Niemców w 1879 r. i od tego czasu wszelkiemi środkami prowadzona wśród ludności niemieckiéj, w celu obudzenia w niéj niezadowolenia z rządu, przynajmniéj niezbyt wrogo względem Słowian usposobionego, i nienawiści dla narodu czeskiego, złe przynosi owoce, a w północnych Czechach wytworzyła stan, który już tu i owdzie wyradza się w ruchy rewolucyjne i anarchiczne. Rzeczy zaszły już tak daleko, że i Niemcom musiały się stać nieprzyjemnemi. Jeżeli w Duchcowie wybuch ładunku dynamitowego wysadza w powietrze lokal „Czeskiéj besedy,“ przyczém na szczęście nikt życia nie postradał, jeżeli do zgromadzonych w Liberecu w pokojach „Czeskiéj besedy“ padają dwa strzały z fuzyi, które również nikogo nie ranią, jeżeli w tém samém mieście młody człowiek napadnięty nocą otrzymuje zagrażające życiu rany od pchnięcia nożem, jedynie tylko za to, że jest Czechem,—to wszystko to może odpowiadać celom niemiecko-narodowéj agitacyi; ale gdy

w wielkiem ognisku przemysłowém Liberecu, téj, tak zwanéj stolicy niemieckich Czech, dziedzicznie osiedli właściciele fabryk, handlujący i właściciele domów, słowem kapitaliści, najpierwsi autorowie międzynarodowych podszczuwań, w przebiegu podnieconego przez siebie ruchu i wzburzenia kończą na tém, że ich drobni mieszczanie i robotnicy, użyci tylko za narzędzia agitacyi wypierają z rady miejskiéj, co w ostatnich czasach wydarzyło się istotnie; kiedy na wzór opisanego wyżéj „napadu w Langenbruck,“ na niemieckie towarzystwo kapitalistów libereckich, podczas szlichtady napada horda dzikiego motłochu i z równém brutalstwem panie i panów turbuje, jak się to przytrafiło w ostatnich dniach grudnia 1885 r. w Liberecu,— to panowie agitatorowie muszą się nad tém zastanowić, że łatwiéj jest masy podburzyć aniżeli utrzymać je w granicach zakreślonych przez samolubne cele tak zwanych przywódców. I dla tego nie jest rzeczą niemożliwą, że Niemcy w północnych Czechach zmuszeni będą wezwać przeciw wywołanym przez siebie a nie dającym się teraz zakląć duchom, interwencyi tego samego rządu, który właśnie z pomocą tych duchów obalić chcieli.

Łatwo pojąć, że stosunki społeczne w Czechach cierpieć muszą pod działaniem téj walki stronnictw narodowych. W miastach z ludnością mieszaną a szczególnie w stolicy kraju, w Pradze (około 150,000 Czechów i 30,000 Niemców) żywioł słowiański wyodrębniony jest pod każdym względem od niemieckiego. Stowarzyszenia stoją wrogo naprzeciw siebie. „Nie kupujcie u Czecha!“ „Nie dawajcie roboty Czechowi,“ „Nie wdawaj się z Czechem,“ głosi agitacya niemiecko-narodowa, a Czesi odpowiadają z konieczności w tym samym tonie. Na szczęście, w praktyce, takie zasady nie są powszechnie stosowane, ale odzywają się niewątpliwie.

Ponieważ my pragniemy szczerze przyjaznego z Niemcami stosunku, niemieccy zaś agitatorowie z zasady wstręt do niego żywią, więc wynika z tego, że mamy względem Niemców więcéj swobody ruchów, gdy tymczasem u nich wszelkie przychylne do nas zbliżenie piętnowane jest jako zdrada narodowa. Z tego powodu liczba Niemców pozostających z Czechami w przyjaznym stosunku nie jest wielką, tacy bowiem uważani są zwykle za straconych synów matki Germanii. Między takiemi niewdzięcznemi dziećmi, wybitną rolę odgrywa Heinrich, poseł do rady państwa. Heinrich, z pochodzenia prawdziwy Niemiec, ale przytém szlachetny charakter, dla którego nawet w tym okresie opłakanych sporów między narodowościami, ludzkość więcéj waży niż narodowość, wypowiedział już od wielu lat swoje silne przekonanie, że Niemcom w Czechach nic innego nie pozostaje, jak wyrzec się dążenia do narodowéj przewagi i zawrzeć

pakt z Czechami na podstawie uczciwie przeprowadzonego równouprawnienia.

W ostatniéj swojéj mowie przy rozprawach nad adresem w radzie państwa, 20 października 1885 roku wypowiedział Heinrich co następuje:

„Cała nasza polityka wewnętrzna obraca się nie około jedności państwa lub liberalizmu czy też germanizmu, lecz właściwie około Czech i cała treść téj polityki da się streścić w pytaniu: „*Czy naród czeski będzie uważany za równouprawniony czynnik państwowy czy też ma być napowrót strącony do znaczenia Helotów?*“

„Ja na to odpowiadam: W interesie państwa, w interesie dynastyi, naród czeski nie może schylać się nadal pod jarzmem téj partyi (tak zwanéj partyi konstytucyjnéj), bo naród czeski jest najsilniejszą i najwierniejszą podporą dynastyi i monarchii. Narodowi, który ze swego geograficznego położenia zespolony jest z Austryą, który doszedłszy do takiego stopnia kultury, w Austryi widzi szczęście, ocalenie, wszystko, takiemu narodowi każdy wierny Austryak musi bratnią dłoń podać.

„Gdyby ten naród, co nie daj Boże, miał jeszcze raz wziąć na siebie krzyż, którym go to stronnictwo obciążało, i nieść go aż na Golgotę, wtedy tam na Golgocie, zostałaby do krzyża przybita nietylko narodowość czeska, ale sama monarchia.“

Heinrich jest naturalnie w téj chwili najbardziéj przez narodowców niemieckich nienawidzonym człowiekiem, bo im w grze przeszkadza. Pragnęliby z całéj duszy unicestwić moralnie tego nieustraszonego zapaśnika prawdziwéj ludzkości i cywilizacyi, ale nie mogą tego dokazać, bo Heinrich stojący pod względem społecznym zupełnie niezależnie, nic innego nie wypowiada, prócz uczciwych, bezinteresownych przekonań. Heinrich jest członkiem „austryackiéj partyi ekonomicznéj“ i jakkolwiek to stronnictwo w północnych Czechach ciężkie ma warunki, to nie mniéj można, nieledwie na pewno wróżyć, że odegra jeszcze swoję rolę w pożądaném zakończeniu nieszczęsnéj walki narodowościowéj.

A teraz jeszcze słówko o rozterkach w czeskim obozie narodowym. Przypominam przedewszystkiém o tém, co powiedziałem przy końcu mego ostatniego listu o d-rze Juliuszu Grzegrze właścicielu „Narodnich listów,“ bo to co następuje, jest tylko potwierdzenie wypowiedzianego o nim zdania.

Podaję tu przedmiotowe zupełnie przedstawienie sprawy, pozostawiając sąd o niéj samemu czytelnikowi.

Według statutu gminy praskiéj, mandat członków reprezentacyi miejskiéj trwa 3 lata, co rok zaś trzecia część w miejscu stępujących przez losowanie członków na nowo bywa wybierana. Ostatnie wybory dopełniające praskiéj reprezentacyi miejskiéj odbyły się 14 grudnia 1885 r. W ciągu wielu lat Niemcy nie brali udziału w tych wyborach; reprezentacya była wyłącznie czeską. Wszelkie z naszéj strony wnioski, dążące do kompromisu, któryby zapewnił Niemcom odpowiedni cyfrze ich ludności udział w téj reprezentacyi, były przez nich odrzucane. Odrazu organa niemieckie zapowiedziały przed temi wyborami, że niemieccy wyborcy przyjmą w nich udział w celu stwierdzenia swéj siły. Z naszéj strony powtórnie postawiony był wniosek kompromisu, który powtórnie Niemcy odrzucili. *Należało zatém w naszym dobrze zrozumianym interesie czeskiego stronnictwa narodowego dowieść Niemcom jednolitemi zupełnie wyborami, że bez porozumienia z nami nieprzeprowadzą nigdy swoich kandydatów przy wyborach gminnych.* Pod przewodnictwem d-ra Riegera utworzyła się „Jednota občanů pražskych“ w celu zaproponowania kandydatów do reprezentacyi miejskiéj; ta „Jednota“ liczy około 800 członków. Obok tego stowarzyszenia, przedstawiającego, bądź co bądź, większość wyborców, powstały, pod osobistym protektoratem d-ra Juljusza Gregra, dwa tak zwane „kluby wyborcze“ jeden na Starem, drugi na Nowém mieście, i oba postawiły swoich własnych kandydatów. Mimo to, dla osiągnięcia jednolitego wyboru, „Jednota“ przedsięwzięła odpowiednie kroki w celu porozumienia się z temi klubami. Pożądane porozumienie doszło do skutku na Nowém mieście, ale drugi klub odrzucał je uparcie, a „Narodni listy“ stanęły po jego stronie przeciwko „Jednocie.“ W ostatniéj chwili, tj. w dniu wyborów „Narodni listy“ wystąpiły nakoniec z własną trzecią listą kandydatów. Wyborcy czescy mieli więc do wyborów na Starém mieście zamiast jednéj trzy listy kandydatów; „Jednoty“, klubu staromiejskiego i „Narodnich listów.“

Zaznaczyć wypada, że na Starém mieście od 1861 r. szczególniéj w I okręgu wyborczym, w ciągu wielu lat Niemcy miewali większość, i że dopiero od lat 10 udało nam się tam przedostać z naszemi kandydatami. Stare Miasto było więc naszym słabym punktem, i tam przedewszystkiém należało jednomyślnie wybierać, a tam właśnie dzięki usiłowaniom dra Juliusza Gregra mieliśmy 3 listy kandydatów.

Wynik wyborów 14 grudnia 1885 r. w I-ym okręgu wyborczym na Starém mieście, gdzie wypadało wybrać pięciu członków

Wyborców	Złożono głosów	Większość	Kandydaci Jednoty	Kandydaci niemieckiego Kasyna	Kandydaci Klubu
602	455	**228**	**233** *	209	78
			175	206	74
			172	204	74
			167	203	72
			164	201	

* *Uwaga.* — Również kandydat klubu.

Czescy kandydaci mogli więc mieć większość 240 przeciwko 209, ale wybrano tylko jednego członka, czterech zaś pozostających do wybrania czeka na tak zwane ściślejsze wybory, które odbędą się 11 stycznia 1886 r. Zachowują się przytém następujące przepisy:

Podwójna liczba mających się wybrać członków składa się z tych, którzy przy pierwszych wyborach mieli najwięcéj głosów, z pomiędzy tych *muszą* być brakujący wybrani. Do tych zatém ściślejszych wyborów staje 5 niemieckich kandydatów i 3 czeskich, a ponieważ z tych musi być wybranych 4, więc w najlepszym razie 3 tylko czeskich kandydatów wyjdzie z wyborów, a *czwartym musi być niemiec.*

Wynik wyborów dopełniających 11 stycznia 1886 r. w I-szym okręgu wyborczym na Starém mieście należało wybrać 4 członków:

Wyborców	Złożono głosów	Kandydaci Jednoty	Kandydaci niemiec. Kasyna	Klub Starego miasta
602	489.	270	222	wybrał
	Więk-	269	217	kandydatów
	szość 245	268	216	Jednoty
			216	

Dnia 12 stycznia, a zatém nazajutrz po wyborach dopełniających czytano co następuje w „Narodnich listach“:

„Dzisiejsze niepowodzenie musi być dla klubu Starego miasta wezwaniem do wytężenia wszystkich sił w celu zaznaczenia jego dążeń za pomocą zbawiennéj działalności w interesie gminy i ludności i do odebrania tym, którym się zdaje, że mogą przewodzić wyborcom praskim, ich rzekomego przywileju, wreszcie do utorowania

drogi swobodnym przekonaniom inteligentnego i myślącego mieszczaństwa."

Powtarza się zawsze stara piosenka. Każda większość niema słuszności, każda mniejszość ma za sobą święte prawo dla tego tylko, że jest mniejszością — tylko tym razem piosenka śpiewa się jedynie na korzyść Niemców. „Ci ludzie zapłaceni są przez Niemców", powiedział do mnie po wyborach stary mój przyjaciel jenerał Zach. który obecnie w Pradze zamieszkał. — Tego nie powiem, odrzekłem, ale gdyby byli przez Niemców zapłaceni, nie mogliby lepiéj brać się do rzeczy.

Panowie z narodowéj mniejszości pocieszają teraz siebie i innych twierdzeniem, że wszystko jest dobrze, że *„żaden Niemiec"* nie będzie zasiadał w kolegium reprezentantów miasta. Muszę tu zauważyć, że to właściwie ma znaczyć: żaden kandydat niemieckiego Kasyna, bo Niemcy tam są i to niemcy wybrani przez Czechów, więc tacy, którzy chcą żyć w spokoju i zgodzie z Czechami i dla tego nie są uznawani przez stronnictwo niemieckie za prawdziwych Niemców. Co do saméj rzeczy, to prawo orzeka wyraźnie w przedmiocie ściślejszych czyli powtórnych wyborów: „Dwa razy tyle kandydatów ile potrzeba wybrać, przedstawia się z pomiędzy tych, którzy przy pierwszych wyborach najwięcéj mieli głosów i z tych muszą być wybrani brakujący." Nie może więc ulegać żadnéj wątpliwości, że trzecie wybory nie będą zarządzone, lecz że ten z pomiędzy kandydatów niemieckiego Kasyna, który otrzymał najwięcéj głosów, ma figurować jako czwarty do wybrania, czyli jako ostatecznie wybrany. A gdyby nawet mogły być zarządzone trzecie wybory, to wtedy z konieczności wystąpią tacy dwaj kandydaci niemieckiego Kasyna, którzy po trzech większością wybranych najwięcéj mieli głosów, a ponieważ z tych dwóch w każdym razie jeden musi być wybrany, więc jasném jest, że będzie nim kandydat niemieckiego Kasyna, a z tego równie jasno wynika, iż rzekome pobudki panów z mniejszości narodowéj do pocieszania się wzajemnie, żadnéj nie mają podstawy.

Wspomnę nareszcie pokrótce o posiedzeniach austryackiéj rady państwa we wrześniu i październiku 1885 r. i sejmu czeskiego w grudniu i styczniu 1885—6 jedynie dla zaznaczenia, że tu i tam nic stanowczego nie zdecydowano w przedmiocie, o którym mowiłem. Przeciwko interpelacyi lewicy niemieckiéj o tak zwanym ucisku i o rzekomych prześladowaniach Niemców w Czechach, wniósł Rieger natychmiast na tém samém posiedzeniu kontr-interpelacyą, w któréj szczególny nacisk położono na potrzebę karania według całéj surowości prawa sprawców wszelkich opłakanych nadużyć.

W sejmie czeskim przeciwko wnioskowi Plenera postawiony był wniosek Trajana. Jednocześnie, gdy Plener proponował zniesienie prawa językowego z 19 kwietnia 1880 i podział Czech pod względem administracyjnym i sądowym na dwie części, w ten sposób, żeby w niemieckiéj części język niemiecki był wyłącznie obowiązującym urzędowym we wszystkich władzach, i żeby natomiast w czeskiéj części było przeprowadzone zupełne równouprawnienie obu języków krajowych. Trajan domagał się ostatecznego przeprowadzenia równouprawnienia narodowego dla obu ludów we władzach państwowych i autonomicznych całego królestwa czeskiego.

Komisya sejmowa, do któréj odesłano oba wnioski dla zdania z nich sprawy, postawiła następujące wnioski:

1. Przejście nad wnioskiem Plenera do porządku dziennego.
2. Co zaś do wniosku Trajana:

„sejm wyraża przekonanie, że w zakresie praw istniejących na całém terytoryum królestwa czeskiego, języki czeski i niemiecki mogą być uznane za równouprawnione, że zatém każdy musi mieć swobodę wnoszenia swoich próśb i podań do wszystkich c. k. sądów i innych władz cywilnych koronnych w języku czeskim i niemieckim i że wszystkie c. k. sądy, jako téż władze cywilne koronne winny je w całkowitym przebiegu przez instancye przeprowadzać, rozstrzygać i załatwiać w jednym i tym samym języku.

„Wzywa się rząd, ażeby ściśle zastosował pod tym względem prawa istniejące, *o ile by zaś takowe okazały się niewystarczającemi, żeby wniósł drogą konstytucyjną odpowiednie projekta do praw.*

„Wzywa się rząd, ażeby we własnym zakresie działania przedsięwziął, co do komunikowania się władz państwowych cywilnych między sobą i z organami autonomicznemi takie środki, jakich wymagać będzie przeprowadzenie bez przeszkód téj zasady, i które, przy zabezpieczeniu wymagań służby publicznéj i jednolitego jéj sprawowania, odpowiadają stosunkom i potrzebom ludności, a szczególniéj prawnym interesom stron.

„Wzywa się rząd, ażeby w porozumieniu z komisyą sejmową przygotował i sejmowi na najbliższém posiedzeniu przedstawił projekta do praw, w których byłoby uregulowane jasno i dokładnie: *a.* określenie języka urzędowego organów autonomicznych i połączone z tém zabezpieczenie praw mniejszości narodowych; *b.* używanie języków krajowych w stosunkach organów autonomicznych między sobą i ze stronami; *c.* używanie języków krajowych przez organa autonomiczne w stosunkach z władzami państwowemi, *w duchu zupełnego obu języków równouprawnienia.*“

W dniu 19 stycznia 1886 r., na przedostatniém posiedzeniu sejmu, po dwudniowych burzliwych rozprawach oba te wnioski przyjęte zostały większością głosów (posłów czeskich i wielkiéj własności ziemskiéj).

Z rozpraw uwydatnić wypada to tylko, że istniejące przeciwieństwa wystąpiły nader ostro. Kilku niemieckich mówców odwoływało się zupełnie otwarcie do pomocy cesarstwa niemieckiego, a dr. Knotz, wielki wirtuoz „ostrzejszego tonu“ powiedział, że Niemcy w Czechach odwracają się *ze wstrętem* od wszystkiego, co jest czeskiém.

Losy nasze mają zatém związek z wielką europejską polityką, o któréj w przyszłym liście parę słów będę musiał powiedziéć.

Praga 21 stycznia 1886.

Dr. Gabler.





SPRAWA
WYKOPALISK MNIKOWSKICH.

Amicus Plato, amicus Aristoteles, sed magis amica veritas.

P. P. archeologowie francuscy Chantre i Adryan de Mortillet (syn), udając się w r. 1883 na zjazd archeologów w Rosyi, po drodze wstąpili do Krakowa i podczas krótkiéj bytności w tém mieście, podobno kilkonastogodzinnéj, zwiedzili zbiory archeologiczne Akademii Umiejętności pod przewodnictwem dra Kopernickiego. Pomiędzy innemi, przez szyby przyjrzeli się wykopaliskom, które p. Ossowski zebrał w jaskiniach wąwozu Mnikowskiego; wykopaliska uczyniły na nich wrażenie rzeczy podrobionych. Uwagi i objaśnienia d-ra Kopernickiego nic nie pomogły; zwłaszcza p. A. de Mortillet przypatrzywszy się niektórym wyrobom nieco bliżéj, z nieprzepartym uporem obstawał przy swojem. Wątpliwości pp. Chantre i A. de Mortillet znalazły odgłos we Francyi i stały się powodem wymiany rozmaitych zdań, które mamy tu poznać; przedewszystkiém jednak wypada mi kilka słów poświęcić historyi badań p. Ossowskiego w jaskiniach.

* * *

Stosownie do polecenia komisyi Antropologicznéj przy Akademii Umiejętności w Krakowie p. Godfryd Ossowski przedsięwziął zbadanie jaskiń okręgu krakowskiego i pomiędzy innemi w latach 1880, 1881, 1882 z wielką starannością zbadał 10 jaskiń położonych w wąwozie Mnikowskim należącym do dóbr Mnikowa. W tych jaskiniach, w średniéj warstwie ich namuliska, znalazł on wielkie mnóstwo rozmaitych narzędzi, okrzosków i klocków krzemiennych, nie-

co wyrobów z twardych kamieni szlifowanych, małą ilość wyrobów z rogu jeleniego, około 500 wyrobów z wapienia naciekowego i blisko 7.000 wyrobów z kości; wreszcie p. Ossowski znalazł tam skorupy naczyń w ręku lepionych bez pomocy kółka garncarskiego, oraz przewiercone małżowiny (skorupy małżów). Pomiędzy wyrobami kościanemi większą część tworzyły narzędzia codziennego życia, jak szydła, łopatki, widełki itd. Znaczna stosunkowo część wyrobów z kości przedstawia fantastyczne przedmioty z wieloma wywierconemi dziurkami, a niektóre wyroby z kości i wapienia naciekowego są wyobrażeniem postaci zwierząt ssących i ptaków, oraz postaci ludzkich przedstawionych *en face* (1).

Badania p. Ossowskiego dały powód do rozmaitych sądów. Z jednéj strony nietylko podawano w wątpliwość przedhistoryczne pochodzenie większéj części wyrobów z kości i wapienia naciekowego, ale nadto twierdzono i głoszono o nowoczesném ich podrobieniu. Z drugiéj strony bardzo poważne głosy wystąpiły przeciwko tym wątpliwościom i zarzutom.

P. Ossowski pragnąc usunąć wątpliwości i prawdę wyjaśnić, prosił komisyą Antropologiczną przy Akademii Umiejętności o wyznaczenie z jéj grona komitetu dla zbadania autentyczności wyrobów z jaskiń Mnikowskich. Komisya Antropologiczna czyniąc zadość temu żądaniu, powołała do składu komitetu pp. Łepkowskiego prof. archeologii, dr. Altha prof. geologii, dr. Kopernickiego docenta antropologii, oraz pp. Sadowskiego i Ossowskiego członków komisyi. Tymczasowe przewodnictwo pawierzono prof. Łepkowskiemu, a po ukonstytuowaniu się komitetu na przewodniczącego wybrano prof. Altha, a na sekretarza dr. Kopernickiego.

Właściwem zadaniem komitetu było zbadanie, czy przedmioty zebrane przez p. Ossowskiego w jaskiniach Mnikowskich są autentyczném wykopaliskiem, czyli téż są w jakimbądź celu podrobione? Z tem zadaniem komitet połączył inne, polegające na oznaczeniu epoki archeologicznéj, do któréj należy odnieść przedmioty w mowie będące, gdyby ich autentyczność została udowodniona. Pierwszemu z tych zadań komitet poświęcił 15 posiedzeń od 6 grudnia 1884 do

---

(1) Wypadki swych badań p. Ossowski wyłożył w krótkich sprawozdaniach ogłoszonych w „*Zbiorze wiadomości do Antropologii krajowéj* t. 5, 6 i 7;“ w „*Sprawozdaniach komisyi fizyograficznéj* tom 17. W streszczeniu podał on wiadomość o swych badaniach po francusku w czasopiśmie: *Matériaux pour l'histoire primitive et naturelle de l'homme*, Serya 2, tom 13, str. 1—20.

15 marca 1885 r., drugiemu 5 posiedzeń od 28 marca 1885 r. do 27 kwietnia t. r. (1).

I. *Autentyczność wykopalisk Mnikowskich.*

Według p. Ossowskiego pogłoski o podrobieniu przedmiotów z kości i kamienia naciekowego, pochodzących z jaskiń Mnikowskich, powstały w Krakowie, a powód do pogłosek dało wyrzeczenie prof. Łepkowskiego, „*to chłopcy Mnikowscy robili*,“ czemu jednak uczony profesor zaprzeczył, oświadczając na posiedzeniu komitetu, że nigdy nie mówił, iżby przedmioty z jaskiń Mnikowskich były sfałszowane.

W jesieni 1882 r., na żądanie prof. Woldřicha p. Ossowski posłał kilkanaście okazów wykopalisk do Wiednia, gdzie przedstawiono je na posiedzeniu towarzystwa antropologicznego. Prof. Woldřich uznał je za prawdziwe, lecz p. Szombathy i dr. Much, nie zbadawszy należycie okazów, oświadczyli, że to są przedmioty podrobione. Następnie dr. Much listownie uzasadnił swoje zdanie, a mianowicie wyjaśnił, że na powierzchniach szydeł widać płaszczyzny podobne do płaszczyzn na powierzchni zatemperowanego ołówka; podobnych nacięć jego zdaniem, nie można dokonać narzędziami kamiennemi. Szydła na kamieniu szlifowane mają gładką powierzchnię, bez takich płaszczyzn jak na okazach z Mnikowa. Przytém dr. Muchowi wydaje się podejrzaną wielka stosunkowo ilość wyrobów figuralnych, tj. przedstawiających postacie ludzkie i zwierzęce.

Jak widzieliśmy, w końcu r. 1883 pp. Chantre i Adr. de Mortillet (syn) na mocy bardzo powierzchownego obejrzenia wykopalisk Mnikowskich uznali je także za podrobione. Po powrocie tych archeologów do Paryża, p. Cartailhac, na podstawie ich sprawozdania, w czasopiśmie „*Matériaux pour l'histoire primitive de l'homme*“ ogłosił, że p. Ossowski stał się ofiarą niegodnego oszustwa; że pomiędzy przedmiotami wydobytemi z jaskiń Krakowskich dużo jest fałszywych (*les faux abondent*).

P. Ossowski dowiedziawszy się o tém zbyt śmiałém wystąpieniu p. Cartailhac'a, który na cudze słowo tak stanowcze wyrzekł zdanie, przesłał mu list następującéj treści:

Wszystkie roboty odbywały się pod osobistym dozorem p. O. i każdy przedmiot był wydobyty w jego obecności lub własnemi je-

(1) Protokoły posiedzeń z wieloma dodatkami rzecz wyjaśniającemi komitet ogłosił w oddzielnéj książce pod tytułem: *Sprawa wykopalisk Mnikowskich.* Dodatek do tomu IX Zbioru wiadomości do Antropologii krajowéj, wydawanego staraniem komisyi Antropologicznéj Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków 1885, str. 180.

go rękami, a grunt w jaskiniach nigdzie nie był poruszony. Wszystkie przedmioty kościane i z wapienia naciekowego (których było koło 7,000) znajdowały się w téj saméj warstwie środkowéj namułów jaskiniowych, pomieszane z niezliczonemi narzędziami krzemiennemi i ze skorupami naczyń lepionych w ręku bez pomocy kółka garncarskiego. Przedmioty znajdowały się w znacznéj głębokości, czasami przeszło 9 łokci pod powierzchnią ziemi; niekiedy leżały pod wielkiemi kamieniami, które trzeba było usuwać przy pomocy kilkunastu ludzi. Zatém trzeba by było podrobić 7,000 przedmiotów i umiejętnie porozrzucać je w jaskiniach w odpowiedniéj głębokości, często pod wielkiemi kamieniami, co wymagałoby znacznych kosztów, długiego czasu i wielkiéj znajomości archeologii. Przytém trudno pojąć, jak mogłaby się podobna czynność utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza że koniecznym był współudział wielu ludzi. Przedmioty bywają podrabiane na wzór znanych już zabytków archeologicznych, gdy tymczasem znalezione w Mnikowie przedmioty posiadają nieznane dotychczas formy. Pośpieszny sąd archeologów francuskich zapewne powstał skutkiem starannego, nawet zbyt starannego obmycia przedmiotów i napuszczenia ich klejem celem zabezpieczenia przed zniszczeniem.

P. Ossowski prosił p Cartailhac'a o ogłoszenie listu w temże samém czasopiśmie, w którém wykopaliska uznano za fałszywe, lecz p. C., żądaniu temu zadosyć nie uczynił, chociaż do tego zobowiązywała go bezstronność człowieka poświęconego poszukiwaniu prawdy, stojącéj po nad stronniczemi uprzedzeniami i wyrachowaniami. Zresztą, wkrótce potém list p. Ossowskiego został ogłoszony w buletynach Towarzystwa Antropologicznego w Paryżu.

P. de Mortillet w czasopiśmie p. t. „*L'homme*," 1884 N. 4, wydawaném przez jego ojca, przedstawił swoje zapatrywanie się na wykopaliska Mnikowskie w osobnym artykule, zatytułowanym „*Faux des Cavernes en Pologne.*" Według artykułu, wyroby z kości i kamienia naciekowego są podrobione, gdyż odmiennie przedstawia się nieobrobiona i obrobiona powierzchnia i pierwsza ma na sobie patynę, druga wcale jéj nie ma. W ten sam sposób przedstawiają się tegoczesne wyroby z kości wydobytych z nawodnych mieszkań czyli polafitów Szwajcaryi.

Wreszcie, według słów p. de Mortilleta, rysunki ozdabiające rozmaite wisidełka, *przypominają motywy ornamentacyi pospolite w sztuce ludowéj nowożytnéj Polski*, *oraz niektóre są jakby naśladowaniem narzędzi obecnie w kraju używanych.* O tém wszystkiém p. de Mortille przekonał się w ciągu kilkunastu godzin pobytu w Krakowie! Za prawdę, musi on posiadać niebywały dar spostrzegawczy, albo nie-

pospolitą śmiałość wygłaszania nieuzasadnionych sądów o rzeczach. W końcu p. de Mortillet w szczególnéj życzliwości dla Akademii krakowskiéj, radzi jéj, aby przedmioty pochodzące z jaskiń Mnikowskich usunęła ze swoich zbiorów, gdyż dłużéj pozostawiając je u siebie, mogłaby zdyskredytować swoje cenne muzeum przedhistoryczne, posiadające ważne wykopaliska miejscowe. Przyjacielska to rada; szkoda, że zaprawna niemałą zarozumiałością.

Zarzuty przeciwko prawdziwości wykopalisk, podniesione we Francyi, znowu się odezwały na Zjeździe Stowarzyszenia Naukowego Francuskiego w Blois, gdzie p. Zaborowski bronił autentyczności wykopalisk, a pp. Ad. de Mortillet, Chantre i Cartailhac byli jego przeciwnikami. Ostatni wystąpił z nowym argumentem. Oświadcza on, że wcale nie można pojąć jakim sposobem fałsz tak łatwy do rozpoznania nie zwrócił na siebie uwagi krakowskich naturalistów i dodaje: „*jestto podrobienie kosztowne, lecz nie byłoby zadziwiającem spotkać ludzi ponoszących wielkie wydatki dla skrompromitowania archeologów i archeologii przedhistorycznéj. Istnieją tego przykłady.*“ (*Matériaux pour l'histoire primitive et naturelle de l'homme.* Pażdz. 1884. str. 505). Dowodem podrobienia w mowie będących przedmiotów, w oczach wymienionych archeologów francuskich, była podwójna iglica kościana, którą wzięli za *cyrkiel*!

W obronie autentyczności wykopalisk Mnikowskich wystąpił zasłużony prezes Akademii Umiej. prof. J. Majer, który mówił o wykopaliskach w Sekcyi antropologicznéj Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu 1884 r.

W obronie wykopalisk wystąpił dr. O. Tischler, dyrektor Muzeum archeolog. w Królewcu. Dla zapoznania się z okazami będącemi przedmiotem powątpiewań, dr. Tischler umyślnie przybył do Krakowa. Przepędzając w muzeum po 6—8 godzin dziennie, przez sześć dni, rozpatrywał wszystkie wyroby pochodzące z jaskiń Mnikowskich. Na podstawie tak sumiennego zbadania okazów, zaraz w Krakowie napisał swoje zdanie o ich prawdziwości.

Wyroby z kości i wapienia naciekowego uważa on za prawdziwe, a to dla powodów następujących.

Na wielu okazach widać na powierzchni równoległe rysy przebiegające w rozmaitych kierunkach; takie rysy powstają przy struganiu nożem krzemiennym. Za pomocą lupy można odkryć rysy na wielu fotografiach. Powierzchnię przedmiotów następnie wygładzono na kamieniu.

W wielu razach powierzchnia przedmiotu nieobrobiona jest w pewnym stopniu zmieniona, gdy tymczasem powierzchnia ząbków, nacięć i dziurek przedstawia się świeżo. Przedmioty z wapienia na-

ciekowego, nieoczyszczone z mułu jaskiń, przekonywają, że wspomniana rożnica stąd pochodzi, iż powierzchnia kamienia pod przylegającym do niéj mułem jest mączysta. Glina kurcząc się przy wysychaniu odrywa od kamienia część téj mączystéj warstewki, która pozostaje przylepiona do gliny, i tym sposobem powierzchnia wyrobu zostaje oczyszczona i nabiera świeżego wyglądu. Niewątpliwie to samo dzieje się przy obmywaniu przedmiotu; tak więc świeży wygląd niektórych okazów daje się bardzo prosto objaśnić.

Za pomocą lupy można w różnych miejscach dostrzegać na powierzchni wykopanych przedmiotów przylegający do nich muł jaskiniowy, tu i owdzie wzmocniony osadem limonitowym (tj. osadem wodanu żelaza). To zanieczyszczenie powierzchni można spostrzegać nawet na fotografiach. Wreszcie, na wielu wyrobach widać dendryty.

Zarzut sztucznego powalania gliną upada, gdyż sztucznie w dziurkach wyrobów nie można wytworzyć takich twardych czopków glinianych, jakie się znajdują na wykopaliskach. Nie zdołano by też podrobić plam limonitowych. Wreszcie nie udałoby się wypełnić namułem gąbczastéj części wyrobów kościanych.

Sądząc ze znalezionych obok wyrobów krzemiennych i glinianych, należy zaliczyć wykopaliska do peryodu neolitycznego czyli peryodu kamienia gładzonego.

Przechodzę teraz do prac komitetu.

Prof. Kopernicki przedsięwziął mozolne doświadczenia techniczne celem przekonania się, czy obrobienie przedmiotów Mnikowskich da się wykonać narzędziami krzemiennemi i kamieniami, oraz celem przekonania się czy istnieją jakie cechy, po których możnaby odróżnić obrobienie narzędziami kamiennemi od obrobienia nożem stalowym, piłą lub pilnikiem. W tym celu dr. Kopernicki starał się naśladować wyroby Mnikowskie, posiłkując się to nożami krzemiennemi i osełkami, to znowu scyzorykami, piłą i pilnikami. Starannie przeprowadzone doświadczenia doprowadziły do następujących wniosków:

1. Wszelkie obrobienie kości: piłowanie, zaostrzenie, przewiercanie, nazębianie i wykrawanie daje się wykonać narzędziami krzemiennemi i kamiennemi tak samo jak narzędziami stalowemi. Przekonał się także, iż za pomocą osełki można wytworzyć owe płaszczyzny (*fasetki*) podobne do płaszczyzn zastruganego ołówka, które według dra Mucha, miały być dowodem zastrugania narzędziem żelaznem; dr. Kopernicki dowiódł także, żę krzemieniami można świ-

drować dziurki walcowate, które według p. A. de Mortilleta, daje się wykonać jedynie scyzorykiem.

2. Tylko piłowanie i struganie kości krzemieniem, oraz szlifowanie jéj na kamieniu można z całą pewnością rozpoznać po charakterystycznych nacięciach, rysach i smugach; przewiercone zaś dziury, zęby i wycięcia w kości wyrobione krzemieniem trudno odróżnić od wykonanych nożem stalowym.

Doświadczenia i wnioski dra Kopernickiego zostały przez wszystkich członków komitetu przyjęte.

Następnie sprawdzono spostrzeżenie dra Tischlera nad przyczyną odmiennego wyglądu powierzchni obrobionéj i nieobrobionéj wapienia naciekowego, przyczem dr. Kopernicki, posiłkując się okazami przedstawionemi przez p. Ossowskiego, w oczach członków komitetu wykazał, że przez spłukiwanie czopki gliniane wypadają z dziurek, unosząc z sobą cząstki pokruszone wapienia, poczém powierzchnia dziurki nabiera świeżego wyglądu: upadł więc jeden z głównych zarzutów p. A. de Mortilleta.

Po dokonaniu tych przedewstępnych doświadczeń komitet przystąpił do rozpatrzenia rozmaitych grup wykopalisk, a mianowicie rozpatrzono: szydła i iglice; wyroby z blaszek kościanych; wyroby kościane w kształcie figurek ludzkich i zwierzęcych; wyroby mające podobieństwo do narzędzi, naczyń i innych przedmiotów tegoczesnych i nowożytnych, wyroby z wapienia naciekowego, łupku, małżowin, rogu jeleniego i t. d. I tutaj najwięcéj badał dr. Kopernicki.

Na wyrobach kościanych, z małym wyjątkiem, pomimo nawet zbyt starannego obmycia, pozostały ślady namułu jaskiniowego, na wielu znajdują się nacieki jaskiniowe, nawet dendryty, co dowodzi, że wyroby wykopano z namułu, w którym długi czas leżały. Niektóre przedmioty z wapienia wyrobione są oblane warstwą ziarnistego nacieku, co tego samego dostarcza dowodu. Zarzut prof. Łepkowskiego: czy brud z wody, w któréj płukano przedmioty, osiadłszy w dziurkach i innych miejscach obrobionych okazów kościanych nie może być przyjęty za *osad namuliska jaskiniowego*, został odparty doświadczeniem dra Kopernickiego. Okazało się mianowicie, że brud osiadły na świeżych wyrobach kościanych, trzymanych całą dobę w błotnistéj wodzie, bardzo łatwo daje się spłókiwać, gdy tymczasem namulisko jaskiniowe nadzwyczaj silnie do kości przylega i z wielką trudnością daje się usunąć.

Na wielu wyrobach kościanych widać wyraźne ślady obrobienia krzemieniem, wszakże niektóre, według dra Kopernickiego, zdają się wskazywać obrobienie nożem żelaznym, a niektóre wąskie, wal-

cowate dziurki zapewne były wiercone gwoździem żelaznym. P. Sadowski starał się dowieść, że szydła zastrugane w płaszczyzny podobnie jak ołówek, były wyrobione żelaznym pilnikiem, lecz zdania tego inni członkowie komitetu nie podzielili.

Na podstawie powyżéj przedstawionych badań i doświadczeń komitet przyszedł ostatecznie do następujących wniosków.

„1. Nie znalazłszy pomiędzy przedmiotami wykopanemi w jaskiniach Mnikowskich ani jednego okazu wyraźnie podrobionego w ostatnich czasach, lub podejrzanego o tegoczesne podrobienie, nie uznaje ich zgoła za fałszywe lub podejrzane."

„2. Wszystkie te przedmioty bez wyjątku były niewątpliwie wykopane z namuliska rzeczonych jaskiń w takim stanie obrobienia, w jakim się obecnie przedstawiają; wszystkie przeto są prawdziwe i niepodrobione."

Tak więc p. A. de Mortillet może swobodnie odetchnąć; Akademia Umiej. zatrzymując przedmioty w swoich zbiorach, nie skompromituje ani saméj siebie, ani archeologii przedhistorycznéj. Skompromitowanym zostaje tylko p. A. de Mortillet, ale sądząc z jego pochopności do nieopatrznych sądów, musi on być do tego przyzwyczajony.

Biorąc pod uwagę pojedyncze argumenta zarzutów i wątpliwości, wypowiedzianych przez pp. Adr. de Mortillet'a, Cartailhaca i dra Mucha, komitet wypowiedział o nich co następuje.

„1. Spostrzeżenie p. A. de Mortillet, że na wyrobach kościanych barwa powierzchni obrobionych jest odmienną od powierzchni nieobrobionych, — komitet co do pewnéj liczby okazów uznaje za prawdziwe; lecz wniosek z tego spostrzeżenia wyciągnięty, t. j. że *„przedmioty te są tegoczesnym wyrobem ze starych kości"*, komitet uważa za mylny, a to dla następującéj przyczyny. Wyroby okazujące odmienną barwę powierzchni obrobionéj i nieobrobionéj, przeważnie wisiorki, blaszki i inne przedmioty ozdobne, były w swoim czasie umyślnie wyrabiane ze starych kości zwierzęcych, jako kruchszych i łatwiejszych do obrobienia; podczas gdy narzędzia, wymagające trwalszego materyału, t. j. szydła, strzałki, dłuta, widełki i t. p. wyrabiane były przeważnie z kości świeżych. Ztąd u tych ostatnich barwa patyny na częściach obrobionych i nietykanych bywa zwykle jednostajna, podczas gdy na wisiorkach i t. p. pierwotna odmienność barwy musiała zachować się aż dotąd. Że wyroby te przeleżały w namulisku i nie są wyrobem tegoczesnym, świadczą wyraźne szczątki tego namuliska osiadłe w głębi tych samych dziurek. ząbków, żłobków i t. d., których barwa różni się od reszty powierzchni."

„2. Nożyk i łopatka kościane osadzone w takimże trzonku, wisiorki fantastyczne i figurki ludzkie i zwierzęce, które p. Adr. de Mortillet podaje za tegoczesne wyroby fałszerskie, takiemi nie są, albowiem mają one wyraźne szczątki osadu namuliskowego na swych powierzchniach obrobionych, jako dowód faktyczny, że nie są tegoczesnym wyrobem.“

„3. Twierdzeniu p. Adr. de Mortillet, jakoby *„rysunki na rozmaitych wisiorkach przypominały motywa ornamentacyjne powszechne u tegoczesnego ludu polskiego“*, komitet stanowczo zaprzecza; albowiem wyroby Mnikowskie w ogólności nie mają wcale ornamentów rysunkowych, z wyjątkiem kilku okazów, które z motywami ornamentów ludowych nic nie mają wspólnego.

Co się zaś tyczy drugiego spostrzeżenia p. Adr. de Mortillet, iż niektóre wyroby *„są niejako naśladownictwem sprzętów używanych obecnie w naszym kraju“*; to prawda, iż niektóre z nich przypominają pewne przedmioty, będąc dziś lub dawniéj w użyciu, lecz nie tylko w naszym kraju. Tego wszakże przypadkowego podobieństwa za dowód tegoczesnego fałszerskiego naśladownictwa komitet przyjąć nie może, widząc na nich niezaprzeczone oznaki mniéj lub więcéj długiego przebywania w namulisku jaskini.“

„4. Przypuszczenie p. Cartailhaca, iż domniemane fałszerstwo wykopalisk Mnikowskich *„chociaż trudne i kosztowne, mogło być wszakże przez kogoś wykonane dla skompromitowania archeologów i archeologii przedhistorycznéj“*, komitet uznaje za bezwarunkowo niemożliwe i wyrzeczone przez osobę zupełnie nieświadomą tutejszych stosunków społecznych i warunków miejscowych.“

„Oczywiście bowiem niepodobieństwo podobnego fałszerstwa wykazuje się przy rozważaniu następujących faktów:“

„U nas w Polsce wszelkie nauki wogóle uprawiają się spokojnie, bez tych walk namiętnych, które gdzie indziéj zdolne są posuwać się aż do podstępnéj strategii kompromitowania przeciwników przez podsunięte falsyfikaty.“

„Najbezpieczniejszą pod tym względem jest u nas archeologia przedhistoryczna, uprawiana dotąd tak cicho i skromnie, że obcą jest niemal, a przynajmniéj dość obojętną, nawet światlejszemu ogółowi publiczności. Co się zaś tyczy ludu miejskiego i wiejskiego, bez którego domniemane fałszerstwo w jaskiniach Mnikowskich nie mogłoby się wykonać — to umysł jego i prace są zbyt mocno i wyłącznie zaprzątnięte sprawami i kwestyami realniejszemi, tyczącemi się jego własnego bytu i potrzeb powszednich, aby on mógł się nawet domyślać istnienia jakiejś tam archeologii i archeologów przedhistorycznych.“

„Niema przeto u nas zgoła ani handlarzy przedmiotami przedhistorycznemi, ani kwitnącego w innych krajach przemysłowego fałszerstwa tychże przedmiotów dla zysku.“

„Nie podobna też przypuścić, aby za czyjąś podnietą i największemi nawet zabiegami, kunszt fałszerski, z zamachem na archeologią przedhistoryczną i na archeologów, mógł się u nas zrodzić naraz, umyślnie dla jaskiń Mnikowskich. A to tém trudniéj, iż przed rozpoczęciem robót p. Ossowskiego tamże, nikomu przyjść na myśl nie mogło, aby te jaskinie miały się stać kiedykolwiek przedmiotem tak mozolnych badań naukowych.“

„Przypuściwszy wszakże możliwość tego niepodobieństwa, t. j. przypuściwszy, że mógł się ktoś taki znaleść ni ztąd ni z owąd, któryby się podjął tak olbrzymiego fałszerstwa; to obok *najczystszéj bezinteresowności* (gdyż za żaden z tych kilku tysięcy przedmiotów nikomu się ani grosza nie zapłaciło), musiałby on mieć dużo czasu na przysposobienie się i wykonanie swego zamysłu; musiałby on posiadać niewyczerpaną w pomysłach i prawdziwie genialną twórczość, ażeby zaimprowizować parę tysięcy wyrobów w kształtach dotąd nieznanych i tak nieskończenie urozmaiconych; potrzebowałby on nietylko rąk biegłych, lecz całego warsztatu z odpowiedniemi narzędziami dla wyrobienia takiego mnóstwa przedmiotów ze znamionami mniéj lub więcéj starożytnemi; musiałby on oprócz tych wyrobów kościanych, zaopatrzyć się w spory zapas starożytnych skorup glinianych, lepionych w ręku, oraz mnóstwa odłupków i narzędzi krzemiennych i kości zwierzęcych łupanych, ażeby to wszystko domieszać w jaskini do sztucznych wykopalisk; nakoniec musiałby on posiadać wiedzę prawdziwego archeologa i wytrawnego badacza jaskiń, ażeby ten cały materyał rozmieścić tak umiejętnie i zręcznie.“

„Przypuściwszy naostatek i to nawet, że ktoś posiadał te wszystkie przymioty i warunki niezbędne do wykonania swego zamachu, to go jednakże żadną miarą uskutecznić nie mógł; a to z przyczyny najoczywistszego materyalnego niepodobieństwa.“

„A mianowicie: pomijając już drobniejsze, chociaż nie mniéj twarde przeszkody, niepodobieństwem jest na cudzym gruncie, bez wiedzy jego właściciela przekopać pokryjomu 10 jaskiń, oczyścić je aż do dna i na nowo potworzyć w nich sztuczne i należycie zbite namuliska i w odpowiedniéj tylko warstwie tychże tak umiejętnie rozmieścić swoje falsyfikaty, ażeby się na tém ani razu nie spostrzegł p. Ossowski przy swoich poszukiwaniach. Równém niepodobieństwem było dokonać tak nadzwyczajnego dzieła bez płatnego udziału i słusznego podziwu miejscowéj ludności i bez wielkiego stąd rozgłosu po całéj okolicy. Niepodobieństwem było nakoniec podrzucić parę ty-

sięcy falsyfikatów, nawet w zmowie z robotnikami, podczas samych robót w jaskiniach; albowiem te roboty od początku do końca odbywały się pod ciągłym dozorem p. Ossowskiego. Ten zaś w każdéj jaskini znajdował warstwy namuliska nigdzie nie naruszone, a w nich wyroby kościane nigdy w kupie, lecz z innemi wykopaliskami pospołu zawsze porozrzucane po całéj powierzchni i w rozmaitéj głębokości; znajdował je przytém zawsze w téj saméj tylko warstwie średniéj i wydobywał je nieraz z pod ciężkich głazów wapiennych, oderwanych od sklepienia jaskini."

„5. O szydłach kościanych obrobionych w fasetki, nadające im podobieństwo do *„ostruganego ołówka"* i dla tego przez dra Mucha przypisywane obrobieniu nożykiem zwyczajnym, komitet trzyma rozmaicie."

„P. Ossowski, zgodnie z orzeczeniem dra Tischlera, ma je stanowczo za ostrugane nożem krzemiennym, a potém oszlifowane na kamieniu."

„Prof. Alth i dr. Kopernicki nie uznają rzeczonych fasetek za dowód obrobienia tegoczesnym nożykiem, gdyż na wielu szydłach, podobnie jak na innych przedmiotach, dostrzegli oni wyraźne oznaki obrobienia nożem krzemiennym, oraz szlifowania na kamieniu."

„P. Sadowski i prof. Łepkowski mają je za obrobione nożem żelaznym, lecz w żadnym razie nie w dzisiejszym czasie."

„Również co do zastanawiającego dra Mucha nadmiaru figurek kościanych w stosunku do właściwych narzędzi, pp. Sadowski i Łepkowski mają to za oznakę, iż wyroby te należą do epoki późniejszéj, z któréj już narzędzia kościane wychodziły z użycia, lecz nie uznają tego nadmiaru figurek za dowód tegoczesnego ich podrobienia. Prof. Alth i dr. Kopernicki nie mają tego również za dowód tegoczesnego ich wyrobienia, lecz za zwykłą jakąś anomalią archeologiczną, która może być późniéj kiedyś objaśnioną. P. Ossowski, nie przyjmując faktycznego istnienia rzeczonéj nieproporcyonalności, samę kwestyą nieproporcyonalności wyrobów jednych względem drugich, ma za przedwczesną, oraz dla braku stałego i określonego prawidła w téj mierze, nie dość uzasadnioną."

II. *Starożytność wykopalisk Mnikowskich.*

Rozprawy nad starożytnością wykopalisk Mnikowskich nie doprowadziły do jednozgodnego orzeczenia. Na posiedzeniach komitetu bardzo mało było dyskusyi, lecz natomiast członkowie po kolei odczytywali swe zdania, z temi referatami musimy się choć pokrótce zapoznać.

Pierwszy prof. Łepkowski odczytał rzecz „*O starożytności wykopalisk z jaskiń Mnikowskich*“, następującéj treści.

Artystyczne i dokładne wykonanie wyrobów znalezionych w jaskiniach „*każe upatrywać w twórcy tych przedmiotów inteligencyą i zdolność wyższą z pewnością od téj, jaką miewa dzisiejszy nawet pastuch*“ str. 93 (1).

Wyroby są lepiéj wykonane od wyobrażeń rozmaitych przedmiotów na solidach, zaliczanych do czasów Chrobrego, jako téż na monetach Mieczysława II.

Według zupełnie dowolnych porównań prof. Łepkowskiego, pomiędzy przedmiotami wykopanemi w Mnikowie znajdują się naśladowania dzisiejszych narzędzi i sprzętów: garneczków z uszkami, niecek, maglownic ręcznych, bucików, chodaczków, toporków, nożów i nożyków *wcale szlachetnego rysunku* (str. 93).

Nóż i widelec *formami swemi zarówno jako i rozmiarami, naśladują takie, jakich zabytków* (*z czasów od XVI w. począwszy*) *tyle się w muzeach naszych zebrało* (str. 93, 94).

Są jeszcze figurki i laleczki postaci ludzkich bez bród (*które nacięciami tak łatwo było zrobić*) z *nakreślonemi na twarzach wąsami w górę zakręconemi a z obcasami u butów* (str. 94). Ztąd uczony profesor przychodzi do wniosku: *Widzimy go* (człowieka jaskiniowego) *jak kraje nożykiem potrawy, ujmuje je widelcem, posiada kształtne naczynia, magluje bieliznę, ubiera się dostatnio, zaspokaja przyzwoicie różne po-*

---

(1) Uczony archeolog, uznając twórcę wyrobów za bardziéj inteligentnego i uzdolnionego *od dzisiejszego nawet pastucha*, zapewne wyroby z kości czyli *figliki*, jak je nazywa, przypisuje artyzmowi braciszka kamedulskiego, posyłanego z Bielan (pod Krakowem) do Mnikowa przez OO. kamedułów dla pilnowania tych ostatnich dóbr, należących do klasztoru. Według tej niedorzecznéj wersyi, braciszek ten miał *figliki* z kości strugać, naturalnie, siedząc w jaskini, nie wiedzieć po co. Może téż prof. Łepkowski miał na myśli inną wersyą, według któréj przed paru wiekami istniała w Mnikowie fabryka ozdób z kości, naturalnie, znowu w jaskiniach. Tę ostatnią wersyą zakomunikowano z Krakowa Towarzystwu Antropologicznemu w Wiedniu, celem podkopania autorytetu badań p. Ossowskiego. W Towarzystwie Antropologicznem przeważyło zdanie o podrobieniu wykopalisk Mnikowskich, pomimo to jednak bardzo surowo skarcono tę krakowską bajkę następującemi słowy:

„Te powątpiewania, jak się zdaje, już zyskały uznanie w samym Krakowie, gdyż według wiadomości jakie otrzymaliśmy, starają się tam zjednać wiarę dziwnéj wersyi, jakoby te figurki wrzekomo znalezione w warstwie przedhistorycznéj nie były przedhistoryczne, lecz pochodziły z fabryki ozdób kościanych założonéj w niektórych z pomiędzy tych jaskiń przed dwoma lub trzema wiekami. *Naturalnie, poglądowi temu nie możemy przyznać żadnéj wagi.* Mittheilungen der Antropologischen Gesellschaft zu Wien, Tom XIV, str. 65,

trzeby (1), *posiada wyrafinowane instrumenty i piłeczki bo nawet śruby* (kostkę z naciętą linią spiralną). *Ba, goli się, w grymaśnéj formie nosi wąsy, lub takie już w sferze znajomości rysunku ma pojęcia, że wzniesienie się kości policzkowych zaznacza. Ma fantastyczne pomysły* (str. 94) (2).

Wszystko to, według uczonego profesora, ma dowodzić, że wyroby kościane i z wapienia naciekowego są dziełem rzeźbiarza, który żył wśród cywilizacyi i nie walczył o utrzymanie życia w warunkach pierwotności. *Jeżeli jeszcze i krzyżyki ryte na zabytkach mnikowskich w rachunek weźmiemy, a widelec przypomnimy,—wtedy owe zabytki wielce się zbliżą do wieków średnich, a może i późniejszych nawet* (str. 95).

Rzecz swoję prof. Łepkowski kończy tuzinkowym komplementem dla p. Ossowskiego i dla innych członków komitetu.

Orzeczenie p. Sadowskiego: „*Kilka uwag o archeologicznėm znaczeniu przedmiotów znalezionych w jaskiniach Mnikowskich,*" napozór mniéj jest gołosłowne od uwag prof. Łepkowskiego, lecz w rzeczy samėj brak mu wszelkich motywów należycie uzasadnionych.

P. Sadowski z góry oświadcza, że opiera swoje wywody na danych dotyczących dwóch jaskiń *na Łopiankach*, zwłaszcza na jaskini II.

W swoich uwagach p. Sadowski mówi:

Epoka neolityczna tj. kamienia gładzonego *nie przypuszcza się w żadném takiém miejscu, gdzie, jak u nas neolity są rzadkością, prawdopodobnie sprowadzaną i zapewne tylko w znaczeniu talizmanów przechowywaną* (str. 98). (Żadnych na to dowodów). W jaskini na Łopiankach II p. Ossowski znalazł ogromną ilość przedmiotów krzemiennych, z których wybrał parę tysięcy, z reszty zaś usypano obok jaskini wał kilkometrowéj długości i na 1 metr przeszło wysoki.

---

(1) Szkoda, że szanowny profesor nie określił bliżéj, jakie to mianowicie potrzeby ten człowiek jaskiniowy przyzwoicie zaspakajał w jaskiniach.

(2) Cierpliwy czytelniku! jeżeli chcesz przekonać się o zdolnościach rzeźbiarskich, jakie prof. Łepkowski uważa za wyższe od zdolności dzisiejszego pastucha, weź do ręki Zbiór wiadomości do Antropologii krajowéj tom 6, r, 1882, i spojrzyj na tablice IV fig. 1, 2, 3 i tablicę V, fig. 12, 3, na których zobaczysz *laleczki postaci ludzkich z obcasami u butów, z grymaśnie zakręconemi wąsami*, i przyznasz mi że butów nie odznaczono, *co nacięciami tak łatwo było zrobić*, przyznasz mi daléj, że grymaśnie zakręcane wąsy niczém wąsów nie przypominają. Zobaczysz *pod pachami wyrzezanych z kości figurek wcięcia, które zamiast być łukowate regularne, jakby cyrklem zakreslone* (str. 93), wcale nie są łukowate, i nie ma tak koszlawego cyrkla, którymby nakreślić podobną linię krzywą i nieregularną się udało. Na tych samych tablicach zobaczysz niezdarne *ptaki i zwierzęta, obdarzone* jakoby *udatnym, wyraźnym ruchem.*

P. Ossowski podaje, że we wszystkich niemal narzędziach widocznėm jest, że poprzestawano na kształcie jaki otrzymywano przez jednorazowe odłupanie od klocka. *Wiadomo też powszechnie, że nagromadzone masami odpadki krzemienne w okolicach Mnikowa nie pochodzą z czasów zbyt odległych od bieżącego stulecia. Od końca wieku XVII kwitł w tych stronach przez cały wiek ośmnasty i przez pierwsze dziesiątki bieżącego stulecia, bardzo rozwinięty i w dalekie strony wyroby swe wysyłający przemysł wyrobu skałek do broni palnéj, i po nim to tylko pozostać mogły te nagromadzone masy odpadków krzemiennych, które się tak w jaskiniach, jak i w wielu miejscach po za jaskiniami w okolicy Mnikowa znajdują* (str. 99). *Gdziekolwiek więc odpadki te pojawiają się w większéj ilości, znamionują one tam wybitnie epokę wyrobu skałek do broni palnéj, znamionują ją przeto i w jaskiniach Mnikowskich* (str. 99).

Jak widzimy, śmiałe zaprzeczenie istnienia u nas epoki neolitycznéj, niezgodne z pracami prof. Römera (1) i p. J. Zawiszy (2), prowadzi do niczem nieuzasadnionego twierdzenia, że przemysł skałkowy kwitnący *w okolicach* Mnikowa pozostawil *w jaskiniach* odpadki od skałek. Ile w tém logiki, późniéj zobaczymy.

Skałkarze, *ludzie zręczni i przemysłowi* (?) w chwilach wolnych od właściwego zatrudnienia, dla zabawy lub zysku wyrzynali przedmioty z kości i kamienia naciekowego, czasami używając do tego krzemieni (str. 100). Znamieniem epoki jest widelec kościany znaleziony w jaskini na Łopiankach I, a mianowicie wskazuje on wiek XVII (według prof. Łepkowskiego, jak widzieliśmy, wiek XVI). Nadto przedmiot z wyobrażeniem krzyża nie należy do przedhistorycznych. Ząbki na brzegach przedmiotów z wapienia naciekowego i na brzegach skorup zalicza p. S. do ozdób *„à la façon de Venise“* powstałych w XVII w. Wszystko to ma dowodzić, że wyroby wykopane w Mnikowie należą do świeżo wynalezionéj przez p. S. *epoki skałkowéj* ciągnącéj się od końca w. XVII do pierwszych dziesiątków bieżącego stulecia.

P. Sadowski przyznaje, że 18 przedmiotów, tj. szydeł i łopatek wykopanych w jaskiniach Mnikowskich, odznacza się typem *przypominającym* dawniejsze epoki przedhistoryczne, tj. czasy grodziskowe i pogrodziskowe. Natychmiast jednak ustępstwo to osłabia, następującém oświadczeniem. Sądząc z robót w jaskini na Łopiankach II, p. Ossowski kopał doły od przodu jaskini do jéj głębi, które potém

---

(1) *Prof. Römer.* Die Knochenhölen von Ojców. Paleonthographica. Cassel. Tom. 39.

(2) *J. Zawisza.* La Caverne de Mamuth en Pologne. Memoires de la société d'Anthropologie de Paris, 2 ser. t. I, str. 438—447.

zalewał muł napływający z zewnątrz, a znalezione przedmioty dowolnie grupował na kartonach. *W ten sposób zatarła się bezpowrotnie właściwa podstawa do oznaczenia względnéj ich starożytności, równie jak i ślad tych oznak, z którychby wnosić można, w jaki sposób i kiedy do jaskini dostać się mogły* (str. 103).

Rzecz p. dr. Kopernickiego *„O znaczeniu archeologicznem wyrobów z kości i wapienia, przez p. G. Ossowskiego odkrytych w jaskiniach Mnikowskich* prawie wyłącznie zmierza do odparcia rozmaitych zarzutów uczynionych przez prof. Łepkowskiego i p. Sadowskiego, a tém samém do wykazania przedhistorycznéj starożytności wykopaliska. Rzecz tę rozpatrzymy w związku ze zdaniem prof. Altha i p. Ossowskiego, zmierzającém do tego samego celu. Tutaj nadmienię tylko, że dr. Kopernicki zarzuca p. Ossowskiemu niedokładne zbadanie uwarstwienia namulisk, oraz mniema, że wiele przedmiotów wyrobiono nożem żelaznym. Ztąd przypuszcza, że wykopaliska Mnikowskie są zabytkiem *jakiejś „Knochenperiode“ sięgającéj prawdopodobnie tych czasów, w których narzędzia krzemienne i kamienne nie były jeszcze całkowicie zaniechane, a narzędzia żelazne były już w powszechném używaniu.*

Poznaliśmy tedy rozmaite zdania o starożytności wykopalisk Mnikowskich, pozostaje nam teraz rozpatrzéć nieco bliżéj te dowody i rozumowania, które pp. Kopernicki, prof. Alth i G. Ossowski przytoczyli przeciwko dowodzeniom prof. Łepkowskiego i Sadowskiego.

Prof. Alth, jako geolog, zaznaczył przedewszystkiém, że zbadanie jaskiń pod względem geologicznym jest dokładne, gdyż p. Ossowski podał wyniesienie jaskiń nad poziom dna wąwozu, (3 metry, 1½ m., 60—70 m.), oraz opisał materyał, z którego składa się namuł, jako też uwarstwienie tego ostatniego. Oznacza téż, jakie wykopaliska znajdowały się w każdéj warstwie.

P. Sadowski, jakeśmy to widzieli, za podstawę swego orzeczenia wybrał jaskinię na Łopiankach II. Otóż jaskinia ta ze względu na swoje nizkie położenie i wystawienie na ciągłe zalewy z zewnątrz, była stanowczo wyjątkową i do poszukiwań nieodpowiednią. O innych jaskiniach z prawidłowo rozwiniętém namuliskiem, zabezpieczonych od zamuleń z doliny swém wyniesieniem nad obecny poziom doliny i rzeczułki p. S. nie wspomina. Postępowanie p. Sadowskiego p. Ossowski bardzo parlamentarnie nazywa wypaczeniem faktów; możnaby je nazwać daleko dobitniéj.

Szanowny prof. Alth, nie wdając się w dyskusye archeologiczne, wychodzące po za obręb jego specyalności, treściwie i bezstronnie wykazał, że na warstwie środkowéj namuliska, zawierającéj krze-

mienie, wyroby z kości i wapienia, oraz skorupy naczyń w ręku lepione, znajdowała się wierzchnia warstwa z bronzami i skorupami naczyń na kółku toczonych, o czém prof. Łepkowski i p. Sadowski wcale nie wspomnieli. Ponieważ warstwa dolna musi się osadzić przed warstwą górną, która może osiąść jedynie na jakiémś podścielisku, przeto z uwagi prof. Altha wynika bardzo prosty wniosek, który powinien być dla każdego zrozumiały, że warstwa środkowa jest starsza od górnéj. Ztąd dalszy równie prosty wniosek: ponieważ bronzy zaliczamy do zabytków przedhistorycznych, przeto starsze od nich wyroby kościane i z wapienia naciekowego także są przedhistoryczne. Ponieważ wyroby krzemienne znajdowały się w warstwie środkowéj, przeto także są przedhistoryczne i nie mogą pochodzić ze skałkarni założonéj w końcu XVII w.

Dr. Kopernicki starannie porównał wykopaliska Mnikowskie z podobnemi wykopaliskami innych krajów (o ile naturalnie pozwalały na to źródła, jakie miał pod ręką). Te porównania prowadzą do następujących wniosków: Liczebny stosunek narzędzi (63,2%), przedmiotów służących do ozdoby (30,7%), naśladowania narzędzi i sprzętów (2,7%), figurek ludzkich i zwierzęcych (4%, w téj liczbie ludzkich 0,2%), znalezionych w jaskini *nad Kochanką*, odpowiada stosunkowi rozmaitych wyrobów w wykopaliskach palafitowych, grodziskowych i jaskiniowych Francyi, Austryi i Niemiec. Zatém upada zarzut zaczerpnięty z nadmiernéj liczby przedmiotów do ozdoby i figuralnych.—Szydła, iglice (prawdopodobnie ozdoby), dłuta, rylce, gładziki, łopatki (nazywane nożykami przez prof. Łepkowskiego i p. Sadowskiego) są podobne do wyrobów przedhistorycznych znanych w innych krajach. Łopatka osadzona na trzonku, dla tego właśnie została uznana za falsyfikat (A. de Mortillet, prof. Łepkowski); tymczasem dr. Gross w palafitach jeziora Bienne znalazł tak samo oprawny nóż. Łopatka umocowana w rączce za pomocą kościanego kołeczka, jest osadzona w drugiéj połowie téj saméj przepiłowanéj kości szprychowéj człowieka, która dostarczyła oprawy łopatce powyżéj wspomnianéj. Zatém obie łopatki z tych samych pochodzą czasów. Ani prof. Łepkowski ani p. Sadowski podobnych porównań nie przeprowadzili. — Widełki kościane, uważane przez prof. Łepkowskiego i p. Sadowskiego za widelec, mające być dowodem późnego pochodzenia wykopalisk Mnikowskich, możnaby uznać za taki argument, gdyby p. Sadowski dostarczył dowodu, że widelce kościane téj mianowicie formy rzeczywiście były u nas używane od końca XVII w., a przy jego erudycyi nie trudno by mu było przytoczyć odpowiednie dzieło lub rysunek. P. Sadowski nie uczynił tego.— Wyroby będące naśladowaniem naczyń, są miniaturowém naślado-

waniem naczyń przedhistorycznych i bardzo są podobne do naczyń przedhistorycznych znalezionych w Austryi, w Węgrzech i we Francyi. — *Laleczki*, *chodaczki*, *buciki*, *wąsy*, *obcasy* i t. p. przedmioty, które od prof. Łepkowskiego otrzymały nazwy obecnie używanych przedmiotów, mają kształty przypadkowe i chwiejne, np. *bucik* odwrócony na opak zamienia się na *kogucika*. — Bałwanki ludzkie, wykopane w jaskiniach Mnikowskich, są podobne do neolitycznych figurek z bursztynu znalezionych w Prusach wschodnich (Tischler) *) i do figurek paleolitycznych z *Laugerie-basse* (1), (o tém żaden z uczonych archeologów nie wspomniał). — Poprawność rysunku, czystość linii wykroju ramion i t. d. narzucane przez p. Łepkowskiego tym niedołężnie wykonywanym 6 bałwankom, niczego by nie dowodziła, gdyby istniała, bo poprawność rysunku nie może być miarą starożytności utworów. P. Łepkowski łatwo mógł się o tém przekonać, porównawszy powszechnie znane udatne i czyste rysunki zwierząt na narzędziach kościanych z *Laugerie-basse*, z niezgrabnemi rysunkami średniowiecznemi, np. wołów w pługu na str. 19 dzieła Lacroix: „*Les arts au moyen age*“. — Ząbki na wyrobach Mnikowskich nie są dowodem pochodzenia przedmiotów z XVII w., bo znajdują się wyrobione na neolitycznych strzałach krzemiennych i na wyrobach bronzowych. — Ozdoby symetryczne: krążki, owale i t. d. są liczniejsze i lepiéj wyrobione niż gdzieindziéj, lecz mają wyraźne powinowactwo kształtów z ozdobami przedhistorycznemi, znalezionemi w Austryi, Bawaryi i Francyi. — Linie spiralne na wisiorkach, oczywiście narznięte krzemieniem, są w oczach prof. Łepkowskiego i p. Sadowskiego naśladowaniem śruby żelaznéj, gdy tymczasem spiralnie skręcone druty bronzowe dobrze były znane w czasach bez porównania dawniejszych. Rysunek wyobrażający krzyż oddawna przestano uważać w archeologii za znak specyficznie chrześciańśtwa.

Owa skałkarnia w jaskiniach Mnikowskich, jak widzieliśmy, ważną odegrywa rolę w dowodzeniach p. Sadowskiego. Musimy więc temu pomysłowi uczonego archeologa poświęcić nieco uwagi.

Przedewszystkiém z protokółów posiedzeń komitetu nie widać, aby ta *powszechnie wiadoma* rzecz była wiadoma któremu z członków tegoż komitetu oprócz p. Sadowskiego.

Z wyjaśnienia p. Ossowskiego okazuje się, że buły krzemienne, mogące służyć za materyał do wyrobu skałek, znajdują się co najmniéj w odległości ¾ mili od jaskiń Mnikowskich; zatém skałkarze

*) Tischler. Beiträge zur Kenntniss der Steinzeit in Ostpreussen. Królewiec 1883, str. 6

(1) Matériaux pour l'histoire primitive de l'homme. 1877, str. 32, fig 3.

po całodziennéj pracy, zamiast odpoczywać, szli $^3/_4$ mili do jaskiń z zapasem krzemieni, aby tam naśladować wyroby *à la Venise*, piłować kości krzemieniem i wyrabiać z niego nikomu wówczas nieprzydatne drobiazgi barokowe, dziurawione gwoździem żelaznym. Trudno téż pojąć, jak słusznie zauważył dr. Kopernicki, dla czego skałkarze pracowali w jaskiniach, zamiast w chałupach lub innych budynkach. Oczywiście mieli oni takie same pociągi jak ludzie z grymaśnie zakręconemi wąsami, którzy w wiekach średnich lub późniejszych, w jaskiniach *przyzwoicie zaspakajali swoje potrzeby*. Jak się okazuje ze słów p. Ossowskiego, we wsiach okolicznych Mnikowa: w Bolechowicach, Aleksandrowicach i Morawicy, gdzie istniały skałkarnie, miejscowa ludność do dnia dzisiejszego zna i wskazuje rodziny oddające się dawniéj temu przemysłowi (co było do przewidzenia, skoro skałkarze istnieli tam jeszcze w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia).—Trudno téż zaprzeczyć wielkiéj trafności uwadze prof. Altha, że klepanie krzemieni na skałki nie mogło być tak korzystne, aby je uprawiali ludzie posiadający wyższe zdolności. Wątpliwém jest, aby ludzie podobnego zajęcia mieli tyle zarobku i wolnego czasu, aby się poświęcali rzezaniu z kości dla zabawki; jeżeli zaś czynili to dla spekulacyi, to dla czego wyrobów nie zabierali z sobą, lecz pozostawiali je na miejscu w jaskiniach?

Przedmioty krzemienne zebrane przez p. Ossowskiego nie są samemi odpadkami, gdyż dr. Kopernicki znalazł pomiędzy niemi 20—30 prawdziwych noży. W wykopaliskach z jaskini na Łopiankach znajduje się główka od maczugi, 2 siekierki najpiękniéj szlifowane i dłuto polerowane, wszystko najoczywiściéj neolityczne.

Wreszcie p. Ossowski zwraca uwagę na okoliczność, że owa wąska, walcowata dziurka, uważana za dowód użycia do jéj wywiercenia żelaznego gwoździa, mogła być przewiercona gwoździem bronzowym (1).

Oprócz rozebranych tu zarzutów i odpowiedzi na nie, możnaby jeszcze przytoczyć niektóre inne, lecz je pominę, aby nie wystawiać cierpliwości czytelnika na zbyt ciężką próbę. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na okoliczność następującą.

Prof. Łepkowski i p. Sadowski widzą w tém dowód niedawnego stosunkowo obrobienia przedmiotów z kości kopalnych, że powierzchnia nieobrobiona jest ciemniéj zabarwiona i bardziéj nadwerężona od powierzchni obrobionych, które mają świeży wygląd i nie okazują żadnych śladów dalszego pruchnienia. Na ten zarzut, zapewne pomimowoli, wymownie odpowiedział sam prof. Łepkow-

---

(1) Zdaje mi się, że dla usunięcia wszelkich wątpliwości należało jeszcze poddać doświadczeniom obrabianie kości narzędziami bronzowemi.

ski następującemi słowy: „Nie ma też pewnéj miary na oznaczenie starożytności z uwagi na niszczenie się kości; gdyż grunt i odmienne wpływy różnie na ich wątlenie działają“ (str. 92).

Kości kopalne były do jaskiń naniesione; a tém samém pierwotnie znajdowały się w innych warunkach, aniżeli w namule jaskini, gdzie *wątlenie* kości mogło postępować bardzo powoli i dla tego na obrobionych powierzchniach mało jest widoczne.

* * *

Z powyższego okazuje się, że prof. Łepkowski i p. Sadowski odmawiając przedmiotom wykopanym w jaskiniach Mnikowskich znaczenia zabytków przedhistorycznych, żadnego nie dostarczyli dowodu, lecz poprzestali na gołosłownéj dyalektyce, niewątpliwie miejscami dowcipnéj, ale zawsze jałowéj, bo niezdolnéj dostarczyć przekonywających argumentów.

Ani prof. Łepkowski, ani p. Sadowski nie przedsięwzięli porównania wykopalisk Mnikowskich z innemi znanemi zabytkami przedhistorycznemi, jak to prof. Kopernicki uczynił, stając w obronie starożytności wykopalisk. Uczeni archeologowie nie uczynili tego nawet na wezwanie strony przeciwnéj.

Uważając widelec kościany jako niezbity dowód pochodzenia wyrobów z XVI lub końca XVII w., nic nie przedsięwzięli, aby dowieść, że takie widelce kościane kiedykolwiek były u nas w użyciu. Prof. Łepkowski oświadcza, że widelec mnikowski jest naśladowaniem takich, *jakich się* (*z czasów od XVI w. począwszy*) *tyle nagromadziło w naszych muzeach*, ale żadnego nie okazał.

Ponieważ przynajmniéj p. Sadowskiego nie można pomawiać o brak odpowiedniéj erudycyi, zatém niedostarczenie dowodów naprowadza na myśl, że mu ich brakowało. Obadwaj pp. archeologowie nie pamiętali o niedogodnych dla siebie faktach, które nie mogły ujść ich wiadomości, np. nie pamiętali o figurkach ludzkich z bursztynu, opisanych przez dr. Tischlera.

Braciszek kamedulski wyrzynający w jaskiniach *figliki* z kości, fabryka w tych jaskiniach ozdób z kości istniejąca przed dwoma lub trzema wiekami, oraz skałkarnia w tém samém miejscu, nie należą do szczęśliwych pomysłów.

Na zakończenie wyrazić muszę zdziwienie, jakim sposobem prof. Łepkowskiego i p. Sadowskiego nie przekonał oczywisty dowód geologiczny powołany przez prof. Altha, że warstwa środkowa zawierająca wyroby z kości i wapienia naciekowego jest starsza od warstwy zwierzchniéj, zawierającéj wyroby z bronzu.

August Wrześniowski.



Z SEJMU GALICYJSKIEGO.

I.

Z Galicyi d. 1 lutego 1886 r.

Nim rzucę szkic działalności naszego sejmu podczas ostatniéj sesyi, która zaczęła się w listopadzie roku zeszłego, a skończyła się przed kilku dniami, sądzę, nie będzie od rzeczy, jeżli wpierw poświęcę kilka uwag ogólnych téj najwyższéj instytucyi autonomicznéj w Galicyi, gdyż bez nich trudno zrozumiéć, czemu znaczenie naszego sejmu nawet w oczach miejscowéj ludności coraz bardziéj upada, i dla czego na ostatniéj sesyi trzeba było aż drażliwéj sprawy rusińskiéj, by jego obrady choć trochę ożywić.

Gdy lat temu dwadzieścia cztery, na mocy zaprowadzonéj w Austryi konstytucyi, zbierał się pierwszy sejm we Lwowie, entuzyazm był powszechny. Wtedy nie jednemu zdawało się, że ponieważ najgorętsze pragnienie kraju zostało urzeczywistnione, więc stanęliśmy już u kresu naszych marzeń. Z zapałem nie dającym się dziś opisać, wybieraliśmy posłów, ktokolwiek wyszczególniał się talentem i patryotyzmem, wychodził z urny jednogłośnie, wybitniejszym osobistościom robiliśmy owacye, łamy wszystkich dzienników były przepełnione okrzykami radości, a gdy wreszcie sejm zebrał się na pierwszą sesyą, uwaga ogółu tak była tém zajętą, co nasi wybrańcy mówili i czynili, że przez cały czas jéj trwania wszystkie inne sprawy musiały ustąpić miejsca nowinom z sali sejmowéj. Prawdziwe zajęcie trwało jednak niedługo. Powoli ostygał zapał, instytucya, któréj niegdyś pragnęliśmy tak gorąco, zaczęła nas coraz mniéj interesować, po latach kilkunastu przyszło do tego, że rzadko kto chciał się ubiegać o mandat poselski, w końcu zaszliśmy aż tak daleko, że aby uwagę ogółu choć trochę na sejm skierować, dzienniki uznały za ko-

nieczne donieść, że wielu bogatszych posłów zjeżdża do Lwowa ze swemi rodzinami, aby jak za czasów rzeczypospolitéj, przez cały czas trwania sesyi dawać objady, herbatki i wieczory tańcujące. Stało się to przed dwoma laty. W roku ubiegłym nikt tak pomyślnych wieści nie rozsiewał, bieda bowiem w kraju jest tak powszechna, że nawet ludzie bogaci muszą się oszczędzać, o sejm więc nikt się téż nie troszczył, i gdyby nie namiętne rozprawy nad wnioskiem Romańczuka, o którym będę mówił niżéj, nie byłoby nas nic zbudziło z przerażającéj obojętności. Gdzie należy szukać źródła powszechnéj apatyi? Czy w naszym nieszczęsnym temperamencie narodowym, który pozwalając nam zapalać się prędko do każdéj rzeczy pięknéj, nie uczy nas równocześnie spokojnie pracować dla rzeczy pożytecznych? Chociaż przyznaję, że nasz temperament trochę tu zawinił, jednakowoż nie mogę powiedzićć, iżby on sam był sprawcą wszystkiego złego. Na to, żeśmy dla sejmu zobojętnieli, składały się czynniki dwojakiéj natury: zewnętrzne i wewnętrzne. Pierwsze pochodzą od państwa, z którém jesteśmy złączeni, drugie od nas samych. Zacznijmy od pierwszych.

Przed ćwierćwiekiem zdawało się nam, że z sejmem otrzymamy wszystko, to jest zupełny samorząd. Wprawdzie wiedzieliśmy już wtedy, że po nad tą instytucyą prowincyonalną stać będzie w Wiedniu rada państwa, zajmująca się sprawami całéj monarchii, ale to nas nie przerażało. Wszak nikt nie wątpił, że tak rząd jak rada państwa wszystko spełnią, czego sześciomilionowa prowincya zażąda przez usta swoich reprezentantów. Tu spotkał nas pierwszy zawód. Unosząc się nad konstytucyą, zapomnieliśmy, że ponieważ Austrya składa się z siedmnastu prowincyi, więc rada państwa znajdzie się nieraz w kłopocie, gdy będzie musiała spełniać życzenia siedmnastu sejmów, bo kto wié, czy każde z nich da się pogodzić z interesami całéj monarchii; nie braliśmy także w rachubę żywiołu niemieckiego, który bądź-co-bądź pragnie jeszcze wieść prym w rzeszy Rakuskiéj; nakoniec nie przeczuwaliśmy, że gdy zostanie zaprowadzony dualizm, Węgrzy taki wpływ w państwie zdobędą i tak twardo będą stali przy swoich interesach, że Austrya nieraz będzie zmuszona poświęcić dla nich dobro téj lub owéj prowincyi przedlitawskiéj. Nie dawniéj niż przed rokiem zachwiały się w Galicyi wszystkie większe gorzelnie, bo Węgrzy aby swoim gorzelniom dopomódz, zażądali takiéj ustawy, która nasze podkopała. W ciągu ćwierćwieku przekonywaliśmy się tedy dość często, że nadzieje nasze były zbyt różowe. Sejm galicyjski mówił swoje, a Wiedeń robił swoje. Czasem rząd przy pomocy swego stronnictwa nie dopuszczał by sejm powziął tę lub owę niemiłą mu uchwałę; niekiedy, gdy już miało za-

paść co ważnego, niespodziewanie sesyą zamykał; ilekroć zaś nie powiodło mu się ani jedno, ani drugie, wtedy cesarz na mocy prerogatyw monarszych, odmawiał niemiłym ustawom swojéj sankcyi. Tym sposobem sejm nasz mógł tylko to w czyn wprowadzić, co rząd centralny uznał za dobre dla całéj monarchii, a ponieważ interesa Galicyi bardzo często krzyżują się z interesami innych prowincyi, więc téż na własną rękę nie mogliśmy nigdy powziąć donośniejszéj uchwały. Rzecz prosta, że powoli straciła urok instytucya, która sama nie może właściwie nic uczynić.

Chociaż to, com dotąd powiedział, w pierwszych zaraz latach naszego życia konstytucyjnego nie było dla nikogo tajemnicą, mimo to zobojętnienie dla sejmu nie było w początkach ani w połowie tak wielkie, jak jest dzisiaj, gdyż przed laty dwunastu miał on jeszcze ważną prerogatywę, dzięki któréj był instytucyą nie tylko prowincyonalną, lecz także państwową. Tą prerogatywą był paragraf w konstytucyi, mocą którego sejm z łona swego wybierał członków rady państwa. Z pomiędzy posłów sejmowych wyjeżdżali tedy delegaci do Wiednia, aby tam, u wielkiego ołtarza bronić interesów tak dobrze monarchii, jak naszéj prowincyi. Tym sposobem rada państwa była mandataryuszem wszystkich sejmów prowincyonalnych. Korzyść ztąd dla kraju płynąca była rzetelną. Delegaci przez sejm wybierani, musieli w Wiedniu bronić uchwał swojéj macierzy, gdyż moralnie za swoje czynności byli przed nią odpowiedzialni. Moralny ten związek nie podobał się jednak stronnictwu centralistycznemu, to téż ledwie przyszło ono do władzy, odebrało sejmom prerogatywę wysyłania delegatów i zaprowadziło tak zwane „wybory bezpośrednie.“ Teraz wyborcy każdéj prowincyi z osobna zbierają się w swoich okręgach i głosują na członków rady państwa. Odkąd tę nowość wprowadzono, znaczenie sejmu zaczęło szybko upadać. Przestawszy być nawet pośrednio instytucyą prawodawczą, zmienił się w obszerniejszą radę powiatową, któréj wolno zajmować się jedynie lokalnemi sprawami. Kto marzy o wielkiéj polityce, a takich, niestety, mamy więcéj, niż ludzi cichéj pracy, oddających się chętnie sprawom domowym, ten ubiega się o wybór do rady państwa, o mandacie zaś poselskim ani myśli. Tak więc mamy delegatów, którzy, ponieważ nie są członkami sejmu i nie czują się moralnie związani z tą najwyższą instytucyą autonomiczną w kraju, z góry na nią patrzą. Zły przykład innych zaraża.

Jest jeszcze rzecz jedna, natury ogólniejszéj, rzecz od nas całkiém nie zawisła, która w wielkiéj mierze do tego się przyczyniła, że kraj zobojętniał dla sejmu. W ubiegłém ćwierćwieku przekonaliśmy się, niestety, że sama forma konstytucyjna nie może uszczęśli-

wić poszczególnych ludów austryackich. Stronnictwo centralistyczne, które przez długie lata ster rządów dzierżyło, *Schwindlem* i *Krachem* zaprowadziło państwo nad kraj przepaści; jak niegdyś, w epoce największego absolutyzmu, tak i dziś jeszcze, jedne prowincye żyją kosztem drugich; dotąd nie ziściły się przepowiednie, że Austrya zdobędzie dla swojéj produkcyi nowe targowisko na wschodzie; przesilenie rolnicze robi się coraz cięższém i ogólniejszém, bieda ogarnia wszystkie warstwy. Rzecz prosta, że wśród takich stosunków, ludzie przestają zapalać się do instytucyi, która nie urzeczywistniła ich nadziei i z wielu stron dają się słyszéć głosy: „Na co nam jéj!“ Smutny ten okrzyk warstw najniższych, spowodowany okolicznościami i stosunkami, których usunięcie nie leży w naszéj mocy, daje się dziś słyszéć tak dobrze w Austryi jak i w innych państwach konstytucyjnych.

Dotknąwszy przyczyn zewnętrznych, przejdźmy teraz do wewnętrznych.

W pierwszych latach naszéj ery konstytucyjnéj, a były to czasy kwitnącego wszędzie liberalizmu, któremu nawet surowi konserwatyści składali niekiedy ofiary, kraj wybierał do sejmu ludzi najzdolniejszych i wypróbowanego patryotyzmu. Czyniąc zaś to, wcale nie pytał, do jakiego obozu kandydaci należeli. Jemu szło wtedy nie o formę, lecz o treść; nie o nazwiska lecz o serca i głowy. Dzięki temu, na czele sejmu widzieliśmy z początku ludzi jak Ziemiałkowski i Smolka, nie-szlachciców i demokratów, ci bowiem jako najzdolniejsi, mogli skuteczniéj niż inni bronić interesów kraju i nowe korzyści dla niego zdobywać. Ten stan nie trwał jednak długo. Magnaci, którzy od Jagiełły począwszy w Polsce rej wiedli, nie mogli, choćby przez uszanowanie dla tradycyi, władzy z rąk wypuścić. Zaczęli się więc organizować, a gdy szlachta drobniejsza, jak według zwyczaju, poszła na lep pięknych słówek możnowładców i zaciągnęła się do ich obozów, wtedy postać naszego sejmu zmieniła się radykalnie. Dawniejsza niedość wyraźna mięszanina nie mogła wytrzymać parcia ze strony czystych zachowawców i musiała im pierwszeństwa ustąpić. W téj walce rząd stanął otwarcie po stronie szlachty. Uczynił to zaś z powodów następujących: Najpierw mimo konstytucyi i liberalizmu, Austrya pod wpływem dynastyi nie przestała być ani na chwilę państwem klerykalno-arystokratyczném, więc téż chętnie szlachtę u siebie popiera; następnie wiedeńscy mężowie stanu przekonali się, że szlachta polska, acz ją niegdyś poczytywano za rewolucyjną, w gruncie rzeczy jest bardziéj zachowawczą i spokojniejszą niż każda inna, lecz żeby taką mogła zostać, trzeba jéj koniecznie choć trochę władzy udzielić, gdyż inaczéj mo-

głaby być niezadowoloną; nakoniec ruch socyalny, objawiający się w całéj Europie, a więc i w Austryi, nakazywał dynastyi oprzéć się przedewszystkiém na konserwatystach, gdyż każdy inny obóz mógłby się okazać mniéj silnym i pewnym. Dzięki tym okolicznościom, szlachta opanowała cały sejm, przy ostatnich wyborach rząd nawet jawnie ją popierał, i dziś w izbie znajduje się ledwie kilkunastu posłów ze stronnictwa postępowego, których miasta dostarczyły. Możnowładcy podzielili teraz role między siebie. Na czele ultrakonserwatywnéj prawicy stanęli Potoccy, Tarnowscy i Wodziccy; w centrum, które skłania się ku umiarkowanym reformom, widzimy Czartoryskich i Dzieduszyckich; nawet z grona saméj lewicy, dotąd niezorganizowanéj i luzem chodzącéj jeszcze do niedawna wychylała się postać księcia Adama Sapiehy. Dopiero odkąd książę został tajnym radcą, utworzył on odrębne stronnictwo. Lewica jest bez kierownika, wszelako gdyby ten lub ów pan chciał stanąć na jéj czele, bez najmniejszéj wątpliwości przyjęłaby go otwartemi rękami. Że tak jest w Galicyi, niech się temu nikt nie dziwi. Wszak od Piastów począwszy, wyrabiała się u nas oligarchia. Dawna ta forma rządu tak wsiąknęła w nasz organizm, że innéj nie umiemy sobie nawet wyobrazić, zwłaszcza tu, w Małopolsce, gdzie, jak wiadomo, stała kolebka oligarchizmu. I zdaje się, że ogół musi ją poczytywać za formę najdoskonalszą, skoro nawet tak prawdziwie zdolni posłowie, jak Madejski i Bobrzyński, wolą stać po stronie familii, niż w połączeniu utworzyć obóz odrębny, silny nie tyle nazwiskami, co inteligencyą, pracą i jasno sformułowanym programem. Co do szlachty, ta zdobywszy raz pozycyą nie myśli z niéj ustąpić i wszelkich starań dokłada, aby do izby, w któréj ona rządzi, nie wcisnął się przypadkiem jaki intruz. Napróżno tedy kraj oddawna żąda, by liczba posłów z miast była pomnożona. Większość w sejmie odrzuca systematycznie każdy wniosek do tego zmierzający, nawet rektora politechniki lwowskiej nie wpuściła do swego grona, chociaż rektor uniwersytetu z urzędu swego w sejmie zasiada. Szlachta nie chce przyrostu inteligencyi, bo lęka się opozycyi, która wzmocniwszy się, mogłaby jéj z czasem wyrwać z rąk władzę.

W czasach tak praktycznych, jak dzisiejsze, nie znajdziemy prawdopodobnie wśród ludzi trzeźwo myślących ani jednego, któryby chciał utrzymywać, że narody mają li po jednéj warstwie zdolnéj do rządzenia. Zasada kast upadła od dawna, a gdzie tego nie chcą uznać, tam widzimy martwotę. W organizmach prawdziwie zdrowych, mężów, którzy mają rządzić, dostarcza cały naród, nie zaś ta, lub owa warstwa społeczna. Mimo téj prawdy, nie mielibyśmy nic przeciw temu, żeby ster polityki galicyjskiéj spoczywał w rękach

samėj szlachty, gdyby tylko ona z podjętego zadania wywiązywała się skrupulatnie i krajowi rzetelne oddawała usługi. Czy jednak tak jest? Niech przeszłość w tym wypadku za mnie odpowie. Sejm jest dla teraźniejszėj większości zabawką. którą ona zajmuje się jedynie z obawy, aby jėj kto inny nie popsuł, a że każda zabawka prędko znudzi, więc i ta już jėj tak nie zajmuje jak dawniejszemi laty. Inaczėj by jednak było, gdyby nasz sejm prowadził wielką politykę, wśród którėj możnaby błyszczėć, lub gdyby rozstrzygał losy Podola i Ukrainy. Nie wątpię, że wtedy większość zjeżdżałaby się tłumnie do Lwowa, rozprawy byłyby niezmiernie namiętne i walka między stronnictwami, lub raczėj między familiami, wrzałaby zacięta. Gdy jednak o tėm wszystkiėm mowy już niema i gdy na domiar złego, po zaprowadzeniu wyborów bezpośrednich sejm utracił ostatni cień władzy politycznėj, więc teraz niech nikt nie pyta, czemu szlachta spogląda nań obojętnie, czemu w dniu otwarcia sejmu rzadko kto się pojawia, czemu na posiedzenie niewielu przychodzi, tak dalece, że często-gęsto do powzięcia jakiėj ważnėj uchwały nie ma potrzebnego kompletu, krótko mówiąc, niech się nikt nie dziwi, jeżeli szlachta jedynie dla tego do sejmu jeszcze należy, że boi się by po jėj ustąpieniu, kto inny nie zajął jėj miejsca. Sejm utracił urok w jėj oczach, bo dla ludzi tych, co ona pragnień, ma on zbyt szczupły zakres działania. Co do inteligencyi, tėj znów dla tego sejm ku sobie nie pociąga, że w nim wiedzie dotąd prym obóz, stojący tak twardo przy tradycyi, że nie chce dopuścić żadnėj nowości. A wielka szkoda, że do tego przyszło! Wprawdzie sejm nasz nie rozstrzyga o losach narodów, lecz mimo to ustawodawca powierzył mu wiele cennych rzeczy, które wartoby otoczyć sumienną opieką. Czy wychowanie tak ludowe, jak w szkołach średnich, to drobnostka? Czy sprawy przemysłu, komunikacyi i rozmaitych zakładów publicznych nic nie znaczą? A nasze gospodarstwo tak rolne, jak leśne, czy nie warte nawet spojrzenia? Kontrola nad majątkiem gmin, których w Galicyi mamy blisko sześć tysięcy, jest także czynnością wielce pożyteczną. Byłoby więc nad czėm pracować, byle były chęci po temu....

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Szlachta galicyjska nie tylko dla tego zobojętniała dla sejmu, że w nim nie może składać dowodów swoich politycznych zdolności; jest jeszcze rzecz inna, która ją do niego zniechęca, a tą jest osoba samego marszałka. Dawniėj na czele naszėj autonomii widzieliśmy Sapiehów, Potockich, Dieduszyckich i Wodzickich, a chociaż prócz jednego ks. Leona Sapiehy, żaden z następnych marszałków nie oddawał się zbyt gorliwie zmudnėj pracy w wydziale krajowym, mimo to większość sejmowa bardzo z nich była zadowolona, gdyż według jėj mniemania, marszałek

nie ma pracować, jeno reprezentować. A któż magnatów, szczycących się od ośmiu wieków szlacheckiemi pargaminami, może godnie reprezentować, jeżeli nie pan z panów. Ta zasada tak się u nas zakorzeniła, że nawet rząd, gdy do Galicyi ma przysłać głównodowodzącego, szuka na tę posadę osobistości w najwyższéj arystokracyi. Namiestnikami nie robi on także zwykłych śmiertelników, a chociaż po ustąpieniu hr. Alfreda Potockiego z pałacu „pod kawką“, jego miejsce zajął tam niebogaty szlachcic, p. Zaleski, mimo to niech nikt tego nie uważa za odstąpienie od staréj zasady, iż na czele prowincyi, w któréj magnaci rej wodzą, jeno magnat stać może, z tego bowiem, co dotąd przedarło się do publiczności, wolno wnioskować, że p. Zaleski zawdzięcza swoje dostojeństwo jedynie energicznemu poparciu wszechpotężnéj familii krajowéj, więc też bardzo być może, że gdy mu kiedyś zabraknie tego poparcia, dawna zasada wprowadzając do namiestnictwa prawdziwego magnata, odzyska swoje prawa. Zapytuję teraz, czy nie słuszną jest rzeczą, aby na czele autonomii stał także magnat, lub przynajmniéj bardzo dobry szlachcic, skoro sam rząd nie powierza pierwszym lepszym dłoniom swojéj administracyi. Tym życzeniom nie stało się jednak zadość, gdy po ustąpieniu hr. Ludwika Wodzickiego, który objął intratną posadę gubernatora Laenderbanku, należało na jego miejsce wybrać nowego marszałka. Oczy monarchy, któremi, o ile się zdaje, kierował minister Ziemiałkowski, padły tym razem na burmistrza krakowskiego, d-ra Mikołaja Zyblikiewicza. Gdy to nastąpiło, rozgoryczenie w kraju było niezmierne. Wprawdzie nowemu marszałkowi nikt nie odmawiał ani zdolności, ani energii, ani chęci pracowania około dobra kraju; wprawdzie obóz konserwatywny z dawien dawna zaliczał go do swoich, lecz czy to wystarcza, skoro d-r Zyblikiewicz nie tylko nie jest panem z panów, lecz co nierównie gorsze, jako syn mieszczański, nie może się nawet wykazać prostém szlachectwem. Odkąd ta osobistość stanęła na czele naszéj autonomii, większość sejmowa świadczy już tém samém krajowi niezmierną łaskę, że raczy na sesye przyjeżdżać. Równocześnie agitacya przeciw marszałkowi ani na chwilę nie ustaje. Z początku podchwytywano w nim ludzkie słabostki, wydrwiwano jego ekwipaż i apartamenta, jedni brali mu za złe, że się zanadto demokratyzuje, zajadając kiełbasę w bufecie sejmowym, drudzy, że się w pana bawi, pijąc szampana przy obiedzie, a gdy te pociski nie doprowadziły do zamierzonego celu, nie cofnęli się nawet przed udzieleniem mu formalnego wotum nieufności, gdyż posła Kozłowskiego, który w roku ubiegłym dla tego z sejmu ustąpił, iż marszałka w izbie obraził, szlachta w tym roku ostentacyjnie drugi raz wybrała. Niechęć do syna mieszczańskiego zaszła tak daleko, że przed ostatnią se-

syą głośno już mówiono, że dr. Zyblikiewicz ustąpi, a miejsce jego zajmie ks. Adam Sapieha. Nie ziściły się jednak owe przepowiednie, poseł Kozłowski wstępując do sejmu, przeprosił marszalka i dr. Zyblikiewicz utrzymał się na swojém stanowisku. Lecz niech nikt nie sądzi, że jego pozycya jest pewną. Chociaż pracuje on gorliwie i już dotąd więcéj pożytecznego zdziałał, niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci, mimo to będzie on zawsze solą w oczach oligarchów, i prędzéj lub późniéj ustąpi miejsca jakiemu księciu lub hrabiemu.

II.

Na sesyi ubiegłéj, prócz sprawy rusińskiéj, poruszono jeszcze kilka innych kwestyi, mających znaczenie zasadnicze. o których należy słów kilka powiedziéć. Pierwszą z nich była sprawa budżetu. Zdawien dawna panował u nas zwyczaj, że niedobór w budżecie autonomicznym, pokrywał sejm bądź pożyczką, bądź podwyższaniem dodatków do podatków. Druga ta operacya odbywa się w ten sposób, że od każdego guldena podatków państwowych, kontrybuent uiszcza w dodatkach na rzecz funduszu autonomicznego około 30 centów rocznie, którą to kwotę rząd sam ściąga, potém przelewa ją do kasy wydziału krajowego. Ponieważ wydatki naszéj prowincyi, jako kraju pragnącego dotrzymywać kroku cywilizacyi, rok rocznie zwiększają się, przeto i teraz zachodziło pytanie, co właściwie należy uczynić. Czy nową pożyczkę zaciągnąć, czy podnieść dodatki do podatków, czy też takie oszczędności zaprowadzić, by przez nie mogła być przywrócona równowaga w budżecie. O pierwszym środku tym razem nikt nie mówił, gdyż nareszcie wszyscy zrozumieli, że wieczne pożyczki niczyich finansów nie uregulowały; za podwyższeniem dodatków był wydział krajowy, głównie dla tego, że bał się, by brak pieniędzy nie zmusił nas do cofania się, lecz gdy prawie cała Izba oświadczyła przez usta swoich mówców, że wśród takiéj biedy jak teraźniejsza, trudno ciągle cisnąć śrubę podatkową, wszyscy zgodzili się na oszczędności i w ten sposób połatano nasz budżet. Trwać to jednak będzie ledwie rok, i przyszły sejm znów zapyta: Czy dodatki podwyższać, czy oszczędności zaprowadzić? Aby tym kłopotom raz na zawsze kres położyć, postanowiło grono posłów, których rzecznikiem był p. Dawid Abrahamowicz, wskazać nowe źródło dochodu, które lepiéj niż wszystko inne mogłoby zaspokoić potrzeby naszego budżetu. Tém źródłem byłyby krajowe opłaty od gorących napojów. Ponieważ w kilku innych prowincyach monarchii już oddawna one istnieją, nie ulega przeto wątpliwości, że w razie gdyby

je nasz sejm uchwalił, cesarz nie odmówił by odnośnéj ustawie swojéj sankcyi. Ile takie opłaty przyniosłyby krajowi, tego wnioskodawca nie mógł na razie dokładnie podać. Zdaje się jednak, że dałyby kilka milionów, skoro po dorywczém obliczeniu okazało się, że sam Lwów płaciłby wtedy na rzecz skarbu krajowego około 100,000 guldenów. Chociaż myśl sama jest bardzo zdrowa, mimo to wniosek posła Abrahamowicza nie podobał się właścicielom propinacyi, gdyż ci boją się, by po jego przyjęciu nie zmniejszyły się ich dochody. Nie mając jednak odwagi wprost przeciw niemu głosować, poruczyli go do zbadania wydziałowi krajowemu, który na najbliższéj sesyi sejmowéj zda z niego sprawę. *Alea jacta est.* Krok pierwszy został szczęśliwie uczyniony, szlachta bowiem odsyłając wniosek do wydziału, tém samém przyznała, że pieniędzy trzeba gdzie indziéj szukać, nie zaś tam, zkąd je dotąd brano, bardzo więc być może, że już w przyszłym roku nasz budżet autonomiczny otrzyma nowe źródło dochodu. Nim to jednak nastąpi, musi tymczasowo zadowolić się on kilkudziesięciu tysiącami, które mu wpłyną ze świeżo uchwalonéj ustawy, zaprowadzającéj karty myśliwskie i opłaty od chartów. Oba te podatki są także sprawiedliwe i racyonalne, dotykają bowiem tylko ludzi najbogatszych, z których każdy może łatwo wydać dla swéj przyjemności kilka guldenów rocznie. To, że sejm zaczyna już myśléć o podatkowywaniu ludzi zamożnych, nie zaś ubogich, znamionuje wielki postęp w naszych zapatrywaniach, i jeżeli daléj pójdzie on tą drogą, może bardzo zasłużyć się około dobra kraju.

Na początku sesyi, która była niesłychanie monotonna, gdyż sekretarze odczytywali tylko nadchodzące petycye, bombą nagle pękającą była tak zwana „sprawa sporyszowa,“ która i po za granicami kraju niemało wrzawy narobiła. Oto doszło nagle do wiadomości sejmu, że intendentura wojskowa w Krakowie, opierając się na orzeczeniu swego lekarza, postanowiła nie przyjmować więcéj do piekarń wojskowych żyta galicyjskiego, wrzekomo dla tego, że takowe ma zawierać substancyą, zwaną sporyszem, szkodliwą dla zdrowia ludzkiego. Tą ważną dla nas sprawę zajął się energicznie jeden z najzdolniejszych posłów, należący do środka sejmowego, hr. Męciński. Posypały się mowy, interpelacye do rządu, z ust kilku posłów padły skargi na władzę centralną, za to, że faworyzując rolnicze Węgry, zabija równocześnie rolniczą Galicyę, przy téj sposobności wyszło także na jaw, że jeneralny dostawca dla armii, żyd Abeles, w Wiedniu mieszkający, zamiast u nas, kupuje owies w Rumunii, choć od galicyjskiego jest on gorszy, a czyni to li dla tego, że rumuński jest tańszy; namiestnik przyparty ze wszystkich stron, nie wiedział, jaką ma właściwie dać odpowiedź, zaczęła się wymiana depesz między Lwo-

wem, Krakowem a Wiedniem, słowem przez kilka dni kotłowało jak w garnku. Nareszcie sejm powziął uchwałę, domagającą się od rządu, by produkcyi galicyjskiéj nie traktował po macoszemu, minister zaś odpowiedział, że wypadek krakowski był wyjątkowy, ponieważ on nigdy nie wykluczał żyta galicyjskiego od liwerunków wojskowych. Prócz tego przyrzekł dołożyć starań, iżby w przyszłości nie powtarzały się takie rzeczy. Niektórzy wzięli reprezentacyi za złe, że tak namiętnie zajęła się sprawą, i z tego powodu całą sesyą przezwali złośliwie „sporyszową." Według nich, nie należało téj rzeczy rozgłaszać, ponieważ kupcy zagraniczni, dowiedziawszy się, że w życie galicyjskiém znajduje się sporysz, będą teraz za nie mniéj dawali niż dawniéj. O ile mnie się zdaje, trudno podzielać te obawy. Najpierw na całym świecie nie ma żyta bez sporyszu, u nas jest go nawet mniéj niż gdzie indziéj, następnie trudno przypuścić, iżby kupcy zagraniczni dotąd nie wiedzieli, jaki właściwie towar w Galicyi kupują, i dla tego na ich opinią rozprawy sejmu naszego wcale nie wpłyną. Z drugiéj zaś strony, słuszną było rzeczą, byśmy rządowi choć raz powiedzieli, co nam na sercu cięży. Odkąd Galicya została połączona z organizmem rzeszy Rakuskiéj, rząd centralny poczytywał ją zawsze za kraj, który powinien był karmić i tuczyć jego prowincye niemieckie. Dla tego to nie dopuszczono, żeby u nas wzmógł się przemysł fabryczny, gdyż Galicya miała być targowiskiem zbytu dla fabrykantów czeskich, morawskich; dla tego w naszą prowincyą nic zgoła nie wkładano, a jeno z niéj zabierano, mianowicie dobra koronne, srebra i wysokie podatki, w końcu nawet depozyta sądowe; dla tego nareszcie dziś, aby przypodobać się Węgrom ukochanym, robi się szkoda naszemu rolnictwu i wiążącemu się z niém przemysłowi. Dobrze się więc stało, że z trybuny naszego sejmu padły głosy ostrzegające, bo może teraz panowie ministrowie będą trochę oględniéj obchodzili się z biedną Galicyą.

Po śmierci śp. Waleryana Podlewskiego, jeden departament w wydziale krajowym, nie tak ważny jak inne, gdyż zajmuje się on tylko żandarmeryą i szupaśnictwem, został bez naczelnika. Ponieważ nasza autonomia nie ma do rozdania wiele tak dobrych posad, jak właśnie ta, która po Podlewskim została, więc nie jeden czynił zabiegi, żeby zbliżający się sejm osadził go na krześle radzieckim. Rusini, którzy w wydziale nie mieli dotąd reprezentanta, odezwali się pierwsi, żądając téj posady dla jednego ze swoich. Na co ci, którzy szczerze pragną zgody, odpowiedzieli: dobrze! przeciwnie inni wykręcali się frazesem, że przy wyborze do wydziału powinno zważać się nie na narodowość kandydata, lecz na jego uzdolnienie. Na szczęście tych drugich było mniéj niż pierwszych, i gdy sejm zebrał się, wybór

Rusina był już prawie zapewniony. Gdy zapytano Rusinów, kogoby chcieli widzieć w wydziale, ci na pierwszém miejscu postawili swego przewódcę, posła Romańczuka, a dopiero po nim innych. Gdy jednak kandydatura téj osobistości wydała się zbyt jaskrawą, klub ruski oświadczył się za p. Bereżnickim, i ten též został wybrany. Kandydat prawicy, hr. Scipio, musiał ustąpić miejsca szczęśliwszemu współzawodnikowi. Zachowanie się rządu w téj sprawie zasługuje na uwagę. Namiestnik przemawiał gorąco za potrzebą wybrania Rusina do wydziału, i on téż wespół z metropolitą przeważył szalę na rzecz Bereżnickiego. Ledwie to nastąpiło, rozeszła się wieść między Rusinami, że nie Polacy zrobili im ustępstwo, jeno rząd, wbrew woli Polaków Inicyatywa do tego kroku miała wyjść od samego cesarza, który jeszcze przed dwoma laty objawił był życzenie, by rządząca partya w Galicyi podała Rusinom rękę do zgody. Jeżeli tak jest w rzeczy saméj, a bardzo wiele wskazówek przemawia za prawdziwością tego twierdzenia, to niestety należy żałować, że Polacy nie umieją nigdy z chwili korzystać, i prawdziwie zawsze pracują dla innych, nie zaś dla siebie. Prąd ugodowy ujawnia się u nas nie od dziś i nie od wczoraj, już od kilku lat powtarzamy przy każdéj sposobności, że powinniśmy iść zgodnie z Czechami i Rusinami, a mimo to nie mogliśmy się zdobyć w tym kierunku na krok samodzielny i czekaliśmy, póki by nam nie dano wskazówki z góry. Czy tak postępują ludzie polityczni? Czy jeszcze długo będziemy wyciągali drugim gorące kasztany z pieca? Że rząd, aby sobie Rusinów zjednać, skorzystał z naszego pojednawczego usposobienia, tego nie można mu brać za złe. Każdy rząd rozumny dba o własne dobro, zresztą postępowanie tego rodzaju jest zgodne z tradycyami austryackiéj polityki. Gdy w r. 1848 szlachta polska zaczęła w Galicyi głośno przemawiać za potrzebą zniesienia pańszczyzny, wtedy rząd zakazał jéj surowo to czynić, chłopom zaś nie pozwolił darowizny przyjmować. Niedługo potém zniósł sam pańszczyznę, by tym czynem raz na zawsze pozyskać sympatye ludu. Czy *mutatis mutandis* nie powtarza się dziś to samo z Rusinami? Podczas rozpraw nad wnioskiem Romańczuka, znany rektor uniwersytetu lwowskiego i uczony, dr. Antoni Małecki, przedłożył sejmowi swój projekt, zmierzający do tego, by we wschodniéj Galicyi, gdzie lud jest rusiński, niektóre przedmioty w szkołach średnich były wykładane po polsku, inne znów po rusku. Pomysł Małeckiego jest znakomity, bo najkrótszą drogą wiedzie do celu, mianowicie do ugody między obiema narodowościami. Jak się jednak rząd wobec niego zachował? Wprost nieprzychylnie. Lecz kto wie, czy kiedyś, jeźli Polacy porzucą wniosek Małeckiego, pan minister oświaty, nie powoła go sam do życia, by tém Rusinów na nowo so-

bie zjednać. Roztropność nakazuje tedy śledzić tę taktykę, bo inaczéj ze zręcznym przeciwnikiem partyą z pewnością przegramy.

Nim zacznę mówić o wniosku Romańczuka, któremu, dla jego ważności, w niniejszym artykule muszę najwięcéj miejsca poświęcić, wspomnę jeszcze choć kilku słowy o naszych stronnictwach sejmowych. Jak dotąd, obozem najsilniejszém była prawica, która po śmierci Józefa Szujskiego powstała ze zlania się dwóch frakcyi: podolskiéj i krakowskiéj. Tę drugą znają wszyscy pod charakterystyczną nazwą Stańczyków. Jeżeli o jakiem, to o tém małżeństwie możnaby powiedziéć, że zostało zawarte li z konieczności. Partya krakowska osłabiona śmiercią Szujskiego i dezercyą kilku wybitniejszych swoich członków, którzy z rozwiniętemi sztandarami przeszli do centrum, musiała zbliżyć się do Podolaków, z którym jednak prócz zasady konserwatywnéj, nie ma nic wspólnego. Krakowiacy są bez porównania mniéj zacofani niż Podolacy, prócz tego między pierwszymi znajdują się zdolności, gdy przeciwnie między drugimi nie ma ani jednéj. Kto zna dzieje, musi to uznać za rzecz naturalną, wszak nawet wśród najgorszych stosunków, Małopolska dostarczała jeszcze polityków, przynajmniéj téj miary co Ossoliński, gdy przeciwnie na Rusi pojawiali się tylko bądź wielcy wodzowie, bądź tyrani i gwałtownicy jak Wiśniowiecki. Do jakiego stopnia różnią się zapatrywania partyi podolskiéj od krakowskiéj, wystąpiło to na jaw podczas rozpraw nad wnioskiem Romańczuka. Mówcy podolscy wprost oświadczyli, że Rusi nie ma, gdy przeciwnie koryfeusze stronnictwa krakowskiego zabierali głos w obronie języka i narodowości rusińskiéj. W ciągu tegorocznéj sesyi okazało się także, że prawica nie ma jasno sformułowanego programu, i że w jéj obozie brak parlamentarnéj karności, skutkiem czego kilkakrotnie była narażoną na dotkliwą porażkę. Najjaskrawiéj wystąpiło to przy następującéj okoliczności. Parlamentarny klub prawicy postanowił wezwać wydział krajowy do zwołania ankiety, dla systematycznego przeprowadzenia reform i oszczędności w autonomicznéj administracyi kraju. Komisya parlamentarna tegoż klubu przeprowadziła w téj mierze rokowanie z centrum, poczém poseł Kozłowski wniósł tę rzecz na plenarném posiedzeniu koła. W tém powstali członkowie klubu prawicy, hr. Stadnicki i hr. Golejewski i stanowczo sprzeciwili się swemu przyjacielowi politycznemu. Za ich przykładem poszli inni. Skutek zaś był ten, że p. Kozłowski widząc się opuszczonym przez własnych sojuszników, musiał cofnąć cały wniosek. Był to pierwszy przykład niesforności w łonie tego niegdyś tak bardzo karnego stronnictwa. Nie mała porażka spotkała także prawicę, gdy w jéj imieniu, profesor uniwersytetu Jagielońskiego, Bobrzyński,—zaatakował krajową

radę szkolną. Atak nie udał się, bo go odbili dr. Euzebiusz Czerkawski i ks. Adam Sapieha. Te i tym podobne fakta są niepomyślnemi zwiastunami dla przyszłości prawicy, którą systematycznie podkopuje centrum sejmowe, mające na swojém czele ks. Jerzego Czartoryskiego. Wprawdzie i ono jest konserwatywne, ale za to w porównaniu z prawicą jest ruchliwsze i do reform skłonniejsze. Dotąd powiodło mu się przygarnąć do siebie dużo ludzi prawdziwie zdolnych, między którymi wiedzie prym Stanisław Madejski, a że po stronie centrum są także sympatye znacznéj większości kraju, więc można się spodziewać, że tak w sejmie jak w delegacyi niezadługo zostanie ono panem sytuacyi. Frakcya złożona z ośmiu czy dziesięciu posłów, a utworzona przez rodzinę i adherentów ks. Adama Sapiehy, będzie prawdopodobnie odgrywała rolę języczka u wagi. Nie wiążąc się na długo z żadném większém stronnictwem, będzie ona szła raz z tymi, drugi raz z owymi, i tym sposobem przyczyni się do podtrzymania równowagi w sejmie. Prócz Rusinów, o których zaraz pomówimy, pozostaje jeszcze lewica. Wśród niéj znajdują się ludzie prawdziwie zdolni i pracowici, jak Hausner, Romanowicz, Merunowicz i inni, wszelako dotąd nie powiodło im się sformować silnie zwartego obozu. Po większéj części chodzą oni luzem, a choć pod koniec sesyi utworzyli klub, do którego przystąpiło ośmnastu posłów, wątpić jednak można, czy ta organizacya utrzyma się długo. Nasza demokracya ma to do siebie, że zawiść odgrywa u niéj większą rolę niż w każdym innym obozie, a co do karności, to téj napróżnobyśmy żądali od jéj zwolenników. Jeźli kto, to demokrata galicyjski nie lubi nikogo słuchać, bo tylko on jeden „może ludzkości zbawienne prawa dyktować.

III.

Na posiedzeniu sejmu 4 października r. 1884, postawił poseł Julian Romańczuk, następującéj treści wniosek:

„Wysoki Sejm raczy uchwalić następującą nowellę do ustawy o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich:

Ustawa z dnia... zmieniająca niektóre postanowienia z dnia 22 czerwca 1867 r. o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich Królestw Galicyi i Lodomeryi z Wielkiém Księstwem Krakowskiém.

T y t u ł I.

Niżéj wymienione artykuły ustawy z d. 22 czerwca 1867 r. o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich, Królestw Galicyi i Lodomeryi z Wielkiém Księ-

stwem Krakowskiem, przestają od teraz obowiązywać. Te artykuły mają od teraz brzmieć jak następuje:

Art. II.

Jeżeli szkoła ludowa pobiera subwencyą z funduszów publicznych, to prawo decydowania, który z języków, polski czy ruski, ma być wykładowym, wykonywa gmina wspólnie ze szkolną władzą krajową w ten sposób, iż orzeczenia gminy podlegają zatwierdzeniu szkolnéj władzy krajowéj.

Jeżeli w jakiéj miejscowości, z mięszaną ludnością polską i ruską, druga narodowość stanowi co najmniéj czwartą część całéj ludności, a w miejscowościach z ludnością nad 12 tysięcy, co najmniéj 3 tysiące dusz,—jest więcéj szkół ludowych dla dzieci jednéj płci, to przynajmniéj w jednéj szkole, a jeśli jest tylko jedna szkoła z klasami paralelnemi, to w klasach paralelnych językiem wykładowym ma być język drugiéj narodowości. W któréj i w jakiéj szkole ma być wykładowy język drugiéj narodowości, decyduje stosownie do liczby dusz obu narodowości i do miejscowych potrzeb, krajowa władza szkolna, w porozumieniu z radą gminną, względnie z tym, kto szkołę utrzymuje.

Art. V.

b) W paralelnych klasach wyższych szkół średnich, na żądanie rodziców co najmniéj 25 uczniów, ma krajowa władza szkolna bezzwłocznie zarządzić zaprowadzenie drugiego języka krajowego jako wykładowego. Przy postępowaniu uczniów do wyższych klas, paralelna klasa z drugim językiem wykładowym, będzie postępowała razem z uczniami, przynajmniéj tak długo, póki liczba uczniów nie zajdzie poniżéj 20.

Tytuł II.

Wykonanie niniejszéj ustawy, polecam Mojemu Ministrowi Oświaty.“

Powyższy wniosek, sejm uchwałą powziętą 4 października 1884 r. przekazał do rozpatrzenia komisyi edukacyjnéj.

Wydział krajowy, aby przed nowym sejmem wystąpić z czemś pozytywném, pracował gorliwie cały rok. Zbierał skrupulatnie daty statystyczne, zasięgał opinii rad powiatowych, znosił się z radą szkolną, słowem czynił wszystko, aby Rusinów przekonać, że ich żądań nie bierze lekko. Po zestawieniu cyfr okazało się, że młodzieży narodowości ruskiéj, uczęszczającéj do szkół średnich, tj. gimnazyów, jest *stosunkowo bardzo mało.* Najwięcéj naliczono ich jeszcze w Przemyślu, i dla tego wydział krajowy postawił wniosek, *aby sejm założył w Przemyślu drugie gimnazyum z ruskim językiem wykładowym.* Orzeczenie wydziału opierało się na opinii samego namiestnika, który jako przewodniczący rady szkolnéj oświadczył, że w najlepszym razie tylko jeden Przemyśl mógłby mieć takie gimnazyum. Co do szkół ludowych, to tabela sumiennie zestawiona udowodniła, że w Galicyi jest takich szkół z wykładowym językiem *polskim 1212, z ruskim zaś 1376*, przeto Rusini mają o *164 szkół więcéj, niż Polacy, i dla tego o pokrzywdzeniu ich języka mowy być nie może.*

Wykaz szkół ludowych w Galicyi podług języka wykładowego.

POWIAT	Ilość szkół ludowych z językiem wykładow.					POWIAT	Ilość szkół ludowych z językiem wykładow.				
	polskim	ruskim	niemieckim	polsko-rusk.	polsko niem.	Razem		polskim	ruskim	niemieckim	polsko-rusk.	polsko-niem.	Razem
Biała	29	—	—	—	—	29	Gródek. . . .	6	19	—	—	—	25
Chrzanów. . .	44	—	—	—	—	44	Rudki	7	11	—	—	—	18
Żywiec. . . .	21	—	—	—	—	21	Brody	15	54	—	6	—	75
Wadowice. . .	31	—	—	-	—	31	Trembowla . .	17	16	—	6	—	39
Kraków . . .	47	—	—	—	—	47	Podhajce . . .	7	21	—	2	1	31
Wieliczka . . .	29	—	—	-	—	29	Stanisławów . .	7	26	—	1	—	34
Myślenice . . .	31	—	—	—	—	31	Czortków . . .	2	11	1	11	—	25
Limanowa . .	14	—	—	—	—	14	Kamionka . . .	8	53	8	4	—	73
Bochnia . . .	29	—	—	—	—	29	Sokal	11	63	—	3	—	77
Brzesko . . .	31	—	—	—	—	31	Brzeżany . . .	12	18	—	1	—	31
Dąbrowa . . .	16	—	—	-	—	16	Husiatyn . . .	10	29	—	3	—	42
Tarnów . . .	42	—	—	—	—	42	Drohobycz . .	6	37	1	3	—	47
Pilzno	22	—	—	—	—	22	Zbaraż	7	20	—	—	—	27
Mielec	32	—	—	—	—	32	Dobromil . . .	7	13	1	—	—	21
Tarnobrzeg . .	16	—	—	—	—	16	Kołomyja . . .	5	29	—	1	1	36
Nisko	15	—	—	—	—	15	Przemyślany . .	9	32	—	3	—	44
Kolbuszowa . .	22	—	—	—	—	22	Tłumacz . . .	4	22	—	4	—	30
Ropczyce . . .	29	—	—	—	—	29	Rawa	3	25	1	—	—	29
Rzeszów . . .	41	—	—	—	-	41	Borszczów . .	4	19	—	5	-	28
Łańcut	39	—	—	—	—	39	Bóbrka . . .	7	45	1	—	—	53
Jarosław . . .	42	26	—	—	—	68	Zaleszczyki . .	5	21	—	2	—	28
Nowy Targ . .	27	2	—	—	—	29	Rohatyn . . .	9	48	—	—	—	57
Nowy Sącz . .	27	14	—	—	-	41	Jaworów . . .	7	26	—	—	—	33
Grybów . . .	14	4	—	—	—	18	Żółkiew . . .	3	37	1	-	—	41
Gorlice. . . .	23	13	—	—	—	36	Dolina	4	29	1	—	—	34
Jasło	43	6	—	—	—	49	Lisko	4	1	—	—	—	5
Krosno. . . .	23	7	—	—	—	30	Żydaczów. . .	7	32	1	—	—	40
Brzozów . . .	38	4	-	—	—	42	Stryj	5	52	2	—	—	59
Sanok	19	12	—	—	-	31	Śniatyn . . .	3	24	—	1	—	28
Lwów zam. . .	37	51	1	—	—	89	Horodenka . .	3	23	—	5	—	31
Przemyśl . . .	11	32	—	—	—	43	Bohorodczany .	2	1	—	1	—	4
Cieszanów . .	14	23	—	—	—	37	Kossów . . .	3	14	—	1	—	18
Sambor . . .	14	33	2	—	—	49	Nadwórna. . .	3	23	—	1	—	27
Tarnopol . . .	18	44	—	2	—	64	Kałusz	3	38	1	—	—	42
Mościska . . .	18	29		—	—	47	Staremiasto . .	5	9	—	—	—	14
Buczacz . . .	11	24	—	3	—	38	Turka	1	20	—	—	—	21
Skałat	12	19	—	4	—	35							
Złoczów . . .	20	72	-	13	—	105	Razem .	1212	1376	22	86	2	2698

Sprawozdanie wydziału krajowego zostało do sejmu wniesione d. 17 listopada 1885 r., który je komisyi edukacyjnéj do rozpatrzenia przekazał. Komisya ze swéj strony wystąpiła na podstawie tego sprawozdania z trzema wnioskami, lecz że żaden z nich nie utrzymał się w izbie i całkiem inne wnioski zostały uchwalone, przeto w miejscu właściwém przytoczymy tylko to, co sejm zatwierdził, teraz zaś

przejdziemy wprost do rozpraw, jakie nad tym przedmiotem w izbie się toczyły. Ponieważ trwały one długo (kilkunastu posłów kolejno głos zabierało), przeto podniosę z nich te tylko szczegóły, które, zdaniem mojém, mając wartość zasadniczą, jako takie są ogólniejszego znaczenia. Wypada jeszcze dodać, że sprawozdawcą komisyi edukacyjnéj był członek prawicy, d-r Zoll, prof. uniw. Jagielońskiego, który jednak, gdy jego wnioski upadły, cofnął się, a na jego miejsce przyszedł potém jako sprawozdawca hr. Wojciech Dzieduszycki, jeden z przywódców centrum sejmowego.

Pierwszym mówcą był d-r Antoni Małecki. Ten rzekł między innemi: „Nie występuję przeciw duchowi, tkwiącemu tak we wniosku posła Romańczuka, jak we wnioskach komisyi edukacyjnéj. Przeciwnie, gorąco życzę sobie, aby stało się, czego pragną Rusini. Narodowość ruską, jako odrębną, uznaję, widzę że ta narodowość żyje, że się chce rozwijać, uwzględniam postępy tego życi i życzę Rusinom, by te postępy były coraz dalsze, słowem, żeby l li zadowoleni, żeby nie czuli w rozwoju i w tych usiłowaniach żadnych pęt, a tém bardziéj, jeżeliby temi pętami miała być narodowość nasza i stan rzeczy nas dotyczący. Toby było bardzo bolesne. Poseł Romańczuk żąda zakładania po gimnazyach klas ruskich paralelnych; komisya ze swéj strony oświadczyła się za założeniem osobnego gimnazyum ruskiego. Ja jestem przeciwny tak jednemu, jak drugiemu, ponieważ tak czy owak, będą zawsze zakładane *osobno szkoły dla młodzieży ruskiéj, a osobne dla polskiéj*, a to jest *to*, czego się obawiam i do czego żadną miarą nie mógłbym ręki przyłożyć. Choćby tym zamiarom nie sprzeciwiały się nawet względy finansowe, to i wtedy jeszcze zapytałbym: *Do czego w końcu na téj drodze dojdziemy?* Więc to ma być dobrze dla kraju, żeby mieszkańców téj ziemi już od najpierwszéj młodości rozgradzać i każdą połowę ludności w osobnéj pepinierze wychowywać? Jeżeli stanie się jedno lub drugie, wtedy dwa bratnie narody będą się coraz mniéj rozumiały, będą sobie coraz mniéj życzliwe i przyjdzie tu do tego, co widzimy w Czechach, gdzie nienawiść zwaśnionych plemion do ostatnich dochodzi granic. Młodzieży naszéj nie możemy rozdzielać, bo toby było dla niéj nieszczęściem, a dla kraju zgubą. Gdy jednak powinniśmy uwzględnić potrzebę ruskiéj narodowości, więc zachodzi teraz pytanie, jak to uczynić? Co do mnie, widzę tylko jednę drogę, na któréj, zdaje mi się, możemy rozwiązać to zagadnienie, ku zadowoleniu jednéj i drugiéj strony. Tą drogą powinno być dążenie do wprowadzenia *utrakwizmu* pod względem języka wykładowego, czyli żeby w tych obydwóch językach, jedna i ta sama młodzież, w jednéj izbie, na jednéj zasiadająca ławie, wspólnie pobierała naukę, a więc w ten sposób, żeby pewna

ilość przedmiotów była wykładana w języku ruskim, a druga część przedmiotów w języku polskim. (Oklaski z izbie). Trudności, jakieby wprowadzenie téj sprawy nastręczało, nie są tak wielkie, iżbyśmy ich nie mogli usunąć." — W dalszym ciągu swojéj gruntownéj mowy d-r Małecki dowodził, że to, czego on żąda, da się pogodzić z odnośnym paragrafem konstytucyi austryackiéj, a sformułowawszy swój wniosek, złożył go do rąk marszałka, prosząc, aby izba zechciała się nad nim zastanowić. Gdy skończył, bardzo wielu posłów pośpieszyło do niego, aby mu złożyć swoje gratulacye.

Z kolei zabrał głos ks. Jerzy Czartoryski, przewódca centrum sejmowego, osobistość znana oddawna ze swych sympatyi dla idei ugodowéj. Skrytykowawszy surowo wnioski, które uznał za niedostateczne, gdyż Rusinom powinno się dać więcéj, oświadczył z naciskiem, że pochwala myśl rzuconą przez d-ra Małeckiego i rzekł przy końcu długiéj mowy, która jednak miała charakter polemiczny, te słowa: „Ja chcę uwzględnić ruski język dla tego, że jestem Polakiem, ja myślę, że dla wspólnego mieszkańca, wspólnie zamieszkiwanego przez dwie narodowości kraju, obowiązkiem jest dla Polaka dbać o to, żeby ten język ruski rozwijał się, nie tylko dla tego, że to jest rzeczą sprawiedliwą, nie tylko dla tego, że to jest w interesie Rusinów, ale dla tego, że to jest także w naszym interesie, i jako wspólni synowie jednego kraju, mamy to uważać za swój obowiązek. Wymagając od Rusinów, żeby się nauczyli po polsku, w czém, sądzę, trudności wielkiéj niema, wymagam także i kładłbym na naszych synów obowiązek nauczenia się po rusku, gdyż uważam, że to leży w interesie równo polskim jak ruskim!"

Po księciu przemówił po rusku sam wnioskodawca, poseł Romańczuk. „Korab mojego wniosku, puszczony na morze téj wysokiéj izby—rzekł między innemi — nie dobił szczęśliwie do upragnionego brzegu. Musiał on niestety przebywać piaskowe ławy krajowéj rady szkolnéj, przeciwne mu prądy wydziałów powiatowych, ostre skały wydziału krajowego i nieprzyjazne wiatry komisyi szkolnéj. Po piętnasto-miesięcznéj żegludze dostał się do brzegu całkiem rozbity i zniszczony, tak, że z drobnych ostatków niktby nie poznał dawniejszéj jego budowy. A stało się to, chociaż dzienniki polskie w roku ubiegłym dość przychylnie wyrażały się o moim wniosku, nawet w téj Izbie dawały się wtedy słyszeć głosy, że nie żądamy za wiele. Tymczasem dziś nie chcą nam dać i tego. Czy panowie myślicie, że dwiema drobnemi rezolucyami można załatwić sprawę milionowego narodu? Ależ to rzecz jasna, że rezolucye przez komisyą wniesione, nie są niczém inném, tylko maskowaném odrzuceniem mego wniosku. Ależ, panowie! czy nie byłoby piękniéj i szlachet-

niéj powiedzieć otwarcie: „My ten wniosek odrzucamy“, niż używać po prostu takich wykrętów!“ (Głosy w izbie: „Do porządku!“). Poddawszy w dalszym ciągu swéj mowy, bardzo ostréj, a nawet zjadliwéj krytyce, całe sprawozdanie komisyi edukacyjnéj, wraz z wywodem wydziału krajowego, rzekł następnie: „Ja i moi towarzysze na takie załatwienie naszego wniosku pod żadnym warunkiem nie możemy się zgodzić. Nie możemy przystać, aby potrzeby narodu ruskiego w ziemi Halickiéj, liczącego półtrzecia miliona, miano zbyć takiemi dwiema rezolucyami, i z góry oświadczamy, że w głosowaniu nad niemi nie weźmiemy udziału. Wydział krajowy utrzymuje, że mój wniosek neguje wolę rodziców, którą on wysoko stawia, gdy idzie o nauczanie dzieci w tym lub owym języku. Zdaniem mojém to twierdzenie jest zanadto śmiałe. Weźmy np. miasto, Tarnopol. Tam jest blisko 6000 Rusinów, a szkoły są same polskie. Żaden ojciec, choćby jak chciał, nie może tam do ruskiéj szkoły dzieci posyłać, bo takiéj tam niema. I to ma znaczyć, że się szanuje wolę rodziców? Ależ panowie to nie wola, to chyba wolność taka, jaka bywała w dawnéj Polsce, kiedy to tylko szlachcic polski miał wolę, a Rusin i chłop musieli to robić, czego chciał szlachcic!“ Romańczuk wypowiedziawszy wszystko, co mu na sercu ciężyło, zakończył raz jeszcze oświadczeniem, że to, co komisya chce dać, jest dla Rusinów niczém, i dla tego w głosowaniu nie będą brali udziału.

Poseł Romanowicz pragnąc zgody rzetelnéj, a nie pozornéj, zapowiedział w pięknéj mowie, że będzie głosował za wnioskami daléj idącemi niż wnioski komisyi, poczém powstał p. Torosiewicz należący do frakcyi podolskiéj (prawica) i rzekł między innemi: „Ktoby nas słyszał, mógłby mniemać, że w Galicyi wschodniéj panuje niezgoda. Tymczasem tak nie jest. Między ludnością naszą nie ma żadnéj różnicy, a o odrębności narodowéj nigdzie nie słychać, język polski i ruski ludność uważa za jeden i ten sam, nawet woli w polskim języku pisać. W Galicyi mamy jeden naród, a tylko dwa obrządki. W kraju jest ledwie kilkaset rodzin sfanatyzowanych, lecz te niewiedzą same, czego chcą. Jeżeli im zaczniemy robić ustępstwa, zaszkodzimy sobie. Żądanie komisyi edukacyjnéj, abyśmy założyli nowe gimnazyum ruskie, sprawia mi największą przykrość, bo my takiego gimnazyum nie potrzebujemy. Paktowanie z partyą, która chciałaby się poczytywać za reprezentantkę Rusi, do niczego nie doprowadzi, gdyż ludzie, którzy do niéj należą, są wiarołomni, łakomi i zarażeni nihilizmem. Dla tego wnoszę przejście nad całą tą sprawą do porządku dziennego.“ — W tym samym duchu, tylko komiczniéj, przemawiał drugi podolak, hr. Antoni Golejewski. Ten rzekł między innemi, że Rusinom zachciewa się pierniczków, któ-

rych jednak Polacy nie powinni im dać.—Z mowy profesora Bobrzyńskiego, należącego do frakcyi krakowskiéj (prawica), przytaczam następujący ustęp charakterystyczny: „Zdaje mi się, że byłoby iluzyą, gdybyśmy przypuszczali, że jakikolwiek wniosek, chociażby najdaléj z naszéj strony idący, wszystkich Rusinów zadowoli i zaspokoi. Dla czego? Proszę przypatrzéć się tylko, jak ta sprawa jest traktowaną i jak były traktowane dawniéj sprawy podobne. W chwili, kiedy w społeczeństwie polskiém, kiedy w kole polskiém sejmowém, w łonie posłów polskich wieje wiatr przyjazny i coraz przyjaźniejszy dla sprawy ruskiéj, zdawałoby się, że posłowie ruscy wszyscy jednomyślnie skorzystają z tego usposobienia i umiarkowanym, wytrawnym rozbiorem rzeczy, będą się starali wyzyskać to przychylne usposobienie. Czyśmy zawsze, w ciągu téj i poprzedniéj dyskusyi tego rodzaju usposobienie spotykali, czy nie zalatywały do nas głosy, które nie wiedzieć jak zostały przyczepione do przebiegu toczącéj się obecnie sprawy? Czy dziś nie słyszeliśmy zdania, że wszyscy posłowie ruscy wstrzymają się od głosowania, jeźliby wnioski komisyi przyjść miały pod głosowanie? Lubią Rusini cytować przykład Poznańczyków. Zostańmy przy tym przykładzie. Czego się domagają posłowie polscy z Poznania? Domagają się uwzględnienia języka ojczystego we wszystkich szkołach, ilekroć jednak ze strony parlamentu pruskiego mają widol i osiągnięcia choćby minimalnych korzyści, jak np. prowadzenie drugiego protokółu w sprawach sądowych w języku polskim, jak wykład w tym języku nauki religii i polskiego języka, to żaden Polak nie wstrzymuje się od głosowania, bo uważa i to za zdobycz i za rzecz, która chociażby polskiemi głosami przejść mogła, niech przechodzi. Tymczasem Rusini, jeśliby powstała tu między nami drobna różnica głosów, i jeźliby oni mogli przeważyć na szali i coś uzyskać, chociażby nie to, czego żądają, to nie chcą z tego korzystać, chcą wszystko odrzucić i wstrzymają się od głosowania. O co im więc idzie? Nie chcę rzucać insynuacyi i nie chcę wchodzić w osobiste pobudki, lecz nie mogę wstrzymać się od tego, bym nie powiedział, że pewnéj części inteligencyi ruskiéj idzie jedynie o to, aby każdy wniosek polski na ich korzyść postawiony, przepadł. W tém widzą oni największe swe zwycięstwo, jeźli będą mogli wykazać, że żaden z wniosków nie przeszedł, jeżeli będą mieli sposobność uchwycić broń do agitacyi, na któréj najwięcéj zależy. Więc nie o zgodę, nie o koncesye, nie o zadowolenie wszystkich Rusinów tu chodzi“. — W dalszym ciągu swéj mowy prof. Bobrzyński popierał wnioski komisyi.

Całkiem w duchu Romańczuka, przemawiał po rusku ks. Kaczała, jeden z luminarzów obozu rusińskiego, ale że mówił bardzo

cicho, gdyż wiek sędziwy osłabił jego organ, więc też prawie nikt go nie słyszał a publiczność dopiero ze stenograficznych sprawozdań dowiedziała się, czego właściwie życzył sobie ten poseł. Wyszedł on z tego samego założenia co Romańczuk, tj. domagał się, żeby Polacy natychmiast Rusinom wszystko dali, i doszedł do tego samego co tamten wyniku, mianowicie do oświadczenia, że Rusini wolą nic nie brać, niż przyjąć tę drobnostkę, którą im Polacy ofiarowują.

Hr. Wojciech Dzieduszycki przemawiał bardzo gorąco za utrakwistycznym wnioskiem Małeckiego, i dziwił się, czemu Bobrzyński nazwawszy go platonicznym, wynurzył obawę, że ponieważ zmienia on w pewnym punkcie konstytucyą państwową, więc sejm nie będzie go mógł w życie wprowadzić. Sejm powinien to wszystko uczynić, co nas może z Rusinami pojednać—rzekł Dzieduszycki—a gdy wniosek Małeckiego znajdzie się na radzie ministrów, wtedy może jeszcze ktoś więcéj głos swój rzuci za nim na szalę (sam cesarz) i wtedy to, co dziś panu Bobrzyńskiemu wydaje się niemożliwém do osiągnięcia, stanie się faktem spełnionym.—Hr. Stanisław Tarnowski, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego i znany prelegent, mówił w tym samym duchu co jego kolega Bobrzyński, a broniąc wniosków komisyi, polemizował z tymi, jak Czartoryski i Romanowicz, którzy żądają więcéj dla Rusinów, niż komisya ofiarowuje. Mowa jego była gładka, wdzięczna, wydziergana jak koronka brabancka i jako taka musiała się podobać.

Poseł Euzebiusz Czerkawski, niegdyś inspektor szkół średnich, a dziś profesor uniwersytetu lwowskiego, pierwsza u nas powaga w sprawach wychowania publicznego, oświadczywszy, że to, co komisya edukacyjna proponuje, nie jest dostateczne, postawił ze swéj strony nowy wniosek, który należycie poparty, został komisyi szkolnéj do rozpatrzenia oddany.

Po nim zabrał głos nowo mianowany biskup stanisławowski, ks. Pełesz i po rusku wygłosił mowę, która tak w Izbie, jak w kraju formalną zrobiła furorę. Ponieważ była to mowa programowa, (wszystko, co w niéj się mieści, należy uważać za wyznanie wiary politycznéj całego episkopatu ruskiego w Galicyi, rząd bowiem, po usunięciu dawniejszego metropolity, ks. Józefa Sembratowicza, dobrał sobie biskupów ruskich po swojéj myśli) więc zdaje mi się, że dla jéj ważności, powinienem ją tu prawie w całéj osnowie przytoczyć. Biskup przemówił w te słowa: „Moi panowie! Nie zamierzałem w tym roku, a tém mniéj dziś, zabierać głosu w téj Izbie wysokiéj, a to z rozlicznych przyczyn. Najpierw jeszcze krótko w Izbie zasiadam, za mało jestem obznajomiony z formami parlamentarnemi, a zresztą nie czuję w sobie sił i zdolności, do wygłoszenia, jakby to na pierw-

szy raz wypadało, pięknéj mówki. Więc też i nie wymagajcie panowie tego odemnie. Zresztą na głowie mam dziś inne rzeczy, bo jak wiadomo, w tym tygodniu wybieram się na objęcie mojéj dyecezyi. Największą zaś przykrość sprawia mi to, że pierwszy mój występ musi być polemiczny, i to stanowczo polemiczny, przeciw tym, których z innych względów szanuję i z którymi chciałbym zawsze iść, aby ich zamiary popierać. Jednakowoż rozprawy w téj wysokiéj Izbie były tego rodzaju, że wszelkie takie względy muszą upaść, a ja czuję się znaglonym zabrać głos jako syn tego kraju, jako Rusin, jako katolicki biskup, w imieniu własném i swego episkopatu. Moi panowie! Rozprawy toczą się nad wnioskiem posła Romańczuka, który w ustawie szkolnéj chciałby zmienić pewne paragrafy, czy też artykuły. Chociaż nie będę mówił wprost o tym przedmiocie, sądzę jednak, że mi pan marszałek głosu nie odbierze, bo tak w mojém, jak w mego episkopatu imieniu chcę złożyć oświadczenie, które zostaje w związku z tém, co się mówi w téj wysokiéj Izbie.

Przykro mi, że tak piękny przebieg rozpraw, gdyż przebijają się tu ze wszystkich stron dobra wola i życzliwość ludzi rozumnych dla sprawiedliwego i przychylnego Rusinom załatwienia téj sprawy, stwierdzam bowiem, że na mnie takie to zrobiło wrażenie, otóż przykro mi, że ta harmonia została zakłóconą mowami niektórych posłów. Mam tu na myśli przedewszystkiém mowę szanownego posła Kaczały. Przykro mi, jeszcze raz to powtarzam, że właśnie z tym mężem muszę w pierwszym rzędzie polemizować, a przykro mi tém bardziéj, że już podobną sprawę miałem z nim przed laty do załatwienia, wprawdzie nie w Izbie sejmowéj, lecz jako literat z literatem. Wtedy już oświadczyłem szanownemu posłowi, że nie mięszam się do jego poglądów politycznych i narodowych, jeżeli je traktuje ze stanowiska historycznego. Ale już wtedy zaznaczyłem, że na polu religijném, a zwłaszcza na polu dogmatyczném nie znam żadnych układów. (Brawo). Tu jest pewność, od któréj wówczas jako ksiądz, dziś zaś jako biskup, ani chcę, ani mogę, ani śmiem odstąpić. (Brawo). Otóż moi panowie, ksiądz Kaczała powiedział tu między innemi, że po unii lubelskiéj i po innych sprawach historycznych została Rusi narzucona unia kościelna. Moi panowie! czy szanowny poseł chce się tém przysłużyć sprawie, któréj służy, i jak wiem, szczerze służy? Nie chcę tu rozbierać, bo nie mam czasu, ani tu miejsce potemu, jak właściwie Unia przyszła do skutku. Zaznaczam tylko, o czém zresztą wszyscy wiedzą, że stan cerkwi ruskiéj, w pierwszych wiekach swego istnienia, aż do końca w. XII, pięknym był w całém znaczeniu tego wyrazu, a wtedy cerkiew nasza była katolicką. Gdy to się zmieniło, tak nad cerkwią, jak nad naszą ojczyzną, zaciężył palec Boży.

Wspomnienie to przykre dla każdego Rusina. Wiadomo, że w XVI wieku przysliśmy do tego, że nie było na Rusi ani jednego człowieka, ani jednego męża, któryby nie opłakiwał biedy i strasznego upadku cerkwi ruskiéj i tém samém ruskiéj narodowości. Nie powołuję się w tym przedmiocie na katolików, na Polaków, bo to świadectwo możeby się wydało podejrzaném, ja powołuję się na takich mężów, jak Konstantyn Ostrogski, jak Bractwo lwowskie, późniéjsze stauropigijańskie. Przypominam starania, jakich dokładał kniaź Ostrogski w pierwszych latach, kiedy ta myśl zaczęła kiełkować, aby unię cerkwi ruskiéj z Rzymem do skutku doprowadzić. Przypominam te smutne, powiem więcéj, płaczliwe słowa, z któremi Bractwo lwowskie zwróciło się w r. 1583 do ówczesnego metropolity Dywoczki: „My się błąkamy jak biedne owce, które pasterz opuścił!“ Było więc nieszczęście, a nie było pomocy. Bo i gdzież miał się Rusin zwrócić? Do Konstantynopola? To zdawało się być rzeczą naturalną, tymczasem tam panowały jeszcze gorsze stosunki. Do metropolity? Ale cóż mógł zdziałać taki Onesifor i inni onych czasów metropolici? Więc cóż miał Rusin robić? Była to zatém myśl szczęśliwa, że ludzie rozumni i zacni, tak narodowi jak cerkwi życzliwi, zrozumieli, że ratunek i zbawienie tylko tam się znajdują, gdzie kiedyś były, to téż wrócili do téj wiary, która ich z pogaństwa nawróciła. Każdy bezstronny musi przyznać, że było to wielkie dla nas szczęście, iż pod koniec XVI wieku, Unia nie została narzucona, ale odnowiona. Dla tego téż nie zapuszczając się głębiéj w te rzeczy powiem, że nie narzucili nam Unii ani Jezuici, ani Rzym, ani król polski Zygmunt III, ani szlachta, lecz że Unia wyrobiła się sama, na podstawie wewnętrznéj i rdzennéj ruskiego narodu. (Brawo). Twierdzenie ks. Kaczały, muszę odrzucić nie tylko jako biskup katolicki, lecz także jako Rusin (Brawo) i podnoszę tu przeciw niemu najsolenniejszy protest! Przykro mi, raz jeszcze to zaznaczam, że przeciw ojcu Kaczale musiałem wystąpić tak kategorycznie i z taką stanowczością. Niech jednak nie sądzi, jakobym w innych względach z nim się nie zgadzał. Nie. Wiem ja, że tak on, jak całe jego otoczenie pragnie dobra narodu; to też może być pewien, że działać będę *na gruncie cerkwi katolickiéj, na gruncie piśmiennictwa maloruskiego i na gruncie austryackim.* (Brawo). A teraz, moi panowie! czas zwrócić się ku innéj stronie téj wysokiéj Izby. I tu usłyszałem słowa, których nie mogę milczeniem pominąć. Mam na myśli przemówienie szanownego posła Torosiewicza. Powiedział on między innemi, że garść nihilistów robi niepokój w kraju. Mnie się zdaje, że on wywołuje widmo, którego nie ma. Bo i o cóż tu się rozchodzi? O wniosek Romańczuka. Ten wniosek, jak wiadomo, chce załagodzić sprawę szkolnego języka. Otóż nic

innego tylko ten wniosek wywołał taki niepokój w kraju. Kto go jednak podpisał? Rozumie się, że najpierw sam poseł Romańczuk, po nim Metropolita Sembratowicz, i biskup przemyski, Stupnicki. Czy o tych można powiedzieć, że są nihilistami. (Torosiewicz woła. Tego nie myślałem!). Nie podsuwam tego posłowi Torosiewiczowi, ale zdaje mi się, że taką konsekwencyą możnaby z jego słów wysnuć. Przechodzę teraz do drugiego posła, do hr. Golejewskiego. Ten nam zarzucił, że gdzie indziej ciągniemy. Panowie, mnie się zdaje, że pan hrabia powiedział za wiele, i dziwię się, czemu za ten zarzut nie otrzymał on od prezydyum należytéj odprawy. Czy na całym świecie, czy między Francuzami, Niemcami, Włochami i Polakami nie ma odstępców, porzucających wiarę rzymską dla kościoła protestanckiego? A czyż zato można ich wszystkich nazwać odstępcami? Zarzut uczyniony nam przez pana hrabiego odpieram z największem oburzeniem, i protestuję przeciw niemu tak w imieniu episkopatu, jak kleru ruskiego! (Brawo!). Hr. Golejewski wspomina tu także coś o sprawie obrządkowéj. Rzecz prosta, że o tém mówić nie będę, ale dałbym mu dobrą radę, aby tę sprawę zostawił ludziom, do których ona należy. (Brawo). Mamy na to metropolitę i episkopat, potém zostanie ta sprawa Rzymowi przedłożona, a gdy to nastąpi, usłyszymy: *Roma locuta*, *causa finita*! Mięszać się jednak do spraw cerkiewnych tym, którzy się na tém nie rozumieją, rzecz to niedobra i niewłaściwa. Tak samo, i ja w téj wysokiéj Izbie nie mięszam się do rzeczy, które do mnie nie należą, i na których się nie rozumiem. (Brawo). Chcę jeszcze na jedno zwrócić uwagę wysokiéj Izby. Tak pan Torosiewicz, jak hr. Golejewski, zajęli wobec żądań ruskich stanowisko wręcz negacyjne. Powiem otwarcie: jestem pewien, że taka polityka Rusinom nie zaszkodzi, przeciwnie jeszcze im pomoże, bo z takiém zapatrywaniem krańcowém nie będzie się nikt liczył. Polityka negacyjna Rusinom nie szkodzi, ale szkodzi ona Rusinom i Polakom razem (Brawo) i wszystkim synom tego kraju. (Głosy: Tak jest!). *Extrema se tangunt*, one wywołują ostateczności z drugiéj strony, i z tego powstaje niepokój, niezgoda i podejrzenia na każdym kroku, między obywatelami téj saméj ziemi, między dziećmi tego samego kościoła. Szkodzi nam ona jeszcze i pod tym względem, że ludzie złéj woli, a gdzież tych nie ma, przedstawiają światu, jakobyśmy się chcieli nawzajem pożrzeć, i dla tego ostrzegam was panowie przed grożącém nam ztąd niebezpieczeństwem. Macie rozstrzygnąć rzecz wielkiéj wagi. Jak z początku zaznaczyłem, tak i teraz powtarzam, że w tę rzecz nie będę bliżéj wchodził. Postępujcie według bożéj woli i według waszego najgłębszego przeświadczenia, uczyńcie, co uznacie za dobre dla obu narodowości i kraju, lecz przy tém

pamiętajcie na zasadę: *Concordia parvae res crescunt, discordia maximae dilabuntur*! (Huczne brawa i oklaski, posłowie gratulują mowy. Prof. Stanisław hr. Tarnowski zbliża się do biskupa Pełesza i ostentacyjnie w rękę go całuje).

Członek wydziału krajowego, p. Oktaw Pietruski miał długą i dobrze ułożoną mowę, w której starał się udowodnić, lecz stokroć lepiéj niż pp. Torosiewicz i Golejewski, że Rusinom nie należy robić żadnych dalszych ustępstw, ponieważ oni na nie nie zasługują. Najbardziéj przeraził go utrakwistyczny wniosek Małeckiego, gdyż lęka się, aby po wprowadzeniu go w życie, wykształcenie naszéj młodzieży przez to nie ucierpiało. Po mowie Pietruskiego, aby skończyć długą dyskusyą, wybrano mówców generalnych: Ks. Adama Sapiehę i Tomisława Rozwadowskiego. Pierwszy miał mówić za wnioskami komisyi, drugi przeciw nim. Ponieważ w mowie Rozwadowskiego nie znajduje się nic szczególnego przeto ją pomijam, a streszczam jedynie to, co usłyszała Izba z ust ks. Adama Sapiehy. Rzekł on między innemi: Sprawa ruska wymaga głębokiego zastanowienia. Jest to kwestya żywotna, stanowiąca o naszéj przyszłości! (Brawo). Zaznaczam z góry że panował tu chaos, wśród którego nie można się zoryentować. Podczas dyskusyi saméj zjawiły się nowe wnioski. Nim daléj pójdziemy, musimy wpierw nad niemi się zastanowić. Przykro mi, że w poglądach na sprawę ruską, nie postąpiliśmy ani o krok naprzód, i gdybyśmy odczytali sprawozdania sejmowe z przed dwudziestu laty, przekonalibyście się panowie, że to cośmy teraz słyszeli, było już dawniéj wypowiedziane, i do tego lepiéj. Wiem, że u tych wszystkich mówców, którzy tak dawniéj, jak dziś stanęli na tém stanowisku, że Ruś to „coś“ a najdaléj idąc, że Ruś to lud, którym ostatecznie każdy rząd może kierować,—wiem, jak powiadam, że u tych wszystkich mówców, uczucia te i przekonania, należą do kategoryi pewnych głębszych, powiedziałbym, świętych uczuć patryotycznych. Wspomnienia przeszłości grają tu rolę główną, i mówcom tym zdaje się, że byłoby to zrzeczeniem się przeszłości, chcieć innym na téj ziemi przyznać prawa, którym okoliczności może tylko jednym dawniéj w rękę włożyły. Jeżli jednak mamy być politykami, nie wolno nam zapatrywać się na tę sprawę z tego punktu widzenia. Co do mnie, powiem szanownemu posłowi Romańczukowi, że ja nie z jego stanowiska patrzę na sprawę ruską, nawet nie ze stanowiska przez niego zajmowanego o Rusi sądzę, bo dla mnie Ruś, to nie tych kilku posłów w téj Izbie, ani tych kilka milionów w tym kraju, dla mnie Ruś daléj sięga. Ja na tę Ruś patrzę z dalszego stanowiska i twierdzę, że ona leży w moim interesie, jako Polaka, że leży w interesie kościoła, do którego i ja należę, że leży w interesie cywilizacyi, któréj ja hoł-

duję, wreszcie że ta Ruś leży w interesie téj monarchii, do któréj dziś należę (Brawo). Gdy do rady powiatowéj przemyskiéj, któréj jestem prezesem, przyszło zapytanie, czy gimnazyum ruskie w Przemyślu byłoby pożądane, wtedy czcigodny i zacny Rusin, profesor Jan Lewicki, udowodnił nam, po pierwsze, że ruskie gimnazyum jest niepotrzebne w Przemyślu, powtóre, że byłoby niepotrzebnym wydatkiem, po trzecie stanął na tym samym punkcie, na którym i ja stoję: *dajcie nam paralelki, gdzie ich potrzeba, ale nie oddalajcie nas od siebie, bo to niepraktyczne, bo to nie prowadzi do niczego.* Takie zapatrywanie wynurzył nie Polak, lecz Rusin prawdziwy, z którym trzeba się liczyć. Wniosek d-ra Małeckiego jest tego rodzaju, że uważałbym za sumę szczęścia, gdyby myśli i zasady w nim zawarte dały się przeprowadzić. Tak długo nie uwierzę w pomyślność ani moralną, ani materyalną tego kraju, póki Rusin po polsku, a Polak po rusku mówić nie będą. (Brawo!). Polak i Rusin, to nie Czech i Niemiec! My nie jesteśmy sobie wrogami, ale braćmi, wychowani na jednym chlebie, i musimy wierzyć, tego się trzymać i na to się zgodzić, że sprawa ruska odnosi się tak dobrze do Polaka, jak do Rusina. Przy téj sposobności konstatuję i twierdzę, że mowa księcia kościoła, ks. biskupa Pełesza jest fundamentem do dalszéj akcyi, jest programem, na podstawie którego my względem Rusinów, a Rusini względem nas postępować będą. Co do wniosków samych wnoszę, aby wszystkie razem, t. j. tak wnioski komisyi jako też projekty posłów Małeckiego i Czerkawskiego, były nazad do komisyi odesłane, z tém poleceniem, iżby komisya szkolna ze sprawozdaniem swojém co do nich, jeszcze téj sesyi do sejmu wróciła. (Huczne brawa).

Wskutek poparcia centrum, wniosek ks. Sapiehy utrzymał się i wszystkie projekty oddano komisyi.

Dnia 19 stycznia 1886 roku nowe wnioski komisyi edukacyjnéj przyszły znów pod obrady sejmu. Po całodniowych rozprawach, w których jednak nie usłyszeliśmy nic nowego, sejm większością 65 głosów przeciw 58 (prawica) powziął następujące uchwały:

I Ustawę téj treści: „W ustawie krajowéj z d. 22 czerwca 1867 r. ma być umieszczone *jako nowe* pod art. II postanowienie następujące:

Art. II. Jeżeli w jakiéj miejscowości o mięszanéj ludności, używającéj w części polskiego, a w części ruskiego języka jako towarzyskiego, ludność, któréj język nie jest wykładowym językiem w żadnéj z miejscowych szkół ludowych, stanowi co najmniéj czwartą część ogólu jéj mieszkańców, w miejscowościach zaś z ludnością wyżéj 12,000 dusz, sięga do 3,000 dusz, a znajduje się tam dwie lub więcéj szkół ludowych dla dzieci jednéj płci, to przynajmniéj w jednéj szkole, a w razie jeśli istniejąca jedna tylko szkoła posiada klasy o współrzędnych oddziałach, to w nowoutworzonych tego rodzaju oddziałach językiem wykładowym winien być język téj drugiéj części ludności, o ile z dochodzenia, w myśl art. 4, 10 i 11 ustawy krajowéj z d. 2 maja 1873 r. o zakładaniu szkół

ludowych przedsięwziętego i w skutku zapisów do szkoły się okaże, że w gminie przebywa dostateczna ilość rodziców, którzy pragną swe dzieci, w wieku obowiązanym do szkoły będące, posyłać do takiéj szkoły, lub takich oddziałów."

Znaczniejszą większością uchwalono:

II Ustawę téj treści: „Art. V. lit. c) ustawy krajowéj z dnia 22 czerwca 1867 r. przestaje obowiązywać i ma odtąd opiewać jak następuje: Art. V. c) W szkołach średnich lub w ich oddziałach z językiem wykładowym ruskim, nauka języka polskiego, a w szkołach średnich lub ich oddziałach z językiem wykładowym polskim, nauka języka ruskiego jest względnym obowiązkiem w tém znaczeniu, iż na wyraźne żądanie rodziców uwolnić należy każdego ucznia od pobierania nauki drugiego języka krajowego nie będącego dla niego językiem wykładowym."

Jednogłośnie zaś uchwalono rezolucyę:

„Poleca się wydziałowi krajowemu, aby rozważył w porozumieniu z Radą szkolną krajową, o ile by można w myśl wniosku podanego przez posła Małeckiego na dniu 2-go stycznia 1886 r. stopniowo zaprowadzać w niektórych szkołach średnich wschodniéj części kraju naszego, wykłady niektórych przedmiotów wyłącznie w języku ruskim, *dla wszystkich uczniów zarówno obowiązujące*, aby poczynił odpowiednie w téj mierze wnioski na najbliższéj sesyi sejmowéj."

Tak się skończyła pamiętna rozprawa nad wnioskiem posła Romańczuka.

IV.

Podałem ledwie w ogólnych zarysach dyskusyą, którą długo i nie bez namiętności tak z jednéj, jak z drugiéj strony, toczyli w sejmie galicyjskim przedstawiciele dwóch narodowości: polskiéj i ruskiéj. Chociaż dla braku miejsca nie mogłem przytoczyć wszystkich mów i projektów, sądzę jednak, że uważny czytelnik, wmyśliwszy się w treść uchwalonych wniosków, zrozumie, jaką zasadą kierowali się tu Polacy. Z początku chcieli oni zakładać dla Rusinów osobne gimnazyum w Przemyślu, lub w jakiéj innéj miejscowości we wschodniéj Galicyi, ale po mowach Małeckiego i Sapiehy zwyciężyła zasada, że nie należy *oddzielać młodzieży polskiéj od ruskiéj*, *przez zakładanie odrębnych dla niéj szkół*. We wszystkich mowach i wnioskach polska większość sejmowa pragnie, ażeby w sercach i umysłach młodzieży, od lat najwcześniejszych było wszczepiane i pielęgnowane uczucie łączności, wspólności, wzajemności i równości braterskiéj pomiędzy Polakami i Rusinami, przez obopólną i równomierną naukę obu języków w szkołach ludowych i średnich. Przeciwnie Rusini domagali się ciągle przez usta Romańczuka i Kaczały *szkół odrębnych*, i w tém leży główna różnica między ich żądaniem a tém, co im Polacy ofiarowali.

Utrzymano także nienaruszoną zasadę, że kto szkołę utrzymuje, ten postanawia o jéj języku wykładowym. Fundusz zaś krajowy,

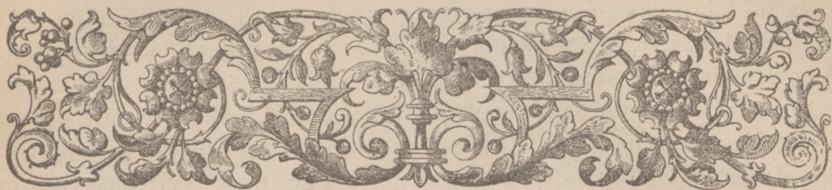
o ile miałaby być z niego czerpana pomoc na koszta utrzymania pewnéj szkoły, ma poniekąd służyć za regulatora w stosunkach narodowościowych, a to w ten sposób, że gdy fundusz krajowy będzie udzielał pieniężnéj pomocy, wtedy nawet owi rodzice, którzy w gminie do mniejszości należą, będą mieli zapewnioną możność (w zakresie szkół elementarnych) otrzymania dla dzieci swoich szkół z takim językiem wykładowym, jakiego sobie życzą. Na mocy ustawy krajowéj z r. 1867, muszą u nas w szkołach początkowych uczyć się dzieci obu języków obowiązkowo: w szkołach polskich ruskiego, a ruskich polskiego. Przychodzą więc do szkół średnich uczniowie obu narodowości należycie przysposobieni do nauki w obu językach. W szkołach zaś średnich ma panować wspólność obu języków. Jeszcze w jednym punkcie różnili się zasadniczo Polacy od Rusinów. Podczas gdy Rusini nie chcieli nic wiedzieć o woli rodziców przy rozstrzyganiu, w jakim języku mają ich dzieci naukę pobierać, przeciwnie Polacy postawili tę rzecz jako niewzruszoną zasadę, od któréj ani na cal nie chcieli odstąpić.

Ktokolwiek odczyta najpierw wniosek Romańczuka, następnie zaś to, co sejm uchwalił, ten musi przyznać, że Rusini nie otrzymali ani połowy tego, czego żądali. Równocześnie jednak nie można zataić, że bądź-co-bądź Polacy weszli na drogę ustępstw, a sam fakt, że utrakwistyczny wniosek Małeckiego jednogłośnie poruczyli do rozpatrzenia wydziałowi krajowemu—jest zapowiedzią dalszych koncesyi na tém polu. Myśl rzucona przez Małeckiego zyskuje z każdym dniem nowych zwolenników, wszyscy bowiem czują, że tylko na téj drodze możemy dojsć do zamierzonego celu.

Co do Rusinów, ci nie chcą się z nami łączyć, lecz pragną się od nas całkiem oddzielić. Czy ich przejedna wniosek Małeckiego, przyszłość to okaże. Boję się jednak, że i ten ich nie zadowoli, a dla czego, o tém pomówię wkrótce na tém miejscu w oddzielnym artykule, który postanowiłem poświęcić sprawie ruskiéj.

Józef Rogosz.





KILKA SŁÓW
O TURECKIÉJ POLITYCE STEFANA BATOREGO.

Documente privitóre la istoria Românilor culese de Eudoxiu de Hurmuzaki. Publicate sub auspicile Ministeriului Cultelor si al Instriuctiunei Publice. Volumul III. 1576—1599. Bucuresci 1880.

Kiedy przed dwoma laty p. Aleksander Kraushar wydał obszerną monografią o Olbrachcie Łaskim, obudziła praca ta w kołach historyków polskich żywe zajęcie. Prof. Zakrzewski ogłosił natychmiast gruntownie opracowany artykuł o Łaskich i recenzyą pracy Kr. w „Przewodniku nauk. lwowskim“, a „Przegląd polski“ umieścił rozprawę naszą na tle książki p. K. osnutą. We wszystkich tych pracach oddawano wprawdzie autorowi należne pochwały, ale zarazem zarzucano po części niezupełną znajomość źródeł i zanadto może lekkie traktowanie przedmiotu. Jeżeli zarzuty te pod pewnym względem rzeczywiście były usprawiedliwione, to na obronę p. K. słusznie powiedzieć można, że zadanie jego w obec ogromu źródeł rękopiśmiennych i drukowanych nie było łatwe. Dokładne studya po archiwach, rozrzuconych na całym obszarze ziem dawnéj Rzpltéj polskiéj są przedsięwzięciem przechodzącém niemal siły jednostki, a i z drukowanych prac niejedna ujdzie uwagi skrzętnego nawet zbieracza. Na dowód tego niech posłuży ta okoliczność, że w chwili gdy oba z prof. Zakrzewskim pisaliśmy nasze sprawozdania o pracy p. K., istniała już książka, zawierająca w sobie ciekawe a nieznane szczegóły do życia Olbrachta Łaskiego i mimo to pozostała dla nas nieznaną.

Przyznając się otwarcie dziś, po kilku latach do tego uchybienia, na obronę naszę powiedzieć musimy, że publikacya, o któréj mowa, ukazała się w odległym zakątku Europy, wśród narodu, który dotąd historyą mało się zajmował, w życiu umysłowém żadnego pra-

wie nie brał udziału a publikacye swoje rzadko i to dopiero w lat kilka po ich ogłoszeniu do instytucyi naukowych zagranicznych rozsyłał. Jakoż w r. 1882 książki owéj w bibliotekach krakowskich i lwowskich, o ile wiemy, nie było. Dziś, gdy od dłuższego już czasu mamy ją przed sobą i gdyśmy się przekonali, że może ona oddać niemałe usługi tym, którzy historyą zewnętrzną Polski się zajmują, nie od rzeczy będzie zapewne zwrócić uwagę uczonych naszych na treść zajmującéj téj publikacyi. Jestto wydawnictwo podjęte za staraniem rumuńskiego ministerstwa wyznań i oświecenia a noszące tytuł, ktoryśmy na czele niniejszéj rozprawki wypisali. Powstało ono ze zbiorów barona Eudoxiu Hormuzaki, znanego autora kilku rozpraw o historyi rumuńskiéj (1), a jakkolwiek wydawca p. Ivan Slavici (2), zadanie swoje spełnił dość pobieżnie, tak że praca jego pod względem umiejętnym, nie odpowiada wymaganiom nowszéj krytyki historycznéj, to dla nas zawiera ona mimo tego bardzo wiele cennych materyałów, rzucających światło na stosunki rządu polskiego tak z Portą ottomańską jak i z hospodarami mołdo-wołoskimi. Posłuchajmy co mówią dokumenta te o tureckiéj polityce Stefana Batorego i o Olbrachcie Łaskim.

I.

W drugiéj połowie XVI w. nie było wypadku, któryby w równym stopniu zainteresował dyplomacyą europejską jak elekcya polska po śmierci ostatniego potomka rodziny Jagiellońskiéj. Nie chodziło tu bowiem tylko o pozyskanie potężnéj na owe czasy korony dla tego lub owego kandydata, lecz o zupełny przewrót w stosunkach politycznych Europy środkowéj i wschodniéj. Od czasu jak równowaga europejska zachwiała się w skutek zdobycia Konstantynopola przez Turków, wszystkie usiłowania dyplomacyi chrześciańskiéj zwróciły się przeciw temu nowemu nieprzyjacielowi, którego straszna potęga groziła zagładą i wierze chrześciańskiéj i cywilizacyi zachodniéj, i co więcéj może u obojętnych polityków znaczyło, niezawisłości państw w samém sercu Europy położonych. Kwestya wschodnia przeto, która od połowy XIV w. jak widmo złowrogie stała u wrót środkowéj Europy, jest odtąd osią, około któréj obracają się wszystkie zabiegi i kombinacye statystów chrześciańskich.

---

(1) Fragmente zur Geschichte der Rumänen. Bucuresti Soc. et Comp. 1878.

(2) Autor książki: Die Rumänen in Ungarn, Siebenbürgen und der Bukowina. Wien und Teschen 1881.

W pierwszym rzędzie występują do walki z nowym nieprzyjacielem papieże i legaci stolicy apostolskiéj, pełni obawy o losy kościoła i społeczeństwa katolickiego; oni téż najszczerzéj i najwytrwaléj pracują nad ligą państw chrześciańskich przeciw półksiężycowi, a owocem tych niezmordowanych zabiegów są bezustanne prawie zapasy mocarstw chrześciańskich z bisurmanami, mniéj lub więcéj szczęśliwe, ale powstrzymujące zawsze nawałę niewiernych wtedy, gdy ona cywilizacyi zachodniéj najbardziéj zagrażać się zdaje. Obok tych duchownych bojowników, walczących słowem i pieniędzmi, gdzie tego potrzeba, stoją przedewszystkiem mocarstwa katolickie, u których interes polityczny łączy się ściśle z potrzebami wiary i cywilizacyi, a więc: Niemcy z Węgrami i Koroną czeską, Hiszpania i Polska.

Wszystkie te państwa, niepokojone przez Turków i Tatarów, widząc byt swój polityczny zagrożony od wschodu, musiały dążyć do odparcia potęgi tureckiéj daleko snadniéj niż inne narody, odgrodzone od sąsiedztwa bisurmańskiego obcemi posiadłościami a często i stosunkami zbliżone do widoków politycznych Porty otomańskiéj. Spostrzegła to rychło dyplomacya rzymska i dlatego uwagę swoję zwróciła głównie na Wiedeń, Madryt i Warszawę, upatrując w współdziałaniu zgodném pomienionych mocarstw niewątpliwe zwycięstwo krzyża i upokorzenie półksiężyca. Usiłowania te, dzięki szczęśliwym bardzo konstelacyom politycznym, nie były bezskuteczne. Niemcy i Hiszpania, połączone pod berłem Habsburgów, stworzyły nadspodziewanie potęgę, równoważącą siły padyszacha, a gdy Węgry i Czechy uznały królem swoim Ferdynanda a młody Zygmunt August pojął w małżeństwo austryacką księżniczkę, zdawało się, że sojusz mocarstw katolickich na długo jest ugruntowany. Nadzieje te nie spełniły się wprawdzie, ale chociaż reformacya rzuciła zarzewie niezgody w łono chrześciaństwa, chociaż śmierć Karola V zerwała węzeł łączący imperyum zachodnie z „katolickiem" królestwem, to zabiegom stolicy aplskiéj udało się mimo tych niepowodzeń chwilowych odnowić dawne związki i dokazać tyle, że skonfederowane floty chrześciańskie zniosły ze szczętem pod Lepanto olbrzymią armadę turecką. W rok po tym świetnym tryumfie umarł w Knyszynie ostatni potomek jagiellońskiego szczepu a osierocony tron polski stał się przedmiotem najrozmaitszych zabiegów i intryg. Kandydatów nie brakło; było ich raczéj za wiele niż za mało, ale pomiędzy wszystkimi dwóch tylko mogło liczyć na powodzenie: arcyksiąże Ernest, syn cesarza Maksymiliana II i Henryk ks. andegaweński. Obaj byli wprawdzie katolicy, obaj, nie tyle sami przez się co przez przodków swoich zasłużeni kościołowi, lecz obaj nie w równéj mierze posiadali

sympatye stolicy apostolskiéj. Grzegorz XIII, oceniając trafnie położenie polityczne, wiedział, że wybór habsburskiego księcia na tron polski pociągnie za sobą niechybnie wojnę pomiędzy Polską a Turcyą, która jawnie kandydaturze arcyksięcia się sprzeciwiała. Wiedział, że w razie takiéj wojny Habsburgowie hiszpańscy i austryaccy krewniaka swego nie opuszczą i że w ten sposób rozpali się gwałtowny pożar wojenny, który łatwo zupełném pognębieniem tureckiéj potęgi skończyć się może. Więc chociaż andegaweńczyk był miłym jego sercu, chociaż wiedziano w Rzymie jak żywo prześladował hugenotów i jak czynny udział brał w nocy św. Bartłomieja, pomimo to jednak postanowiono popierać kandydaturę Ernesta w Polsce. I gdy legat papieski Kommendoni z listami Grzegorza XIII w ręku starał się przekonać duchowieństwo polskie o konieczności wybrania arcyksięcia, w Rzymie urządzono publiczną procesyą na intencyą szczęśliwéj elekcyi polskiéj (1). Zabiegi te chybiły wprawdzie celu, ale śmierć Karola IX i ucieczk Henryka zdawały się na nowo otwierać bramy stolicy polskiéj dla kandydata habsburskiego domu. Tymczasem jakby na przekór światowładnym planom Filipa II, jakby na ukaranie téj pychy hiszpańskiéj, co rosła w nieskończoność za każdém powodzeniem Habsburgów, stronnictwo austryackie w Polsce znalazło się w mniejszości i popadając z błędu w błąd, szukało pomocy u cesarza przeciw własnym braciom i własnéj ojczyźnie. Maksymilian II, w wieku podeszły i do wojennych zapasów wcale nieskłonny, zajął z początku wyczekujące stanowisko wobec swego współzawodnika i ustępstwami terytoryalnemi w ziemi węgierskiéj starał się go nakłonić do zrzeczenia się korony polskiéj. Gdy jednak zabiegi te chybiły celu, a Polacy bawiący w Wiedniu o przebiegu elekcyi i o stanie umysłów w kraju przesadne acz z prawdą niezgodne podawali wieści, uczuł się Maksymilian postępowaniem Batorego srodze dotkniętym. Zawrzała w nim w całéj pełni duma Habsburgów, obudziła się obrażona powaga cesarska i tak jak był cierpiący i w spokoju rozmiłowany, pojechał na sejm rzeski do Ratyzbony, aby przed stanami niemieckiemi się użalić i książąt do wojny z Batorym nakłonić. Ale zanim jeszcze zdołano rozwlekłe obrady ukończyć, za nim powzięto stanowcze w tak ważnéj sprawie uchwały, przerwała śmierć zamiary cesarza i ugruntowała wojewodę siedmiogrodzkiego na tronie jagiellońskim. Następca Maksymiliana II bowiem jakkolwiek wychowany w tradycyach rodziny habsburskiéj, nie był człowiekiem przedsiębiorczym i wojowniczym. Zagłębiony w naukach i badaniach astrologicznych, spuszczał on się w polityce

(1) Noailies: Henri de Valois et la Pologne en 1572. II, 94.

na swoich doradców i sam do niczego prawie się nie mieszał. Z tém wszystkiém jednak nie mogło postępowanie dworu wiedeńskiego względem Polski stanowczéj uledz zmianie, nie mogli Habsburgowie austryaccy zrzec się od razu tych widoków, które od lat tylu ich nęciły ani zapomnieć o koronie polskiéj, którą z takim trudem osiągnąć pragnęli.

Nagle zmiany zresztą, jakie wydarzyły się w Polsce w ciągu lat ostatnich dodawały otuchy ministrom cesarskim a uporczywa wojna z Gdańskiem i zatargi z Iwanem Groźnym o posiadanie Inflanckiéj ziemi mogły łatwo zachwiać panowanie Stefana Batorego. Nadzieja ta zaś była tém ponętniejszą, gdy nowy król polski żadnych nie miał sprzymierzeńców i na własne tylko mógł liczyć siły. Jedyną potęgą bowiem, która kandydaturę wojewody siedmiogrodzkiego w Polsce popierała była Porta otomańska (1), ale wdanie się tego mocarstwa jakkolwiek wpłynęło na wynik elekcyi, musiało raczéj zaszkodzić niż pomódz elektorowi. Sojusz z Turkami uchodził zawsze w oczach całéj Europy za rzecz niegodną i hańbiącą chrześciańskiego monarchę. Wiadomo ile hałasu narobiły w świecie konszachty Franciszka I z Solimanem przeciw Karolowi V; Batory był w gorszém o wiele położeniu niż absolutny i dziedziczny monarcha Francyi. Z szlacheckiéj acz dawnéj rodziny wyniesiony na województwo siedmiogrodzkie, lennik sułtana, katolikom w rzeczach wiary podejrzany (2), teraz za staraniem ewangielików głównie (3) i za poparciem Porty otomańskiéj na tronie polskim osadzony, musiał król Stefan więcéj niż każdy inny monarcha dbać o sławę swoję tak w kraju jak i za granicą. Poddanych swoich przekonał téż rychło o niepo szlakowanéj swéj prawowierności, za granicą jednak rozsiewali emigranci polscy i agenci cesarscy dziwne a jednak pozornie prawdopodobne o nim wieści. Utrzymywano mianowicie, że Batory z sułtanem ścisłe zawarł przymierze, że z Polski tak samo jak z Siedmiogrodu haracz płacić obiecał i że Polaków w poddanych Porty otomańskiéj zamienić pragnie. Błahe te i w gruncie niczém nieuzasadnione plotki, rozchodziły się po wszystkich dworach europejskich tak, że papież Grzegorz XIII, oceniając trafnie położenie Batorego, śpieszniéj niż zamierzał, uznał go królem polskim, aby tylko przeszkodzić możliwemu połączeniu Rzpltéj z Portą otomańską (4). Jasną bowiem było rzeczą, że Stefan opuszczony od mocarstw chrześciańskich, spotwarzony wobec Europy i zagrożony wojną niemiecką i moskiew-

---

(1) Relacye Nuncyuszów I. p. 237; relacya Lippomana, Tamże p. 277.

(2) Bielski (Wyd. Turow.) t. III. 1388. — (3) Tamże. — (4) List kard. Kommen. do legata papies. w Niemczech. Rel. Nun. I, 292.

ską równocześnie, z konieczności będzie musiał szukać opieki padyszacha, dotychczasowego swego zwierzchnika. Uznanie papieskie przychodziło bardzo w porę dla Batorego, chroniło go bowiem od dalszych potwarzy i rehabilitowało w oczach całéj chrześcijańskiéj Europy, politycznie jednak doniosłości wielkiéj nie miało. Król tak jak przedtém, był bez sprzymierzeńców, niedostatek skarbu, skąpstwem szlachty spowodowany, musiał łatać pożyczkami u książąt rzeskich lub przyjmować podarunki od przebiegłego Anspacha w zamian za lenno pruskie a to wszystko działo się wśród najgorętszych opałów gdańskiego buntu i w przededniu groźnych o Inflanty zapasów.

W takiém położeniu musiało królowi zależeć niemało na przyjaznych z Turcyą i Tatarami stosunkach a właśnie tam, u Złotego Rogu spotykały się zabiegi jego z intrygami ambasadorów cesarskich, którzy wierni dawniejszéj polityce swojego dworu, starali się, za wiedzą lub bez wiedzy cesarza Rudolfa II, krzyżować zamiary Stefana i podkopywać kredyt jego u wysokiéj Porty.

II.

W Konstantynopolu zasiadał już od dwóch lat blisko na tronie padyszachów, opróżnionym śmiercią Selima II (12 grudnia 1574), Amurat III. Młody 28 letni człowiek, o bladéj cerze, zapadłych oczach i długiéj rudéj brodzie, różnił się wprawdzie nowy władca od ojca swojego o tyle, że nie był tak jak on oddany pijaństwu, ale za to obdarzał zaufaniem swojém niegodnych pochlebców, łakomych zdzierców lub tonących w mistycyzmie poetów a odtrącał doświadczonych mężów stanu, którzy w szkole Wielkiego Solimana wykształcili się i wzrośli. Miejsce wielkiego wezyra Sokollego zajęli téż natychmiast ulubieńcy nowego monarchy a razem z nimi zapanowały u bram wysokiéj Porty sprzedajność i ucisk, w wojsku pijaństwo i niesubordynacya. Amurat, zatopiony w rozkoszach seraju, mało dbał o skargi poddanych, lekceważył rady Sokollego, który aż do śmierci (1579) piastował godność wezyra lecz wpływ dawniejszy utracił, i ambasadorów mocarstw chrześciańskich o tyle tylko cenił i poważał, o ile wymagały tego kosztowne podarunki, które mu od monarchów swoich przynosili. Pycha muzułmańska jednak zwykła była, te dowody przyjaźni poczytywać za haracz należny następcom proroka. Jakoż w podatkowych regestrach tureckich umieszczono Węgry i rzpltą wenecką jako państwa płacące daninę wysokiéj Porcie, na równi z Multanami, Wołoszczyzną, Siedmiogrodem i małą re-

publiką Raguzańską. Za przykładem padyszacha szli wielcy jego urzędnicy i hanowie ukrainnych sandżaków, prześcigający się w prześladowaniu i wyzywaniu chrześcian. Baron Ungnad, poseł cesarski, musiał, w 14 dni po odnowieniu przymierza z nowym sułtanem, uczestniczyć w tryumfalnym pochodzie na cześć Amurata III i patrzéć jak wnoszono w bramy seraju głowę Herborta Auersperga, który zginął świeżo w pogranicznéj walce z begami bośniackimi. Tak szanowali Turcy posłów cesarskich, a cóż dopiero mówić o reprezentantach pomniejszych mocarstw, lub o dragomanach i urzędnikach poselskich! Ambasada w Konstantynopolu należała z tego powodu do najtrudniejszych misyi dyplomatycznych i rzadko można było znaleść w Polsce człowieka, któryby z chęcią i godnie poselstwa tego się podejmował. Na Polskę bowiem zwracali Turcy szczególniejszą uwagę. Żyzność południowych prowincyi Rzpltéj, brak wojska stałego i miast warownych przedstawiały ziemie te jako pożądaną wielce i najłatwiejszą zdobycz Muzułmanom. Owładnąwszy zaś Polską, można było tém snadniéj ujarzmić Węgry i sięgnąć do wnętrza środkowéj Europy. Na razie jednak nie było jeszcze o tém mowy, Soliman zajęty wojnami węgierskiemi pragnął z Polską dobre zachować stosunki a następca jego Selim II postępował drogą przez ojca wskazaną i w r. 1568 odnowił przymierze z Zygmuntem Augustem (1). Przymierza tego dochowywali Turcy swoim obyczajem nie bardzo skrupulatnie, bo ile razy nadarzyła się po temu sposobność, zapuszczał Tatarzyn głęboko w serce Rzpltéj łupieskie swoje zagony, tłómacząc się niezapłaceniem zwykłych podarunków lub czarnomorskiemi wyprawami Kozaków. Za Henryka Walezego było trochę spokojniéj; dwór francuski bowiem zostawał w przyjaznych z Portą stosunkach a lekkomyślny Andegaweńczyk budował tak wiele na téj przyjaźni muzułmańskiéj, że ówczesny ambasador francuski w Konstantynopolu, biskup d'Acqs, miał polecone żądać od sułtana zrzeczenia się zwierzchnictwa nad Mołdawią na rzecz nowo obranego króla polskiego (2). Tą zdobyczą pokojową, a dla Polski ze wszech miar ważną, chciał zaimponować Henryk swoim wyborcom, lecz naiwność francuskiego dyplomaty nie trafiła do serc tureckich, biskup d'Acqs ściągnął na siebie nawet niezadowolenie padyszacha i został odwołany a tymczasem Tatarzy po staremu, skoro Henryk odjechał, wpadli do Polski i kraj cały aż po Sieniawę spustoszyli. Takie stosunki

(1) Relacya Piotra Zborowskiego kaszt. Wojnickiego w Podr. i poselst. pols. do Turcyi. Bibl. Tur.

(2) Noailles: Henri de Valois etc. III, p. 323. Mémoire envoyé de la part du roy a monsieur l'évesqué d'Acqs etc.

z Turcyą zastał Stefan Batory i główném staraniem jego było, wobec grożących zewsząd niebezpieczeństw utrzymać dobre z Portą porozumienie. Wymagało tego nietylko położenie Polski lecz także wzgląd na ziemię siedmiogrodzką, którą król w posiadaniu rodziny swojéj utrzymać pragnął a która, w razie jakichkolwiek zatargów pomiędzy Rzpltą i Turcyą, stawała się niewątpliwie łupem Muzułmanów. Z tych powodów natychmiast po koronacyi wysłał Stefan do Konstantynopola Jana Sienieńskiego, kasztelana halickiego, aby podług zwyczaju odnowić przymierze pomiędzy Selimem II a Zygmuntem Augustem zawarte a za staraniem Andrzeja Taranowskiego w czasie bezkrólewia przedłużone (1). Ale zanim Sienieński załatwił dane sobie polecenie, zanim spisano akta dyplomatyczne, gdzie w VII artykule zastrzeżone było poszanowanie granic polskich od Tatarów i zwrót szkód zrządzonych napadami Perekopców, kiedy rabusie ci, korzystając z zamieszek gdańskich, ukazali się na Wołyniu i kżnę Katarzynę Ostrogską w Dubnie oblegli. Oburzył się król mocno na to jawne wiarołomstwo i natychmiast posłał ze skargą do Krymu Taranowskiego, wybornego znawcę stosunków wschodnich i doświadczonego dyplomatę, ale Taranowski został bez powodu uwięziony jakby na wzgardę Stefanowi, którego nieprzyjaciele lennikiem Porty otomańskiéj nazywali. Stosunki wikłały się więc coraz bardziéj; do kłopotów gdańskich, do zatargów inflanckich przybywała jeszcze burza od południa najgroźniejsza ze wszystkich i najniedogodniejsza w téj chwili dla króla. Trzeba było więc wielkiéj przezorności, aby ją zażegnać i nie zerwać nici wiążącéj słabo przyjaźń polsko-turecką. Na szczęście nie wiedziano w Konstantynopolu o tém, co się na dalekim działo Wołyniu i Sienieński nie miał potrzeby, tak jakby to było wypadało, zrywać negocyacyi z dywanem. Przymierze podpisano obustronnie 14 lipca 1577 (2) a król ulegając konieczności, ratyfikował je 5 listopada, i ograniczył się tylko na nowéj skardze przeciw Tatarom, którą do bram wysokiéj Porty zaniósł w roku następnym Marek Sobieski, chorąży nadworny, ten sam, co pod Gdańskiem z Niemcami dokazywał i ku podziwieniu wojska całego w pełnéj zbroi Wisłę przepłynął. Skarga przyszła w samą porę, bo już w dywanie panowało wielkie przeciw Polakom oburzenie z powodu spraw wołoskich. Nieszczęśliwa ta kraina, tyle ważna dla Rzpltéj jako ściana przedzielająca ją od Turka, przeszła dzięki nie-

(1) Hammer-Purgstall Gesch. d. Osman. Reiches II, 460. O dwukrotném poselstwie Taranowskiego wspomina Paprocki (Herby 428), który w orszaku poselskim się znajdował.

(2) Kopia przymierza: tego z orginału odpisana znajduje się w Tek. Nar. do r. 1577—1579 nr. 83. Hammer-Purgstall podaje mylnie datę 30 lipca.

oględnéj polityce Jagiellonów w r. 1512 stanowczo pod władzę turecką (1) i odtąd co chwila zmieniała hospodarów swoich, stosując się do rozkazów nadchodzących z Konstantynopola. Polityka turecka kierowała się tutaj zwykłą Muzułmanom chciwością i skoro tylko hanowie znaleźli jakiego awanturnika, co wyższy sułtanowi ofiarował haracz, a im hojniejsze obiecywał podarunki, natychmiast pod jakimkolwiekbądź chociażby najbłahszym pozorem odejmowali hospodarstwo dotychczasowemu władcy a posyłali natomiast innego. Ten przekonany znowu, że panowanie jego trwać długo nie może, uciskał kraj i ludzi daninami, aby w razie niebezpieczeństwa mógł baszów przekupić lub z uzbieranemi skarbami za granicę ujechać.

Przewrotną też musiała być z gruntu polityka hospodarów wołoskich, jak niepewném i dwuznaczném położenie ich wobec Turcyi i Polski. Do Polski lgnęli jako chrześcianie i kupcy przemyślni, którzy w stosunkach handlowych z Rusią wielkie dla siebie widzieli korzyści; do Porty otomańskiéj przykuwał ich postrach potęgi tureckiéj, poczucie własnéj niemocy i brak poparcia ze strony rzplitéj polskiéj. Mimo to jednakże bywały związki między Wołoszą a Polską i częste i ścisłe. Bojarowie wołoscy bratali się ze szlachtą pograniczną, córki swoje swatali Polakom, w razie częstych prześladowań, których się dopuszczali hospodarowie, uciekali ze skarbami i dobytkiem do Polski, a nawet, uzyskawszy indygenat, osiadali stale w ziemiach ruskich, zapominając o dawnéj swojéj ojczyznie. Inaczéj hospodarowie. Ci, już-to dlatego, że rekrutowali się zwykle z obieżyświatów niewiadomego pochodzenia i niepewnéj wiary, już-to, że więcéj obawiali się Turków niż Rzpltéj, gotowi byli każdéj chwili do zdrady i podejścia. Pozornie zachowywali to niby przyjaźń dla Polski, oświadczali się z gotowością pomocy na pogan, wzdychali i płakali nad niedolą swoją, która kazała im służyć niewiernym, ale skoro tylko nad Dunajem pojawiło się wojsko tureckie i nadszedł firman sułtański, ogłaszający wojnę z Polską, wnet z przyjaciół stawali się jawnymi wrogami Rzpltéj i chciwą rękę wyciągali po Pokucie, jako rzekomą ojcowiznę Dragoszyców. Taka przewrotna i żadnemi zasadami nie kierująca się polityka uprawniała niejako sąsiadów do odwetu. Ile razy więc tylko zaniosło się na jaką nową zawieruchę pomiędzy Wołoszą, tyle razy pojawiały się natychmiast hufce polskie lub kozackie, popierając tego lub owego kandydata na hospodarstwo. Wyprawy te samowolne, bez wiedzy a częstokroć wbrew woli króla i sejmu podejmowane, ściągały w odwecie regularnie mściwy

(1) Porów. Źródła dziejowe t. X. (Sprawy wołoskie za Jagiellonów, wydał i szkicem histor. poprzedził Aleksander Jabłonowski. Warszawa 1878) p. XCIX.

oręż Osmanów na Polskę i dawały powód do nieustających prawie nigdy reklamacyi rządu tureckiego, który zwykł był każdą „inkursyą“ tatarską tłómaczyć owém szkodliwém mieszaniem się naszém w sprawy wołoskie.

Podobnie stało się i teraz. Na hospodarstwie wołoskiém zasiadał od r. 1574 Piotr albo Petryło, także Petraszkiem zwany, brat wojewody multańskiego, ten sam, którego Turcy po śmierci Iwonii na hospodarstwo wsadzili. Był on może lepszym trochę od swoich poprzedników sąsiadem, przynajmniéj król Stefan uważał go za przyjaciela Rzpltéj (1), ale z pod téj przyjaznéj powłoki drapieżna ukazywała się natura. Kiedy bowiem po ucieczce Henryka Tatarzy zagony swoje aż pod Sieniawę zapuścili, a wojsko polskie następnie obciążonych łupem ścigało, schronili się oni pod mury chocimskiego zamku, którego załoga ogniem działowym hufce polskie odpędziła, a sam hospodar w nagrodę za tę usługę cześć łupów otrzymał (2). Otóż przeciw temu Petryle wystąpił w r. 1577 Kozak jakiś czy Wołoch, podług powszechnego mniemania brat przyrodni Iwonii, Iwan na imię, od olbrzymiéj siły, że podkowy łamał, Podkową zwany. Ten Podkowa postanowił opanować hospodarstwo wołoskie, a że pomiędzy Kozakami był znany, więc łatwo od nich pomoc otrzymał. Dopytał się do niego jakiś Kopycki (3), szlachcic litewski, który fortunę ojcowską zmarnowawszy (4), na Niżu między Kozakami szukał sławy i zdobyczy. Z tym złączywszy się i zwerbowawszy kilkuset Niżowców udał się do Podkowa do wdy kijowskiego, ks. Konstantyna Ostrogskiego i do starosty barskiego i pokazawszy im listy bojarów wołoskich, którzy go na tron zapraszali, żądał pomocy i wolnego przejścia dla swoich mołojców. Starosta odpowiedział mu, że bez zezwolenia królewskiego tego uczynić nie może i obiecał odnieść się w téj mierze do dworu. Podkowa tymczasem nie czekając odpowiedzi, z garstką Kozaków wtargnął do Wołoskiéj ziemi i wojnę z Petryłą rozpoczął. Petryło chociaż miał i wojsko liczne i strzelby podostatkiem, zwątpił jakoś o sobie i zamiast uderzyć na przeciwnika, posłał czausza tureckiego do Jana z Sienna, który podtenczas właśnie wracał z Konstantynopola z przymierzem i przez wołoską ziemię przejeżdżał, oznajmując mu o zamysłach Podkowy i grożąc gniewem sułtana. Kasztelan halicki pisał o tém zaraz do króla, ale zanim list doszedł, zanim komornik królewski przyjechał z rozkazem do panów ruskich, aby Podkowę hamowali, zanim hetman ruszył wojsko, już pretendent uszedł z Niemirowa,

(1) Heidenstein: Commen. de bell. Mos. I, 737.— (2) Bielski III, 1367. —(3) Tenże 1431. — (4) List Batorego do Mehemeta baszy i Documente privitore etc. p. 37.

pobił Petryłę i w wilią św. Jędrzeja wszedł w tryumfie do Jass. Niedługo trwał ten tryumf, bo na rozkaz króla wsparł Krzysztof Batory Petryłę wojskiém siedmiogrodzkiém i wypędził Podkowę, poczém go Kozacy w Niemirowie wojewodzie bracławskiemu wydali.

Otóż wiadomość o tych wypadkach wołoskich doszła do Konstantynopola jakoś przed przyjazdem Marka Sobieskiego, i kiedy chorąży stosownie do zlecenia swego zaczął się przed wezyrem uskarżać na najazd Tatarów, zażądał Sokolli z gniewem ukarania Kozaków. Poseł odjechał z niczém, a co gorsza, powiózł w zanadrzu listy od sułtana i Mehemeda baszy (Sokollego) do króla, pełne wyrzutów a nawet ubliżających dla majestatu monarszego wyrażeń (1). Przypominali bisurmanie Batoremu, że za ich staraniem uzyskał koronę polską, nazywali go niewdzięcznym i domagali się w tonie rozkazującym ukarania przykładnego Kozaków (2). Odpowiedź ta musiała tém przykrzejsze na króla sprawić wrażenie, gdy właściwym celem misyi Sobieskiego było uzyskanie posiłków tatarskich na wojnę moskiewską. Podług paktów bowiem dawniejszych z Tatarami, dawali wprawdzie królowie polscy pewne podarunki co roku hanowi, ale za to mieli prawo wymagać poszanowania granic Rzpltéj i pomocy przeciw każdemu nieprzyjacielowi Korony z wyjątkiem sułtana tureckiego. Tatarzy tymczasem nietylko nie czynili zadość tym zobowiązaniom, ale nawet świeżo najechali granice Polski, działając, jak utrzymywał król, w porozumieniu z Iwanem Groźnym. Sobieski miał przeto żądać, aby sułtan hana upomniał i przymierza z Polską dotrzymać kazał. Zamiast tego przynosił on nowe niefortunne listy, zapowiadające zerwanie stosunków przyjaznych z Portą otomańską. Zafrasowany tém król, wysłał natychmiast Krzysztofa Dzierżka do Konstantynopola z listem, w którym usprawiedliwiał się z czynionych sobie zarzutów, przedstawiał sprawę w świetle prawdziwém i dowodził, że Kozaków ani wytępić, ani od napadów na państwo tureckie powstrzymać nie może. Od wieków już bowiem — tak pisze w owym liście datowanym ze Lwowa 28 lipca 1578 (3) — na rozległych polach nadnieprzańskich gromadzą się owi rozbójnicy ze zbiegów tatarskich, tureckich, moskiewskich i wołoskich, czemu przeszkodzić nie sposób. Teraz podburzeni przez nieprzyjaciół naszych najechali oni Wołoszczyznę, aby nas z wysoką Portą poróżnić, gdyż wiedzą, że do wojny moskiewskiéj się gotujemy. Pomimo tego listu jednak trwał sułtan w gniewie swoim daléj i żądał surowego ukarania Kozaków, a przyznać trzeba, że wyboru nie było.

(1) Tamże p. 10, 14. — (2) Et a Moscho magno munere accepto foedus cum eo inysret (han)... słowa listu sultańskiego l. c. 14. — (3) L. c p. 20.

Wobec grożącéj bowiem wojny moskiewskiéj nie mógł i nie powinien był Batory narażać Rzpltéj na oczywistą inwazyą Turków i Tatarów od południa, z drugiéj zaś strony musiał energiczném postępowaniem powściągnąć Kozaków, którzy z dniem każdym większéj nabierali śmiałości i teraz świeżo po Podkowie brata jego Aleksandra na hospodarstwo wołoskie prowadzili. Ale wykonanie tego postanowienia królewskiego nie było rzeczą łatwą. Podkowa miał licznych pomiędzy szlachtą przyjaciół, którzy zagonową kierując się polityką, pragnęli go uratować a może i na hospodarstwie osadzić. Jednym imponował zapewne ten mołojec olbrzymią swą siłą i rycerskim animuszem, drugich nęciły awanturnicze ku Dunajowi wyprawy i sława hospodarskich skarbów, inni nareszcie widzieli w Podkowie dziwną igraszkę losów, zasługującą raczéj na współczucie niż na surową karę, a wszyscy razem oburzali się na wyzywający ton listów sułtańskich i niezwyczajną dotąd pychę bisurmanów, którzy królowi we własném jego państwie zdawali się rozkazywać.

Tak stały rzeczy podczas sejmu w Warszawie, dokąd Podkowę z Niemirowa sprowadzono i dlatego Batory odesłał go do Rawy, a późniéj do Lwowa, gdzie sam przez lato miał zabawić. Tam rozstrzygnęły się też losy niedoszłego hospodara. Król, nie bawiąc się w uczuciową politykę i przewidując do czego zuchwalstwo kozackie z czasem doprowadzić może, postąpił sobie tak, jak tego wymagał IX artykuł (1) przymierza z Amuratem zawartego i w obecności czausza tureckiego kazał ściąć Podkowę, na Niż zaś wysłał Jana Tarłę z Szczekarzowic, wojewodę lubelskiego i Mikołaja Sieniawskiego, kasztelana kamienieckiego, aby winnych ukarali i na przyszłość tumultom podobnym zapobiegli (2). Jakoż rzeczywiście komisya powściągnęła na czas jakiś Kozaków, a król ustanowił nad nimi hetmanem Jana Oryszowskiego Prawdzica, który późniéj w wojnach moskiewskich niemałe położył zasługi. Na tém ograniczyła się zapewne owa przez dziejopisów naszych pobieżnie wspomniana sprawa organizacyi Niżowców, ale postępowanie królewskie mądre i w wysokim stopniu polityczne, uchroniło Rzpltą od wojny tureckiéj i umożliwiło zdobycie Połocka i Wielkołucką wyprawę. Skoro bowiem tylko Achmet czausz, ten sam co we Lwowie przypatrywał się straceniu Podkowy, powrócił z listami królewskimi do Konstantynopola, zmieniła natychmiast polityka turecka dotychczasową swą barwę i chociaż wezyr Mehemet basza skarżył się jeszcze o najazdy

---

(1) Ex parte quoque Regis Pol. et subditorum ejus quidquid damni ditioni aut subjectis palatini Moldaviensis Tartarisve illatum fuerit, damnum resarciatur et damni illatore puniantur. Tek. Narusz. l. c. — (2) List króla do sultana. Docum. priv. p. 32.

kozackie, to wyrażał się równocześnie z uznaniem o zadosyćuczynieniu królewskiém i wysłał czausza Sulejmana, który z wyraźnego polecenia sułtańskiego miał wystąpić w roli pośrednika pomiędzy Polską a Tatarami, bo wasza królewska Mość — tak kończył wezyr korespondencyą swoję z tego powodu — jesteś jakoby pochodnią jaśniejącą naszego najpotężniejszego cesarza (1).

III.

Nowy ten zwrot w polityce tureckiéj nie zasmucił zapewne nikogo tak bardzo, jak ministrów cesarskich w Konstantynopolu: Dawida Ungnada i Joachima Sinzendorfa. Od chwili wstąpienia na tron polski Stefana Batorego i od czasu, gdy Sinzendorfowi udało się, acz z własném upokorzeniem, uzyskać ponowne zatwierdzenie przymierza pomiędzy Amuratem III a Rudolfem II, rozwijają oni obaj gorączkową czynność w stolicy tureckiéj. A uwaga ich jest zwrócona nie tyle na sprawy, ściśle krajów austryackich dotyczące, co na stosunki pomiędzy Polską i Portą otomańską. Ile razy tylko przyjedzie poseł króla Stefana do Carogrodu i ile razy kancelarya sułtańska posyła depesze do Polski lub odbiera listy od hospodarów Wołoszy i Multan, którzy zazwyczaj o sprawach polskich i siedmiogrodzkich szeroko się rozpisują, tyle razy Sinzendorf lub Ungnad, albo téż obaj na spółkę układają obszerne relacye dla cesarza, w których król polski i stosunek jego do Porty w najczarniejszych są odmalowani kolorach. Czy instrukcye, których nie znamy, kazały im w ten sposób postępować, czyli téż, co jest prawdopodobniejsze, z własnéj tak działali gorliwości, aby zaskarbić sobie łaskę cesarską i względy ministrów, niechętnych Batoremu, pozyskać, to jest na razie rzeczą obojętną, a przyznać trzeba, że pilnowali się dobrze i nie szczędzili ani pieniędzy, ani trudu. Relacye ich, co prawda, nie zawsze są zgodne z istotnym stanem rzeczy, ale umieją oni z dziwną zręcznością postarać się o odpis wszystkich listów przychodzących z Polski lub wysyłanych do Polski. Gdy jednak korespondencya ta nie zawiera w sobie nic zbyt ubliżającego królowi i Rzpltéj, więc używają oni innego środka, do tłómaczenia bowiem oficyalnego tureckich listów dodają drugą, podług ich zdania, wierną zupełnie interpretacyą, pełną obelg i niedyplomatycznych wyrażeń, ażeby tylko dowieść, jakiéj pogardy doznaje Stefan Batory od dygnitarzy wysokiéj Porty. W r. 1579 np., na początku lipca pisze Mehemet basza list do króla, w którym domaga się zniesienia jakiegoś

(1) List Mehemeta baszy (Sokollego) do króla Stefana l. c. p. 33.

zameczku o 3 mile od Soroki położonego, na gruntach już do Mołdawii należących, a wspomniawszy przytém o napadach kozackich, kończy następującym zwrotem: „Nie tajno zapewne będzie W. Król. Mości ile najpotężniejszy cesarz nasz przyczynia się zawsze do wyniesienia WKMci i jak często okazywał WKMci szczególniejszą swoję pieczołowitość. Nie wypadałoby przeto za tak liczne dobrodziejstwa takiém płacić postępowaniem.“ Poseł cesarski podkreśla te słowa i dodaje w dopisku: Dowiedziałem się napewne, że w oryginale tureckim podkreślone wyrazy brzmiały inaczéj i że je zmieniono w tłómaczeniu tylko dlatego, aby królowi wobec panów polskich nie szkodzić. Turecki ustęp był zaś taki: Czyż nie wiecie, żeście z pomocą i na rozkaz sułtański ze spaha zostali wojewodą siedmiogrodzkim a potém królem polskim? (1). Pozornie interpretacya ta wydaje się prawdopodobną, w istocie rzecz się miała inaczéj. Listy sułtańskie dochodziły do rąk królewskich nie w tłómaczeniach łacińskich lecz w oryginałach tureckich i sprawiały zazwyczaj wiele kłopotu kancelaryi polskiéj.

Pomimo nieustających bowiem nigdy stosunków ze Wschodem, brakowało u nas zawsze biegłych oryentalistów. Bywali wprawdzie ludzie umiejący po turecku, ale taka powierzchowna znajomość języka nie wystarczała w tym wypadku. Nie chodziło bowiem tylko o zrozumienie tekstu, lecz o najdokładniejsze i z oryginałem zupełnie zgodne tłómaczenie, ażeby w przyszłości nie dać się obałamucić i podejść dyplomatom tureckim. Muzułmańscy mężowie stanu bowiem zasadzali taktykę swoję na podchwytywaniu nieostrożnego przeciwnika i na przekręcaniu firmanów sułtańskich. Kancelarya polska musiała więc starać się o jak najdokładniejsze tłómaczenie aktów tureckich i przechowywać takowe wraz z oryginałami starannie w archiwum, aby rabulistycznéj polityce bisurmańskiéj w danéj chwili stawić czoło skutecznie. Owóż gdy nadeszły listy z Konstantynopola, zaczynało się poszukiwanie za tłómaczem. Czasem posyłano akta takie do Lwowa, gdzie przy częstych stosunkach ze Wschodem łatwiéj było o Ormianina lub Polaka znającego gruntownie język turecki, kiedyindziéj wyprawiał podkanclerzy natychmiast nierozpieczętowane listy sułtańskie do Zamojskiego w nadziei, że na dworze hetmańskim, wśród licznego grona uczonych mężów i o oryentalistę trudno nie będzie (2).

Zważywszy to wszystko, łatwo przyjdzie nam się domyśléć, że relacya Sinzendorfa o dwojakich listach sułtańskich, z których jeden,

---

(1) Documente privitore etc. p. 40 i 41. — (2) Wiadomości tę czerpaliśmy z rękopiśmiennéj korespondencyi ks. Tylickiego z hetmanem Zamojskim.

turecki, miał być przeznaczony dla króla, drugi zaś łaciński, dla panów polskich, była prostym wymysłem, obliczonym na łatwowierność cesarza i ministrów jego, nieobznajomionych dokładnie z praktyką kancelaryi polskiéj. Możliwą jest rzeczą także, że Sinzendorf dał się podejść czauszowi Achmetowi, od którego tę wiadomość otrzymał i za drogie pieniądze kupił to, co wcale nie istniało. Pominąwszy bowiem wszystko, cośmy o korespondencyach tureckich wspomnieli, trudno przypuścić, aby Sokolli, który Batoremu sprzyjał i częste od niego odbierał podarunki, w chwili, gdy tragiczna śmierć Podkowy usunęła nieporozumienia pomiędzy Rzpltą a Portą otomańską zachodzące, odzywał się do Stefana w sposób tak wyzywający i zwyczajom dyplomatycznym nieodpowiedni. Sam Sinzendorf zresztą osłabia donioslość swojéj relacyi, gdy mało przedtém, posyłając podobnie dwojakie tłómaczenie listu wezyrskiego, o drugiéj, niekorzystnéj dla króla interpretacyi, z powątpiewaniem się wyraża (1). Widocznie nienawiść jego ku Batoremu przygłuszała przezorność, tak potrzebną każdemu dyplomacie i ściągała na dwór cesarski niespodziewane kłopoty i nieprzyjemności.

Zachowanie się ministrów austryackich w Konstantynopolu bowiem nie mogło ujść bacznéj uwagi króla Stefana. Wdrożony oddawna w podstępną grę dyplomacyi tureckiéj i obznajomiony dokładnie z krętemi drogami serajowéj polityki niedał się Batory usidlić tak łatwo ani Sinzendorfowi, ani tajnym jego agentom, a dowiedziawszy się o zabiegach ministrów cesarskich, postanowił jednym zamachem dotychczasową ich działalność zniweczyć. Posłużył mu zaś do tego nie kto inny jak Olbracht Łaski, najżarliwszy Maksymilianista i najzawziętszy przeciwnik siedmiogrodzkiego stronnictwa w Polsce. Po śmierci swego elekta, cesarza Maksymiliana II, bawił pan wojewoda przez jakiś czas w Pradze, stamtąd wyjechał do Florencyi i do Rzymu, nareszcie powrócił do Wiednia. Obecność jego w dzierżawach austryackich nie mogła być obojętną dla króla Stefana, który znał burzliwy umysł wojewody i awanturniczą jego przedsiębierczość. Podrażniony świeżo odebraniem Lanckorony, zrujnowany długim pobytem za granicą mógł Łaski pod nieobecność króla, udającego się na wojnę moskiewską, nowe w kraju wszcząć zamieszki, mógł wzniecić wojnę domową, a nawet Rzpltą w zatarg z cesarstwem wprowadzić. Trzeba go więc było uczynić nieszkodliwym i zmusić do powrotu. W tym celu, skoro tylko stosunki z Turcyą nieco się naprawiły, doniósł król sułtanowi (2), że Łaski bawiąc na dworze cesarskim, stara się o hospodarstwo mołdawskie, że Rudolf II

(1) Documente etc. p. 29. — (2) Tamże p. 44.

przyrzekł mu pomoc i że wojewoda w krajach austryackich zbiera wojsko, aby wtargnąć do Wołoch i dawniejsze zamiary swoje urzeczywistnić.

Ministrom tureckim wydała się ta wiadomość wielce prawdopodobną. Znali oni Łaskiego jako niebezpiecznego wroga Porty otomańskiéj, pamiętali, że w r. 1561 poprowadził Heraklidesa na hospodarstwo wołoskie, wiedzieli że późniéj na czele lotnych hufców aż pod Oczaków się zapędzał i wraz z Ostrogskim pomagał Iwonii, a nie tajne im były także zabiegi jego o mitrę hospodarską podczas krótkiego panowania Henryka Walezyusza. Bo jeżeli biskup d'Acqs w imieniu dworu francuskiego i polskiego elekta prosił sułtana o ustąpienie zwierzchnictwa nad Mołdawią, to czynił to głównie w tym celu, aby król Henryk mitrą hospodarską mógł wynagrodzić wierne służby Łaskiego. Cóż łatwiejszego przeto, jak, że wojewoda, którego ambicya granic nie znała, w chwili obecnéj o ziemię wołoską na nowo się pokusi, i naśladując Podkowę, nieudolnego Petryłę z Jass wystraszy. A że za plecyma Łaskiego stał cesarz i Porta w téj chwili toczyła niepomyślną wojnę z Persami, więc sultan zaniepokoił się niemało owym listem króla Stefana i zaczął z ministrami swymi rzecz całą rozważać. Sinzendorf jak zwykle dowiedział się przez tajnych agentów o całéj intrydze i natychmiast ostrzegł cesarza, dodając, że owo popieranie ambitnych zamiarów Łaskiego może łatwo ściągnąć na węgierskie posiadłości mściwy oręż Osmanów (1). To wystarczało, aby zgubić wojewodę sieradzkiego w opinii ministrów cesarskich, dla których od dawna już był niemiłym i zbyt kosztownym gościem. Jego umysł niespokojny i ambitny, niegodne postępowanie z żoną, a co najbardziéj może, ciągłe, uporczywe upominanie się sum zaległych w skarbie cesarskim (2) sprawiły, że i cesarz Rudolf II niechętném na niego spoglądał okiem. Dokąd żył Maksymilian II, dotąd i Łaski używał wielkiego na dworze znaczenia. Pamiętano, że jego przodkowie i on sam służyli wiernie domowi habsburskiemu, potrzebowano go wreszcie jako możnego i zręcznego agenta w Polsce. Dziś, gdy nadzieja osiągnięcia korony polskiéj zawiodła, gdy u steru rządów w Austryi inni stanęli ludzie, stał się Łaski niepotrzebną a nawet cesarza kompromitującą poniekąd osobistością. Dodać trzeba jeszcze i to, że wkrótce po pierwszéj relacyi Sinzendorfa nadeszła druga wyraźniejsza już i bardziéj niepokojąca. Oto donosi on (14 października 1579), że wezyr zawezwał go do siebie i otwarcie o Łaskim mówić zaczął (3). Agent mołdawski — były słowa So-

---

(1) Documente etc p. 23. — (2) Porów. Kraushara: Olbracht Łaski. T. II, rozdział VIII i IX. — (3) Documente etc. p. 45.

kollego — opowiadał nam, że Łaski gotuje najazd na Lanckoronę, wojewoda siedmiogrodzki zaś prosił o pomoc, gdyż słyszał, że Łaski na czele wojska niemieckiego wybiera się do Mołdawii. Zmieszało to widocznie trochę Sinzendorfa, ale nie tracąc fantazyi, odpowiedział natychmiast:

— Oni oskarżają Łaskiego, tymczasem Zborowski, magnat polski siedzi na czele 2000 muszkieterów i 400 konnych u granic wołoskich i pisze do wojewody: albo przyślesz 1000 wołów, 3000 owiec i sto beczek miodu, albo gotuj się do wojny. Tymczasem psuje młyny i zabiera bydło. Czemu więc jego nie oskarżają?

— Rozważymy i to — odparł wezyr— i znajdziemy sposób, aby ich powściągnąć.

Rozmowa ta, którą Sinzendorf spisał natychmiast i wysłał do Pragi, wywołała żywą w sprawie Łaskiego korespondencyą. Cesarz Rudolf wystosował bezzwłocznie pilny list (1) do arcyksięcia Ernesta, jako gubernatora Węgier, gdzie Łaski dobra posiadał, i donosząc o podejrzeniach tureckich, domagal się wydalenia wojewody. Żądania cesarskie poparła w kilka tygodni później osobnym memoryałem nadworna rada wojenna. Łaskiego radziliśmy już dawniéj wydalić — taka jest treść owego pisma — a ponieważ on powtarza zawsze, że wyjedzie, a nigdzie się nie rusza, więc wypadałoby mu wyraźnie dać do zrozumienia, aby ostatecznie dwór i kraje cesarskie opuścił. Jakoż byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, aby Łaski i wszyscy Polacy inne sobie obrali schronienie (2). Arcyksiąże zgadzał się zupełnie na zapatrywanie, wyrażone w memoryale, mniemał jednak, że Łaski naprawdę wyjechać zamierza (3).

Tak stała sprawa wojewody w pierwszych miesiącach r. 1580, kiedy Stefan Batory do Wielkołuckiéj gotował się wyprawy, a wątpić nie można, że w myśl owego memoryału nadwornéj rady wojennéj niejednokrotnie dano Łaskiemu już do zrozumienia, jak niewygodnym jest dla rządu cesarskiego gościem. Nie wypadało przeto wojewodzie nic innego, jak tylko szukać przebaczenia u króla Stefana; szukał go téż i znalazł, prędzéj może niż się spodziewał i niż na to zasłużył, a król witając w Liwie powracającego do ojczyzny eksulanta, miał prawo powiedzieć: „Si dominatio vestra citius accessisset melius fuisset.“ Tak, bo wtedy możnaby było przypuścić tak, jak chce jego biograf, że głos sumienia i miłość ojczyzny skłoniły butnego wojewodę do powrotu. Dziś wiemy niestety, że cesarz pozbył go się jako natręta, a król własny przyjął jako marnotrawnego syna.

---

(1) Tamże p. 46. Na adresie dopisano: *Cito.* — (2) Tamże p. 48.—(3) Tamże. List arcyksięcia nosi datę 28 lutego 1580 a nie 28-go września, jak wydawca mylnie u góry wypisał.

IV.

Zdobycie Połocka i Wielkich Łuk jakoteż upokorzenie Łaskiego i innych malkontentów polskich podniosły znacznie powagę króla Stefana tak w kraju jak i zagranicą. Od razu też niemal łagodnieje ton listów sułtańskich, posłowie Rzpltéj doznają lepszego w Konstantynopolu przyjęcia a Sinzendorf i baron Fryderyk Pressner, który mu w ambasadzie towarzyszy, wyrażają się w relacyach swoich o wiele ostrożniéj o dawnym współzawodniku cesarza Maksymiliana II. Działalność ich zresztą przenosi się na inne pole. W depeszach, które posyłają, jak zawsze, regularnie cesarzowi, daleko mniéj słychać już o Polsce i o królu polskim a coraz to więcéj za to wysuwa się na pierwszy plan sprawa siedmiogrodzka i mołdawska. Województwo siedmiogrodzkie odstąpił król Stefan, odjeżdżając do Polski, bratu swojemu Krzysztofowi, ale, jak łatwo zrozumieć, wywierał zawsze wpływ przeważny tak na politykę brata, jak i na wewnętrzne stosunki téj krainy. Siedmiogród bowiem, położony u progów tureckiego państwa, sąsiadujący z Mołdawią, Wołoszczyzną i Węgrami a nadto przyległy ruskim prowincyom Rzpltéj był dla następcy Jagiellonów nieocenioną posiadłością. Dzierżąc w rękach swoich województwo erdelskie, jak je Węgrzy mianowali i dotąd mianują, mógł król o wiele łatwiéj trzymać na wodzy naddunajskich hospodarów, mógł każdéj chwili wzniecać zamieszki w północnych Węgrzech, podległych, cesarskiemu berłu, a co ważniejsza, w razie wojny z Portą otomańską, paraliżować ruch armii tureckiéj, dążącéj ku Dniestrowi i przecinać komunikacyą jéj z sercem państwa, Konstantynopolem. Oprócz tego była ta ziemia siedmiogrodzka, podług zdania współczesnych, krainą „nieoszacowaną,“ mlekiem i miodem płynącą. Posiadała bowiem kopalnie kruszców wszelkiego rodzaju: złota i srebra, żelaza i miedzi, cyny i ołowiu, stali (*sic*) i rtęci, siarki i soli a oprócz tego niezliczoną ilość bydła, obfite lasy, bujne pastwiska i nadzwyczaj urodzajną ziemię. Nic dziwnego przeto, że król Stefan stamtąd pociągał pieniądze i ludzi i że w wojnach moskiewskich znaczne od brata otrzymywał posiłki.

Na tę gospodarkę w Siedmiogrodzie niechętnie spoglądała Turcya, jeszcze niechętniéj może dwór cesarski, a że pomiędzy ludnością miejscową niebrakło malkontentów, należących jeszcze do stronnictwa Bekeszowego, z którém dwór wiedeński w ścisłych zo-

---

(1) Regnum sane inaextimabile, wyraża się wojewoda multański w liście do sułtana. Documente etc. 58.

stawał stosunkach, więc Sinzendorf umyślił w Siedmiogrodzie wzniecić przeciw Batorym opozycyą i użyć jéj do swoich celów. Jakoż w istocie już w marcu r. 1580 wysyła do Konstantynopola sześciu ziemian siedmiogrodzkich uniżoną suplikę, w któréj narzekają gorzko na ucisk Batorych i polecają się opiece i łasce sułtana (1). W kilka miesięcy potém otrzymuje podobny memoryał, basza budyński, Oweis, ulubieniec sultana i posyła go natychmiast swemu panu. A musiał to być dokument bardzo ważny na ową chwilę, kiedy ambasador cesarski w relacyi swojéj na tysiąc florenów go ocenia i za wielką zasługę poczytuje sobie, że przedarował służbę sułtańską i odpis wierny téj skargi nareszcie wydostał (2). Niedosyć na tém. Równocześnie z owemi krzykami boleści uciskanych rzekomo Siedmiogrodzian pojawia się kandydat do mitry transylwańskiéj w osobie Bazylego wdy multańskiego. Przebiegły ten władca naddunajskich Wołochów, który uważa za najwyższe szczęście swoje, jeżeli może ucałować proch „błogosławionych nóg padyszacha“ i wyznaje, że żyje po to tylko, aby służyć Muzułmanom i płacić podatki do skarbu sułtańskiego, opisuje najpierw w najponętniejszych barwach bogactwa siedmiogrodzkiéj ziemi a uroniwszy łzę boleści nad obecnym losem jéj mieszkańców, ofiaruje się wyzwolić ich za pozwoleniem sułtańskiém z ucisku, zostać wojewodą siedmiogrodzkim i do skarbu cesarskiego płacić 50 tysięcy dukatów a nie 15, jak dotychczasowi wojewodowie (3). Ręka w rękę z temi podziemnemi machinacyami w sprawie siedmiogrodzkiéj szły zmiany w sąsiedniéj Wołoszczyznie. Na miejsce Piotra, przyjaznego Batorym hospodara, osadzono tam Sasa Jankulę, który z Rueberem (4), dowódzcą cesarskim w górnych Węgrzech, jak najserdeczniejsze utrzymywał stosunki i listy z Polski do Konstantynopola posyłane przejmował. W tak krytycznéj chwili umarł Krzysztof Batory i ziemia siedmiogrodzka ujrzała się bez pana. Zdawało się przeto, że nadszedł wreszcie czas stosowny do wykonania tych planów, które od dawna już układali malkontenci siedmiogrodzcy na wspólkę z wojewodą multańskim a zapewnei nie bez wiedzy Sinzendorfa. Nadspodziewanie jednak wzięły rzeczy inny obrót i król Stefan odniósł znowu stanowcze nad przeciwnikami swymi zwycięstwo. Dopomogły mu, co prawda, do tego niemało pomyślne okoliczności, w jakich się pod ten czas znajdował, a więc przedewszystkiém szczęśliwy przebieg wojny moskiewskiéj i pojmanie dwóch książąt tatarskich, którzy, uchodząc przed okrucieństwem hana perekopskiego Dewlet Giereja, w Polsce przytułku szukali. Król

(1) Documente etc. p. 49. — (2) Tamże, p. 54—56. — (3) Tamże, p. 57—60 (4) Tamże, p. 67.

nie omieszkał oba te wypadki na korzyść swoję wyzyskać. W tym celu wysłał bezzwłocznie do Konstantynopola Tomasza Drohojowskiego, starostę przemyskiego, który doniósł sułtanowi o odzyskaniu całych prawie Inflant i ostrzegł go zarazem o związkach pomiędzy Iwanem Groźnym a cesarzem Rudolfem II. Przedstawiwszy w ten sposób wzrost potęgi królewskiéj i niebezpieczeństwa, jakie wysokiéj Porcie od nieprzyjaciół Rzpltéj groziły, opowiadał poseł obszernie o pojmaniu książąt tatarskich, którzy pierwotnie zbiegli do Niżowców i od nich za znaczną bardzo sumę przez króla wykupieni, w przyzwoitém znajdują się więzieniu. Król jednak jest gotów z przyjaźni i przychylności dla sułtana odesłać owych jeńców do Konstantynopola, uprasza atoli przy téj sposobności, aby cesarz bratanka jego Zygmunta na województwie siedmiogrodzkiém zatwierdził i z hospodarstwa wołoskiego złożył Jankułę a godność tę na nowo Piotrowi powierzył (1).

Nie mógł się sułtan oprzéć prośbie w ten sposób sformułowanéj i takiemi popartéj argumentami. W razie odmowy bowiem mógł Batory owych pretendentów tatarskich użyć do opanowania Krymu i, niepotrzebując już teraz pomocy sułtańskiéj, przystąpić do ligi z Iwanem Groźnym i Rudolfem II, która nie przeciw komu innemu jak tylko przeciw Porcie otomańskiéj wymierzona być musiała. Jakoż sułtan okazał tym razem dziwną dla żądań królewskich powolność. List jego jest pełen uprzejmości, zapewnień przyjaźni a nawet pochwał dla Drohojowskiego, kończy się zaś przyrzeczeniem, że wszystkie życzenia Stefana będą spełnione (2). I w istocie dotrzymali Turcy słowa: na województwie siedmiogrodzkiém bowiem zasiadał odtąd spokojnie bratanek królewski a syn Krzysztofa, Zygmunt, podczas gdy Jankuła w kilka miesięcy potém z obawy przed Turkami ujechał z hospodarstwa wołoskiego, uwożąc złupione na bojarach skarby. Zamiarem jego było udać się do północnych Węgier, gdzie dawniéj już Kesmark był zakupił (3), gdy jednak droga przez Siedmiogród wydała mu się zbyt niebezpieczną, chciał się przemknąć niespostrzeżenie przez południowe prowincye Rzpltéj. Tu, na Pokuciu, pojmał go Mikołaj Jazłowiecki starosta śniatyński i odstawił do Lwowa, gdzie został ścięty na rozkaz królewski a dobra jego zabrane na skarb (4).

Tak coraz śmieléj poczynał sobie ten Stefan, którego niedawno jeszcze Turcy za hołdownika swego uważać przywykli. Z niezamoż-

(1) List króla Stefana do senatorów w Relacyach nunc. I, 340.

(2) Documente privit. p. 69.

(3) Relacya Poennera. Documente etc. p. 70.

(4) Bielski Kron. p. 1507. Heidenst. Commen. 829.

nego szlachcica, wojewoda siedmiogrodzki, lennik padyszacha karnie uchylający czoło przed firmanem sułtańskim, następnie król polski, jak powszechnie mniemano, za łaską sułtańską do téj godności wyniesiony, jest on z początku rzeczywiście uległym dla Porty otomańskiéj sprzymierzeńcem. A jakkolwiek wśród najtrudniejszych okoliczności umie zachować godność monarszą wobec pychy muzułmańskiéj, to prawdziwa mądrość polityczna każe mu odgywać tę rolę do czasu, gdzie wzrósłszy w potęgę z niegodnego jarzma łatwiéj będzie się mógł otrząsnąć. Jakoż nadeszła nareszcie tak dawno pożądana chwila. Zwycięzca z pod Połocka i Wielkich Łuk, surowy sędzia swawoli magnackiéj, mógł wreszcie i o ważniejszych pomyśléć zadaniach. A jak wszystko, co w wciągu krótkiego panowania swego poczynał, na wielkie było zakrojone rozmiary, tak i plany jego przedśmiertne genialną nosiły na sobie cechę. Że pragnął wojny z Turkami, on, co tak długo z podziwienia godnem zaparciem się znosił jarzmo muzułmańskie, to rzecz zrozumiała, ale że do téj wojny takie czynił przygotowania, to świadczy o wielkości jego umysłu. Walka z islamem miała być bowiem podług zamiarów króla Stefana nie owocem ligi chrześcijańskiéj obejmującéj rozmaite narody i państwa, lecz wielkiém powołaniem słowiańskich ludów, zrzeszonych pod godłem wiary i swobody. Nie szukał on dlatego porozumienia z mocarstwami zachodniemi, gdyż wiedział jak różne dzielą je interesa, a układał się tylko z papieżem Syxtusem V i „praktykował Moskwę.“ Nie ulega wątpliwości, że poselstwo Lwa Sapiehy w r. 1584 nie miało innego celu jak wciągnięcie Iwana Groźnego w sferę planów królewskich. A gdy Sapieha w Możajsku (5) już dowiedział się o śmierci Iwana i w skutek tego do Polski powrócił, zamierzał Stefan skorzystać z zamieszek w Moskwie, oba państwa pod swojém berłem zjednoczyć (6) i wspólnemi siłami Turka zwojować. Obok tych planów, mających ogólno-europejskie znaczenie, był jeszcze jeden, dynastyczny wprawdzie, ale także zaczepiający o kwestyą wschodnią. Oto myślał Batory o zupełném przeobrażeniu stosunków węgierskich w ten sposób, że bratankowi swemu Zygmuntowi pragnął zapewnić koronę św. Szczepana a województwo siedmiogrodzkie, oddać Janowi Zamojskiemu, który niedawno pojął w małżeństwo Gryzeldę Batorównę, córkę Krzysztofa (7). Zamiar ten był połączo-

(1) Lew Sapieha do Krzysztofa Radziwiłła. Archiwum domu Radziwiłłów. Wyd. A. Sokołowski Kraków, 1885. str. 174.

(2) Mikołaj Krzysztof Radziwiłł do Krzysztofa Radziwiłła, tamże p. 26.

(3) Plan dotyczący, nakreślony, jak twierdzą, własną ręką króla, wynalazł niedawno w archiwum wiedeńskiém p. Ludwik Szadeczky i ogłosił treść jego w czasopiśmie peszteńskiéj akademii „Századoku.“ Porów. VI zeszyt téj publikacyi z r. 1882 str. 9 7—499.

ny, jak łatwo się domyśléć, ściśle z projektem wojny tureckiéj i zależał od pomyślnego jéj ukończenia. Wojna ta zajmowała téż wyłącznie może umysł królewski, przebąkiwano o niéj już w Konstantynopolu, papież Syxtus V hojną obiecywał pomoc, sam Stefan spisywał ilość wojska i pieniędzy (1) jakiéj tak wielkie przedsięwzięcie wymagać będzie, słowem świat znajdował się w przededniu olbrzymiego przewrotu, kiedy śmierć nagła przecięła wątek wielkodusznych zamiarów niezapomnianego monarchy. Z ciałem Batorego złożono i myśl owéj krucyaty do grobu.

Pamiętali o niéj tylko wspólnicy dziejowéj pracy Stefana; Zamojski przechowywał starannie plany królewskie i powoływał się na nie, gdy układano ligę przeciw Turkom w r. 1596, wspominał o nich także i Żółkiewski, ale brakło mistrza, który by pomysł genialny w czyn zamienić potrafił. Słaba ręka Wazów nie mogła podnieść miecza, ukutego potężną dłonią Stefana a Krzysztof Warszewicki (2) porównał trafnie Batorego z Bolesławem Chrobrym. Oba zeszli bezpotomnie ze świata, bo nie zostawili spadkobierców swojéj myśli dziejowéj.

---

(1) Porów. Wywiedzenie ludu na turecką wojnę, według obrachowania króla imci sławnéj pamięci Stefana. Albertrandy: Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego. (Wyd. Turow.) str. 478.

(2) Christophori Warsewicii in obitum Stephani I Regis Pol. oratio funebris p. 845.

August Sokołowski.





SPRAWY EKONOMICZNE.

II.

Rok 1885.

Przegląd prawodawstwa finansowego w roku zeszłym. — Likwidacya Banku polskiego. Skutki reformy bankowéj w Królestwie Polskiém. — Kredyt wekslowy dla rolników. Zniesienie wydziału finansów Królestwa Polskiego. — Inspektorowie podatkowi. — Doniosłość téj nowéj instytucyi. — Dotychczasowy system podatkowy w Rosyi. — Odsetne i składka przemysłowo-handlowa. — Podatek dochodowy od kapitałów. — Epidemia kuponowa. — Wyzysk klas pracujących. — Środki prawodawcze przeciwko obiegowi kuponów. — Zniesienie podusznego. — Poduszne na Litwie i Rusi. — Dwumilionowa kontrybucya na rzecz włościan cesarstwa. — Akcyza od trunków. — Dochody z akcyzy od napojów w Królestwie Polskiém, na Litwie i Rusi.—Przemytnictwo okowity.—Konsumcya spirytusu w Królestwie Polskiém, na Litwie i Rusi.—Straż akcyzna i graniczna.—Składy hurtowe. — Przepisy o handlu trunkami. — Liczba szynków i innych miejsc sprzedaży trunków. — Wojny celne. — Zmiany w taryfie.

Od czasów gorączki reformatorskiéj Milutyna, Czerkaskiego i Sołowjewa, żaden rok nie miał dla nas tak doniosłego znaczenia ekonomicznego jak ubiegły. Rok 1885 był ważnym i dla całego państwa, dla Rusi i Litwy, w mniejszym jednak bez porównania stopniu niż dla Królestwa Polskiego, już-to skutkiem geograficznego położenia kongresówki, już z przyczyny dalszéj niwelacyi i zacierania cech autonomicznych. Przypatrzmy się zatém bliżéj téj gorączkowéj działalności prawodawczéj w zakresie ekonomii w roku zeszłym.

Na pierwszém miejscu zaznaczyć musimy akt prawodawczy, orzekający *likwidacyą Banku Polskiego.* Zdaniem rady państwa w d. 15 czerwca r. z. zatwierdzoném postanowiono:

1) przekształcić Bank polski na kantor warszawski, a jego oddziały na oddziały Banku państwa;

2) utworzyć oddzielny rachunek likwidacyi Banku polskiego;

3) majątek ruchomy i nieruchomy Banku Polskiego poruczyć w zawiadywanie Bankowi państwa;

4) rozpocząć czynności w kantorze warszawskim i oddziałach zaraz po ukończeniu prac przygotowawczych;

5) kantor warszawski i oddziały spełniać mają operacye na zasadach oznaczonych dla kantorów i oddziałów Banku państwa z temi, pod względem warunków i sposobów operowania zmianami, jakie minister skarbu uzna za konieczne;

6) warszawskiemu kantorowi poruczyć: *a*) obowiązki Banku polskiego w zawiadywaniu długami Królestwa Polskiego, z wyjątkiem opłaty kuponów i wylosowanych papierów, za granicą, — *b*) udzielanie pożyczek na kupno machin rolniczych, — *c*) przyjmowanie depozytów obowiązkowych na dotychczasowych zasadach, z nadaniem ministrowi skarbu prawa zmiany tych zasad po porozumieniu się z odpowiedniemi władzami, — *d*) likwidacyą Banku polskiego i jego oddziałów, — *e*) kierownictwo urzędu loteryi;

7) urzędników Banku polskiego i jego oddziałów, którzy nie otrzymają nowego przeznaczenia, uważać za spadłych z etatu;

8) pozostawić ministrowi skarbu: *a*) zatwierdzenie czasowego etatu kantoru warszawskiego i oddziałów Banku państwa w Królestwie Polskiém, — *b*) wydatek powyższy zaspakajać z zysków Banku państwa, wyłączając koszta likwidacyi, które odnieść na rachunek likwidacyi Banku polskiego,— *c*) wydatki urzędu loteryi w granicach dotychczasowego etatu pokrywać z zysków loteryi.

Dziś, w obec faktów spełnionych, bezpożytecznèm byłoby rozpatrywanie przyczyn, skłaniających prawodawcę do likwidacyi instytucyi, która przez 58 lat tak pożytecznie spełniała misyę krzewienia rolnictwa, handlu i przemysłu narodowego. Natomiast zastanowimy się nad skutkami przemiany Banku polskiego na kantor warszawski i oddziały. Niejednokrotnie już zaznaczano, że z chwilą reformy włościańskiéj Bank polski rozpoczął nowy okres, likwidował operacye długoterminowe, a szybko rozwijał skup weksli krajowych. Operacya zaś skupowa w Banku polskim rdzennie się różni od takiejże czynności w Banku państwa. Nasza instytucya miała za cel o ile możności przychodzić z kredytem, choćby drobnym, bezpośrednio, gdy Bank państwa nie udziela drobniejszych kredytów i stara się mieć do czynienia tylko z firmami większemi. Widzimy to jasno, zestawiwszy operacyą skupową w obu tych instytucyach. I tak w r. 1882 skupiono:

w Banku państwa weksli. . . . 93.413 sztuk na sumę 178,168,608 rs.
„ polskim „ . . . . 123,371 „ „ „ 62,305,556 „

zatém w Banku pol. skupiono o 29,958 sztuk weksli więcéj, ale na sumę mniejszą o . . . . 115,863,052 rs. czyli średnia wysokość wekslu w Banku państwa wynosiła rs. 1907

kop. 32, w Banku polskim zaś tylko rs. 505 kop. 2. Dalej kredyty wekslowe, przez Bank polski udzielane, były przeważnie drobne, i tak liczba osób akredytowanych:

na sumę	do 2000 rs.	wynosiła	52%
„	„ od 2000—5000 rs. .	„	25%
„	„ wyżéj 5000 rs. . . .	„	23%

Zatém w Banku polskim większa połowa osób akredytowanych, korzystała z tak drobnego kredytu wekslowego, jakiego nie udziela Bank państwa. Ważną także różnicą było udzielanie rolnikom kredytu wekslowego. Większość oddziałów Banku polskiego winna istnienie swe operacyi skupowéj z rolnikami, gdy zaś Bank państwa zwykłych kredytów wekslowych nie udziela właścicielom ziemskim jako takim, to należy się spodziewać, że w niedalekiéj przyszłośc niektóre oddziały, utraciwszy grunt pod nogami, prawdopodobnie będą zlikwidowane. Wprawdzie Bank państwa udziela rolnikomi pożyczki na sola-weksle za zabezpieczeniem hypoteczném, lecz operacya ta w cesarstwie wydała rezultaty stosunkowo nader małoznaczne, gdyż do 13 grudnia r. z. przyznano ogółem tylko 381 kredytów na sumę 4,591,120 rubli.

Art. 56 ustawy kantorów Banku państwa głosi, że weksle nieoparte na czynnościach handlowych nie powinny być eskontowane. Co do rolników, to cyrkularz zarządzającego Bankiem państwa wyraźnie tymże odmawia kredytów (1). Weksli opartych na spełnionych czynnościach handlowych w Królestwie Polskiém jest nader mało, sądzimy, że z ogólnego portfelu instytucyi kredytowych zaledwie trzecią część stanowią weksle oparte na istotnie spełnionych czynnościach handlowych, gdy reszta weksli jest albo wprost *robioną*, albo też mającą tylko *pozory* weksli handlowych. Pochodzi to nie z braku operacyi handlowych, ale z obyczajów kupiectwa naszego, nader niechętnie regulującego rachunki za pośrednictwem weksli. Stąd to pochodzi, że np. hurtownik A. sprzedawszy detalistom towarów za 50,000 rs. jedynie na kwitki lub częściowe zaliczenia, nie ma w swych ręku weksli (które w tym razie byłyby istotnie handlowemi) i któreby mógł eskontować. Jeżeli więc A. sam jest w potrzebie, to nie mając weksli na sprzedany towar, zmuszony jest *robić weksle*, aby otrzymać potrzebny kapitał obrotowy. Z drugiéj strony niekoniecznie weksel nieoparty na spełnionéj czynności handlowéj nosi cechę zwykłego rewersu, gdyż np. B. pożycza od A. 1000 rubli i wystawia

---

(1) Ziemlewładielcy nie wieduszczije prawilnoj torgowli i zanimajuszczijesia tolko sielskim chozjajstwom, nie mogut, kromie rjedkich iskluczenij predstawit k uczetu objazatielstwa proistiekajuszczija z diejstwitielnych torgowych sdiełok.

na takowe weksel, lecz w dalszym ciągu tenże A. reguluje swe rachunki z hurtownikiem C. wekslem p. B. i t. d., więc weksel powyższy jakkolwiek powstał z czynności niehandlowych, to jednak późniéj przez indossa nabrał cechy papieru istotnie handlowego.

Z powyższego widzimy, jak szerokiemi poglądami kierował się Bank polski i jak wielka pod tym względem zachodzi różnica w przepisach Banku państwa. Dlatego téż należy przewidywać, że chwila zniesienia Banku polskiego będzie początkiem przesilenia finansowego w Królestwie, raz z przyczyny odmówienia kredytów drobnych większéj części osób akredytowanych, a powtóre z przyczyny zamknięcia skarbca przed rolnikami, na których, jak powiedzieliśmy, większość oddziałów Banku polskiego opierała swoją egzystencyą.

Ze zniesieniem autonomicznego zarządu skarbowego w Królestwie utworzono w ministeryum skarbu „*Wydział finansów Królestwa Polskiego.*“ W dalszym ciągu systemu niwelacyjnego postanowieniem rady państwa w d. 9 stycznia r. z. zatwierdzoném zdecydowano między innemi:

1) znieść wydział finansów Królestwa polskiego, oraz czasowe wydziały w izbach skarbowych;

2) zarządy leśne okręgowe w Królestwie polskiém przekształcić w okręgowe zarządy dóbr państwa;

3) rozpatrywane w powyższych władzach sprawy: *a*) o kapitałach i annuitach,—*b*) o propinacyi na ziemiach włościańskich, majątkach skarbowych, prywatnych, instytutowych, majorackich,— *c*) dotyczące osad karczmarskich, — *d*) o pensyach emerytalnych, oraz *e*) dotyczące dochodów od różnych kapitałów pozostawić w zawiadywaniu ministeryum skarbu i izb skarbowych. Pozostałe zaś sprawy dotyczące majątku skarbowego i majoratów przekazać ministeryum dóbr państwa. Powyższe postanowienie weszło w życie w dniu 13 stycznia r. z.

Ustanowienie w d. 12 maja r. z. urzędów *Inspektorów podatkowych* jest nader doniosłą reformą w systemie administracyi finansowéj. Inspektorzy podatkowi w liczbie 500 podlegają władzy izb skarbowych z obowiązkiem stałego nadzoru nad prawidłowym handlem, uczestniczenia w rewizyach handlu, przewodniczenia w powiatowych urzędach podatkowych, oraz współdziałania w ujawnieniu dochodu i wartości mienia podlegającego opodatkowaniu.

Dotąd zarząd podatkowy w guberniach koncentruje się w izbach skarbowych, które ze względu na system podatkowy odpowiadały swemu przeznaczeniu. W obecnym jednak czasie dokonywająca się stopniowo reforma finansowa, jak: zniesienie podusznego i zaprowadzenie nowych podatków od dochodu z kapitałów, od-

setnego i składki przemysłowo-handlowéj, oraz opłat od spadków, wskazała na niedostatki dotychczasowego systemu administracyi skarbowéj. Przedewszystkiém zauważono, że w zakres obowiązków izb skarbowych wchodzi tyle i tak różnorodnych spraw, że niepodobieństwem jest, aby z równą korzyścią skarbu i opodatkowanych mogły być załatwione. Przytém, wyżéj wspomniane nowe podatki wymagają organów więcéj przygotowanych i bliżéj obeznanych z miejscowemi warunkami, słowem przekonano się o konieczności decentralizacyi spraw załatwianych przez izby skarbowe. Należało stworzyć powiatowe lub okręgowe samodzielne urzędy podatkowe, lecz znowu system ten wymagał znacznego zwiększenia wydatków na administracyę skarbową, oraz wielkiego kontyngensu urzędników z wyższém wykształceniem i specyalnie uzdolnionych, którego właśnie ministeryum skarbu z kadrów swoich wytworzyć nie mogło. Jako więc formę przechodnią postanowiono ograniczyć się na ustanowieniu 500 inspektorów podatkowych na przeciąg czasu 2—3 lat, po upływie którego istnieje zamiar sformowania stałych i kompletnych urzędów podatkowych.

Instytucya inspektorów podatkowych jest nader ważną, będąc bowiem rozrzuconą po całém terytoryum państwa, stoi w bliskiém zetknięciu z opodatkowaną ludnością, śledzi za prawidłowym poborem wszelkich wpływów do skarbu. za handlem i przemysłem, oraz ekonomicznem położeniem danéj miejscowości. Słowem inspektorzy winni być źródłem wiadomości pewnych, ścisłych i we właściwym czasie komunikowanych odpowiednim organom skarbowym. W celu bliższego określenia obowiązków inspektorów ministeryum skarbu ułożyło szczegółowe instrukcye (nakazy) dla gubernii cesarstwa, dla gubernii nadbaltyckich oraz Królestwa Polskiego. W téj ostatniéj instrukcyi z d. 14 listopada r. z. czytamy między innemi, że obowiązkiem inspektorów podatkowych jest: 1) aby wszelkie grunta podległe podatkom dworskim, włościańskim i z osad były opodatkowane; 2) przekonać się o istotnéj wartości i dochodzie ziemi w jego uczątsku; 3) zawiadamiać bezzwłocznie sędziego pokoju gminnego, lub inny odpowiedni organ o wakującym spadku podległym opodatkowaniu; 4) przewodniczyć w powiatowych urzędach podatkowych dla rozdziału składki przemysłowo-handlowéj; 5) czuwać nad prawidłowém prowadzeniem handlu; 6) przestrzegać aby w powierzonym mu uczątsku nieściągano podatków niedozwolonych lub nieustanowionych przez odpowiednie organa prawodawcze; 7) dopełniać niespodziewanych rewizyi kas skarbowych i 8) najpóźniéj w d. 13 lutego dostarczyć izbie skarbowéj sprawozdanie z włożonych na niego obowiązków. To zdanie sprawy winno obejmować *résumé* za rok

zeszły o sile podatkowéj ucząstku, wiadomości o zasadach rozdziału podatków skarbowych, gminnych i wiejskich, o serwitutach, o liczbie i sposobie utrzymania włościan bezrolnych, o stanie odłużenia majątków dworskich i t. p. Z powyższego widzimy, jak nader ważne obowiązki ciążą na inspektorach podatkowych i jak doniosłego znaczenia pod względem ekonomicznym mają być ich roczne sprawozdania. Spełnienie tych obowiązków wymaga prócz odpowiedniéj praktyki, wyższego wykształcenia, to też w liczbie nowo mianowanych inspektorów podatkowych znajdujemy bardzo znaczny odsetek inteligencyi mającéj uniwersyteckie wykształcenie.

Dotychczasowy system podatkowy w Rosyi polegał głównie na dochodzie z akcyzy i opodatkowaniu osobistem jednostek (liczby dusz), inne rodzaje podatków były albo stosunkowo do ogółu dochodów małoznaczne, albo też nader uciążliwe dla biedniejszéj ludności, jak np. zniesiony podatek od soli, lub nareszcie wiele przedsięwzięć i to często nader zyskownych, albo nie opłacało żadnych podatków, albo małoznaczne patentowe. Z objęciem ministeryum skarbu przez p. Bunge i zasileniem odpowiednich organów ludźmi z wyższém wykształceniem, obeznanych przytém z prawodawstwem finansowém na zachodzie, przedsięwzięto szereg reform zmierzających do sprawiedliwszego opodatkowania i ulżenia stanom zbyt obciążonym. Przedewszystkiém zwrócono uwagę na przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, dostarczające właścicielom często olbrzymie zyski, których zaledwie mikroskopijna część dostawała się skarbowi w formie opłat gildyjnych i t. p. Projektowane pierwotnie zwiększenie opłat gildyjnych nie prowadziło do celu, bo do jednéj gildyi należą najrozmaitsze przedsiębiorstwa, często nie mające nawet w przybliżeniu równomiernych dochodów. Słusznie też myśl podwyższenia opłat gildyjnych zaniechaną została.

Uznano, że system opodatkowania przedsiębiorstw stosowany w większości państw europejskich, polegający na opodatkowaniu dochodu, a nie rodzaju handlu lub przemysłu, odpowiedniejszym jest dla Rosyi od prostego podwyższenia gildyi. Lecz i tu napotkano na przeszkody, które ani dziś, ani w bliskiéj przyszłości przełamane nie będą. Brak statystyki, choć przybliżenie wiernéj, oraz brak poczucia obywatelskości w masach, są główną przyczyną, że składka przemysłowo-handlowa nierównomiernie obciąża przedsiębiorstwa.

Zdaniem rady państwa w d. 27 stycznia r. z. zatwierdzoném postanowiono opodatkowanie przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych w stosunku do ich czystych zysków. Przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe podzielić można na dwie kategorye: na stanowiące własność prywatną osobistą i na będące własnością spółek

akcyjnych, udziałowych, lub cząstkową (wspólną) pewnéj liczby osób. Otóż nowy podatek względnie do tego podzielono na dwa rodzaje i nazwano: odsetnem przemysłowo-handlowem i składką przemysłowo-handlową.

Odsetne przemysłowo-handlowe (dopołnitielnyj procentnyj sbor) ustanowiono w stosunku 3% od czystych zysków dla tych przedsiębiorstw, które na mocy swych ustaw, lub szczególnych przepisów, obowiązane są składać ministerium skarbu roczne swoje sprawozdania, a więc podlegają mu opłacające gildyą towarzystwa akcyjne, udziałowe, cząstkowe (po uczastkam), tak opłacające jak i nieopłacające akcyzę. Banki szlacheckie, miejskie i publiczne nowy podatek obciążać będzie tylko w tym razie, kiedy one opłacają gildyą. Słowem odsetne przemysłowo-handlowe dotyczy przedsiębiorstw, których dochód z przyczyny obowiązkowego składania sprawozdań nie może być utajony i w każdym razie przez odpowiedni organ rządowy sprawdzony.

Inaczéj rzecz się ma z przedsiębiorstwami prywatnemi, własnością osobistą będącemi i nieobowiązanemi do przedstawiania władzom skarbowym sprawozdań ze swoich operacyi. Tu już musiano przyjąć inny system polegający na oznaczeniu w budżecie ryczałtowéj sumy, rozdzielonéj na gubernie z tém, aby dalszy podział na powiaty i poszczególne przedsiębiorstwa należał do specyalnie utworzonych urzędów podatkowych, powiatowych i miejscowych (dla większych miast handlowych) przy współudziale samych opodatkowanych. Ten rodzaj podatku nazwano: *składką przemysłowo-handlową* (dopołnitielnyj razkładocznyj sbor), którą na pierwsze trzechlecie 1885—1887 r. oznaczono na Królestwo Polskie rs. 224000. Suma ryczałtowa składki przemysłowo-handlowéj nader oględnie została oznaczoną (z powodu braku pewniejszych danych o istotnych obrotach) i jak dotychczasowa praktyka wskazuje, zdaje się, że wogóle biorąc przedsiębiorstwa nią obłożone w pierwszém trzechleciu płacić będą średnio najwyżéj 1—1½% *istotnego* z nich dochodu. Dla tego téż spodziewać się należy, że po upływie tego terminu, gdy skarb za pośrednictwem inspektorów i urzędów podatkowych zbierze pewniejsze dane o zyskowności przedsiębiorstw, dochód z téj pozycyi budżetowéj co najmniéj zdwojony będzie.

Składka przemysłowo-handlowa ma podwójną doniosłość, raz jako pozycya budżetowa państwa będzie źródłem stosunkowo znacznego dochodu, a powtóre przyczyni się do ujawnienia obrotów handlowych i zebrania pewniejszych danych statystycznych. Wpłynie także bezwątpienia na ściślejsze prowadzenie ksiąg handlowych przedsiębiorstw, bo przepisy o powyższym podatku nadają rządo-

wym organom podatkowym możność sprawdzania danych dostarczanych przez kupców i przemysłowców. W celu osiągnięcia znaczniejszych rezultatów z tego przepisu, podaną została p. ministrowi skarbu myśl:

1) uzupełnienia obowiązującego prawodawstwa o księgach handlowych w tém, aby wszelkie firmy należące do 1 i 2 gildy i obowiązane były prowadzić i prawidłową buchalteryą, a niestosujący się do tego byli uważani jako działający na szkodę skarbu (skutkiem domniemywanego ukrywania istotnéj wysokości obrotów) i jako tacy mogli być karani drogą administracyjną; 2) aby karze powyższéj podlegali nietylko właściciele przedsiębierstw, ale i buchalterzy, kierujący rachunkowością. Środek ten, gdyby był wykonany, przyniósłby znaczną korzyść nietylko skarbowi i nauce, przez ujawnienie tych stron życia ekonomicznego, o których nie mamy dotąd pewniejszych, liczbowych danych, ale co najważniejsza choć częściowo zabezpieczałby wierzycieli przedsiębierstwa przed utajeniem mienia przez podstępnego dłużnika.

Odsetne i składka przemysłowo-handlowa stanowią jedną z gałęzi podatku dochodowego, od tak dawna zaprowadzonéj już w niektórych państwach, a głównie w Anglii. Dalszym krokiem na téj drodze ministerium skarbu, był nowy akt prawodawczy w d. 13 lipca r. z. sankcyonowany, którym zaprowadzono *podatek dochodowy od kapitałów* (sbór s dochodow od dienieżnych kapitałow). O podatku tym pisaliśmy już w listopadowym zeszycie „Ateneum,“ tu więc tylko dla całości obrazu prawodawstwa finansowego w r. z. wspomnimy, że główne zasady podatku dochodowego od kapitałów są następujące:

Skarb pobiera 5% od dochodu otrzymywanego: *a*) od papierów procentowych państwowych, publicznych i prywatnych wszelkich nazw, oraz *b*) od wkładów złożonych do banków państwowych, publicznych, akcyjnych i towarzystw wzajemnego kredytu. Podatkowi temu nie podlegają: *a*) dochód od papierów procentowych statutami tychże od wszelkich podatków uwolnionych, *b*) odsetki od wkładów wniesionych do kas oszczędności, towarzystw zaliczkowo-wkładowych, banków wiejskich, oraz dawne wkłady przelane do banku państwa po likwidacyi państwowych banków handlowych, *c*) dochody od akcyi i udziałów tych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, które na mocy prawa z d. 27 stycznia r. b. płacą już powyżéj opisane odsetne przemysłowo-handlowe. Podatek ten należy do najsluszniejszych, a zarazem stosunkowo znacznych i nader łatwo dających się pobierać. Podług obliczenia ministeryum winien on dać w roku bieżącym 9½—10 mil. rubli.

Od pewnego czasu *kupony od papierów publicznych* coraz więcéj przybierały cechy obiegowych znaków powierczych, zwiększając niejako tym sposobem ogólną sumę biletów kredytowych. Jak w państwach o kursie przymusowym znaki powiercze wypierają z obiegu monetę metaliczną, tak też i w tym razie kupony usuwały z rynków pieniężnych bilety kredytowe. Zwiększenie sumy znaków powierczych przez rozpowszechnienie kuponów nie mogło pozostać bez wpływu na kredyt państwowy, ale bez porównania większą wyrządziło krzywdę stosunkom handlowym, a zwłaszcza klasom pracującym—robotniczym. Epidemia kuponowa szczególniéj rozwinęła się w ostatniem pięcioleciu, najpierw w Moskwie i okolicach a następnie w Warszawie i w ogóle w miastach zamieszkałych przez izraelitów. Na tę epidemią zwrócono uwagę pierwotnie z powodu nadużyć, a nawet nazwijmy po imieniu, oszustw spełnianych przez licznych chlebodawców przy wypłacie robotnikom. Robotnicy otrzymywali zapłatę kuponami nie już ubiegłemi lub bieżącemi, ale często odciętemi za kilka lat naprzód. Naturalnie robotnik początkowo przyjmował je z pokorą, bo raz nie znał się na istotnéj wartości „kuponnoj bumażki,“ a powtóre czyż mógł okazać niezadowolenie chlebodawcy, który wobec panującego zastoju w przemyśle był panem jego położenia. Lecz gdy panowie fabrykanci i przedsiębiorcy nie zadawalniając się już puszczeniem w obieg kuponów z najbliższych półroczy, poczęli płacić kuponami odciętemi nierzadko za 5—10 lat naprzód, a robotnik jeszcze częściéj tracił na zmianie 25 a nawet 50%, miara cierpliwości się wyczerpała, a w niektórych stronach objawiło się tak silne wzburzenie przeciwko pracodawcom, że interwencya państwa szybka i stanowcza okazała się niezbędną. Początkowo wydano zakaz wypłacania robotnikom kuponami, których termin płatności nie nastąpił, następnie z d. 22 czerwca 1883 r. zabroniono wogóle używania kuponów przy wypłatach pod grozą kary pieniężnéj od 50—300 rubli. Lecz środki te nie pomogły, a z drugiéj strony tymczasem epidemia kuponowa ogarnęła już niemal cały stan kupiecki. Powstały formalne kantory wymiany i agentury trudniące się wyłącznie wymianą i przedażą kuponów. Nietylko handel, ale przemysł i rolnictwo srodze były tą niewinną na pozór epidemią dotknięte, zwłaszcza w chwilach zastoju, przesileń i upadku cen. Wtedy to niesumienny dłużnik proponował wierzycielowi spłatę należności kuponami odległemi, wtedy to i rolnik chcący spieniężyć zboże i fabrykant towar, zmuszony był przyjąć kupony czyli odzyskać dług, lub przedać towar za znacznie niższą sumę. Złe więc stawało się powszechném i ogarniało wszelkie stany, któremu należało zapobiedz i w istocie surowemi przepisami z dnia 23 czerwca r. z. zapobieżono.

Postanowienie rady państwa z powyższéj daty, między innemi: 1) wzbrania wypłat kuponami od papierów procentowych rządowych i prywatnych, których termin płatności nie upłynął, jak również wszelkich operacyi (sdiełok) kuponami późniejszemi od bieżących. 2) wzbrania przyjmowania na kaucye skarbowe, ziemskie i instytutowe papierów publicznych, przy których brak kuponów późniejszych od bieżących, 3) zakazuje wszelkim instytucyom kredytowym, kantorom bankierskim i wymiany dopełniać jakichkolwiek operacyi papierami procentowemi, przy których brak kuponów późniejszych od bieżących. Dla większéj mocy tych przepisów, jednocześnie zagrożono wykraczającym karami pieniężnemi nader wysokiemi, bo od 50—.,500 rubli, oraz zamknięciem ich kantorów na zawsze. Przepisy „kuponowe", jakkolwiek w całości wchodzą w życie dopiéro z d. 13 stycznia 1887 r., dziś już okazały się nader skuteczne, gdyż jakby za dotknięciem czarodziejskiéj różczki w wielu tych miejscowościach, gdzie niejako rzadkością numizmatyczną był bilet kredytowy, a obieg powierczy posługiwał się kuponami, obecnie kupony znikły z obiegu i stosunki normalne zostały przywrócone.

Wyżéj nadmieniliśmy, że system podatkowy w Rosyi polegał dotąd między innemi i na opodatkowaniu *osobistém* jednostek (liczbie dusz), które bez względu na zniesienie poddaństwa i reformę włościańską, przetrwało do ostatniéj chwili. *Poduszne* (podusznaja podat') było to jarzmo nie mniéj ciężkie od dawnéj niewoli, bo przykuwało człowieka do danéj gminy, która mu często jednak bytu choćby najnędzniejszego nie zapewniała. Podatek ten jeszcze w budżecie na 1881 rok oznaczono w sumie r. 61,401,796 z któréj przypadło:

Na Ruś i Litwę.

				norma z mieszczanina	norma z kmiecia
				kopiejek	
na gub.	wileńską	r.	643,703	od 1 do 37	od 108—244
„	kowieńską . . .	„	664,762	37	211—230
„	grodzieńską . . .	„	890,061	28—83	215—303
„	mińską	„	743,562	20—40	189—218
„	mohylewską . . .	„	581,684	14—38	168—214
„	witebską	„	513,069	18—25	152—213
„	wołyńską	„	1,252,042	30—61	185—260
„	podolską	„	1,800,868	80	242—272
„	kijowską	„	1,911,611	41—75	210—295
	razem	r.	9,012,362		

Poduszne należało znieść równocześnie z reformą włościańską, lecz względy fiskalne stały temu na przeszkodzie, nie łatwo było tak

znaczną pozycyę budżetu państwowego zastąpić dochodami z innych źródeł. W ostatnich latach dwukrotnie ograniczano ten podatek, lecz dopiero w d. 9 czerwca r. z. rada państwa postanowiła ostatecznie znieść poduszne, ten najwyraźniejszy atrybut dawnéj niewoli i poddaństwa. Z d. 1 stycznia zaprzestano pobierać poduszne od włościan wszelkich nazw, na których rozciągają się ukazy z d. 3 marca 1861 r. i z d. 8 lipca 1863 r., jak również od włościan gubernii nadbaltyckich i kozaków małorosyjskich. Ostatecznie zaś z przyszłym nowym rokiem (1887 r.) poduszne przestanie ciążyć i na pozostałych kategoryach kmieci, równocześnie zmienione będą zasady pobierania czynszu (od włościan państwowych), tak, aby po upływie 44 lat nastąpił zupełny wykup czynszu (obroku).

Zniesienie podatku podusznego jest nader ważne dla włościan, daje bowiem możność przeprowadzenia reformy paszportowéj, która w obec istnienia podusznego była wprost niemożliwą. Dla wiadomości czytelników nadmieniamy, że w cesarstwie przeważa własność włościańska wspólna, gdy w Królestwie Polskim, oraz na Litwie i Rusi nierównie więcéj ziemi kmiecéj jest własnością osobistą. Tam gdzie jest własność wspólna, mieszkańcy wsi są solidarnie odpowiedzialni z tytułu podatków przed skarbem, zatém wydalenie się włościanina ze wsi dla zarobku było połączone z wielu trudnościami, gdyż gmina odpowiadając za niego pod względem podatkowym, musiała się zabezpieczyć, że urlopowany jéj członek będzie w terminach płacić poduszne lub czynsz (obrok) i nie narazi gminy na straty. Dlatego też włościanin otrzymywał najczęściéj tylko miesięczny paszport (bilet), który również tylko miesiąc mógł przetrzymać. Zatém jeżeli stale pracował np. na fabryce, to winien był przynajmniéj sześć razy do roku odnawiać paszport, co oprócz wielu trudności formalnych, pociągało wysokie koszta: na stemple, przesyłkę pieniędzy i paszportu, oraz datki dla pisarzy itp. organów administracyi wiejskiéj. Ze zniesieniem podusznego i przeniesieniem podatku z osoby (duszy) na ziemię znikła przeszkoda wstrzymująca tak konieczną reformę paszportową, która też w niedalekiéj przyszłości ma być istotnie przeprowadzoną. O ile nam wiadomo reforma paszportowa polegać ma głównie na tém, że każdy mieszkaniec państwa zaopatrzony będzie w stały dokument legitymacyjny w formie książeczki, który obejmować będzie szczegółowe dane, konieczne dla skonstatowania tożsamości osoby.

Ubytek w budżecie ze zniesienia podusznego, zastąpiony będzie podwyżką akcyzy z 8 na 9 kopiejek od stopnia, oraz zwiększeniem czynszów włościan państwowych w przybliżeniu o 14 milionów rubli.

O ile ostatnia reforma bankowa dla naszych stosunków ekonomicznych ma znaczenie stanowczo ujemne, o tyle nowe rozporządzenia o *akcyzie od trunków* są nader doniosłéj wartości dla Królestwa polskiego i niewątpliwie sprowadza dodatnie rezultaty tak dla rolnictwa jak i ogółu ludności zwłaszcza wiejskiéj i robotniczéj. Nowe przepisy dotyczą; *a*) przemysłu gorzelnianego, *b*) przemytnictwa i *c*) handlu trunkami. Przypominamy czytelnikom, że dochód z akcyzy od napojów (*pitiejnyj dochod*) stanowi dotąd podstawę budżetu państwowego, skutkiem czego ministerium finansów było w trudném położeniu, niejako między Scyllą i Charybdą, aby wspierając przemysł i krzewiąc wstrzemięźliwość nie nadwyrężyć jednocześnie nowemi przepisami równowagi budżetowéj i tak już zwichniętéj niedoborami skutkiem ogólnego zastoju w rolnictwie, przemyśle i handlu. Akcyza od trunków dała skarbowi państwa w r. 1884, 243,845,200 rubli, mniéj o 6,401,680 rubli od zamierzenia budżetowego na tenże rok; z sumy téj przypada:

I. Na Królestwo Polskie.

	Akcyza		patentowe i kary	propinacyi	Razem
	od spirytusu i wódek	piwa, miodu i porteru			
na gub. warszawską . . .	4,063,508	548,217	350,464	59,470	5,021,659
„ piotrkowską . . .	1,430,982	152,859	146,876	38,557	1,769,274
„ lubelską	1,323,843	93,178	96,499	72,985	1,586,505
„ siedlecką	1,269,551	52,874	71,352	55,737	1,449,514
„ kaliską.	1,016,458	44,228	87,183	42,091	1,189,960
„ radomską. . . .	733,359	70,722	69,520	40,605	914,206
„ kielecką	706,023	33,751	60,534	20,688	820,996
„ łomżyńską . . .	529,546	46,833	50,187	6,831	633,397
„ płocką	448,464	62,127	49,155	10,531	570,277
„ suwalską	331,320	33,940	55,055	18.742	439,057
Razem	11,853,054	1,138,729	1,036,825	366,237	14,394,845

II. Na Litwę i Ruś.

	od spirytusu i wódek	piwa, miodu i porteru	patentowe i kary	propinacyi	Razem
na gub. mińską	3,516,655	36,349	187,470	—	3,740,474
„ grodzieńską . . .	2,841,035	128 871	188,533	—	3,158,439
„ mohylewską . . .	2,863,410	24,969	152,103	—	3,040,482
„ witebską	2,716,606	80,371	200,284	—	2,997,261
„ wileńską	2,235,809	160,357	185,742	—	2,581,908
„ kowieńską . . .	1,381,371	134,296	166,116	—	1,681,783
„ kijowską	9,768,947	90,709	601,425	—	10,461,081
„ podolską	6,129,762	30,283	347,256	—	6.507,301
„ wołyńską	5,279,402	65,485	273 485	—	5,618 372
Razem	36.732,997	751,690	2,302,414	—	3[illegible],787,101

czyli ogółem osiągnięto z Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi w r. 1884 dochodu od trunków 54,181,946 rubli, co stanowi:

na jednego mieszkańca w Królestwie Polskiem r. 1 k. 94
„ „ na Litwie i Rusi „ 2 „ 72

Do 15 września 1866 r. Królestwo polskie miało oddzielne przepisy i urządzenia konsumcyjne, dopiéro od téj daty zaczęto wprowadzać porządki akcyzne obowiązujące w cesarstwie. Ukazem z d. 19 czerwca 1867 r. wysokość akcyzy w Królestwie oznaczono na 2½ kop. od stopnia podług Trallesa, czyli w ilości 2½ rubla od wiadra bezwodnego spirytusu. Normę tę kilkakrotnie zmieniano, tak, że już w d. 5 czerwca 1875 r. podniesiono do 5 rubli i zrównano z wysokością w cesarstwie. Ostatecznie w roku zeszłym, mianowicie w d. 30 maja rada państwa postanowiła: *a*) akcyzę od spirytusu i wódek podnieść o kopiejkę na stopniu, czyli do wysokości 9 rubli od wiadra spirytusu bezwodnego; *b*) czas trwania przeróbki (brożenja) zacieru nie powinien przenosić czterech dni; *c*) średnia tęgość wypędzonego spirytusu w ciągu dni 14 nie może być niższą od 70°; *d*) kupno aparatów kontrolujących, wraz z dostawą i ustawieniem, dokonywane będzie na rachunek skarbu; *e*) superatę oznaczono w następującym stosunku, mianowicie:

Odlicza się bez akcyzy na korzyść przemysłowca przy normie:

przy systemie:	niższéj	średniéj	wyższéj
przeróbki 4 dziennéj	2%	2½%	4%
„ 3 „	3%	3½%	7% z pierw. mil. stóp. 5% od pozostał. ilości

Jak wiadomo obecna podwyżka akcyzy wywołaną została nie ogólnemi potrzebami państwa, ale ostateczném zniesieniem podatku podusznego, który przecie w Królestwie polskiém nie miał miejsca. Dochód z akcyzy obciąża ogół mieszkańców, a głównie ludność wiejską jako najliczniejszą, spodziewać się więc należało, że w imię słuszności, akcyza w Królestwie polskiém albo nie będzie podniesioną, albo też ludność wiejska otrzyma ulgi analogiczne zniesieniu podusznego w cesarstwie. Ani jedno, ani drugie uwzględnione nie zostało, a że w r. 1884 wypędzono w Królestwie spirytusu 2.0,7,442 wiader, więc podniesienie akcyzy o rubla na wiadrze i niezrównoważenie dla naszych kmieci zniesienia podusznego, w cesarstwie, wygląda na dwumilionową naszą ofiarę coroczną na korzyść włościan cesarstwa. Wobec upadku rolnictwa i zatrważającego szerzenia się proletaryatu wiejskiego, wypadałoby odpowiednim organom społecznym podnieść ten fakt, celem wywołania poprawki mimowolnych błędów.

Równolegle z podwyżką akcyzy szerzyło się *przemytnictwo okowity* z Prus i Austryi, tak, że dziś wobec różnicy w cenie, która w Prusach jest trzy razy, a w Austryi 2½ razy niższą niż u nas, kontrabanda stanowi nader zyskowne rzemiosło dla ludności nadgranicznéj. Przemytnik przenosi zwykle w pęcherzach, lub blaszankach 1½ wiadra okowity, na czém zyskuje 3—5 rubli, nic więc dziwnego że

w szerokim pasie granicznym o robotnika trudno, bo któż chce w pocie czoła pracować za 30—50 kop. dziennie, mogąc bez trudu osiągnąć dziesięćkroć więcéj. To też demoralizacya w wysokim stopniu nad granicą się rozwinęła, pijaństwo, brak bezpieczeństwa publicznego i wszelkiego rodzaju występki z każdym niemal dniem rosły. Nie mniéj ujemne rezultaty sprowadziło przemytnictwo dla przemysłu gorzelnianego w Królestwie polskiém, który w ostatnich zwłaszcza latach nader szybko chylił się do upadku. I tak:

gdy w kamp. 1881/2 r. było czyn. gorzelni		457	z wytw. 3,023,927	wiad.
„ „ 1883/4	„ tylko	386	„ 2,077,442	„
zatém w ciągu dwóch lat ubyło		71 gorzelni		
a wytwórczość w tymże czasie zmniejszyła się o			946,485	wiader

dzięki prawie wyłącznie przemytnictwu. O wielkości przemytnictwa sądzić możemy z tego, że podczas gdy w r. 1884 każdy mieszkaniec: gub. petersburskiéj wypił 0,73 wiadra spirytusu bezwodnego, to;

I. W Królestwie Polskiem.

	wypito spirytusu:		na jednego mieszkańca:
	w i a d e r		
w gub. warszawskiéj	552,936		0,41
„ piotrkowskiéj	260,388		0,31
„ siedleckiéj	151,757		0,24
„ radomskiéj	139,402		0,21
„ lubelskiéj	161,408		0,18
„ kaliskiéj	107,991		0,13
„ łomżyńskiéj	64.568		0,11
„ kieleckiej.	66,135		0,10
„ płockiéj	57,543		0,10
„ suwalskiéj . . . . , .	56,120		0,09
Razem	1,618,248	wiader	0,21

II. Na Litwie i Rusi.

w gub. mohylewskiéj . . .	395,561		0,34
„ grodzieńskiéj	412,991		0,33
„ mińskiéj	493,937		0,31
„ witebskiéj	305,270		0,26
„ wileńskiéj	311,310		0.25
„ kowieńskiéj	241,597		0,16
„ podolskiéj	1,157,100		0,46
„ wołyńskiéj	803,246		0,38
„ kijowskiéj	807,217		0,35
Razem	4,928,229	wiader	0,34

Z powyższego widzimy, że im bliżéj granicy tém i mniejsza konsumpcya spirytusu krajowego podległego akcyzie, jako naturalne

następstwo przemytnictwa, które najbardziéj jest rozwinięte w gub. suwalskiéj, płockiéj, kieleckiéj i łomżyńskiéj. Sądząc z ilości wypitéj w guberni warszawskiéj, przypuszczać należy, że przemytnictwo dostarczało w ostatnich czasach 1,200,000—1,500,000 wiader spirytusu rocznie, przynosząc ubytku skarbowi przynajmniéj dziesięć milionów rubli i rujnując tak ważną dla naszego rolnictwa gałąź przemysłu. Na Litwie i Rusi przemytnictwem odznacza się święta Żmudź, a tajném pędzeniem wódki i nadużyciami w gorzelniach gubernia wileńska i witebska.

Na czele środków zmierzających do ukrócenia przemytnictwa stoi zwiększenie *straży karczemnéj*. Dawniéj na całéj rozciągłości granicy zachodniéj, to jest na długości 3,200 wiorst straż karczemną stanowiło 295 osób, gdy dziś na przestrzeni tylko 2,485 wiorst (od Połągi do Nowosielicy), taż straż liczy 2,003 osób, tj. prawie siedm razy więcéj. Również w roku zeszłym zwiększono straż graniczną o 65 oficerów i 5,782 niższych stopni, czyli ogółem zwiększenie straży wynosi około 8,000 osób, co uważamy za zupełnie wystarczające dla ukrócenia nadużyć. Drugą plagą gorzelnictwa naszego były *składy hurtowe* spirytusu i okowity w powiatach nadgranicznych, zwłaszcza w pasie granicznym od 21—49 wiorst, tam bowiem znajdujące się składy miały prawo wydawania świadectw na przewóz okowity. Słady te były najczęściéj fikcyjne, otwierane w celu jedynie legalizacyi kontrabandy (za pośrednictwem wydawania świadectw przewozowych), czego najlepszym dowodem ta okoliczność, że gdy w pierwszym pasie granicznym (do 21 wiorst) było składów okowity tylko 42 (nie mających prawa wydawania świadectw), to w drugim pasie było już składów 216, ale w nich najczęściéj znajdowało się dla utrzymania pozorów zaledwie po kilka wiader okowity. W celu ukrócenia tak jawnych nadużyć postanowiono, że z d. 1 stycznia r. b. składy hurtowe okowity mogą być otwierane tylko w miastach, w miasteczkach zaś i osadach tylko wtedy, gdy w odległości 25 wiorst niema ani jednéj gorzelni. W każdym razie w składzie winno się znajdować przynajmniéj 500 wiader okowity, a same składy opłacają zdwojone patentowe, tak, że gdy dawniéj oplata od składu hurtowego stosownie do klasy miejscowości wynosiła 50, 100 i 300 rubli, to dziś 100, 200 i 600 rubli. Przepisy niniejsze są nader ważne dla naszego gorzelnictwa, z jednéj bowiem strony mają wytępić przemytnictwo a z drugiéj dać gorzelniom możność bezpośredniéj cząstkowéj sprzedaży.

Jeżeli wyżéj wspomniane rozporządzenia o akcyzie i przemytnictwie miały na celu zwiększenie dochodów państwowych i podniesienie przemysłu gorzelnianego, to nowe *przepisy o handlu trunkami*

(prawiła o torgowlie kriepkimi napitkami) skierowane są głównie ku zmniejszeniu pijaństwa, które w niektórych stronach tak groźne przybrało rozmiary, że interwencya państwa stała się konieczną. Zapewne zapytasz, czytelniku, jakim sposobem może państwo dążyć do osiągnięcia jednocześnie dwóch tak wprost przeciwnych celów, t. j. zwiększyć dochody z akcyzy i zmniejszyć pijaństwo? Otóż na to odpowiemy, że powiększenie dochodów od trunków może iść równolegle z szerzeniem wstrzemięźliwości, pijaństwo bowiem a prawidłowa konsumcya trunków są to rzeczy różne. W każdém niemal z państw Europy ogólna konsumcya trunków jest znacznie wyższą niż w Rosyi, a jednak nigdzie pijaństwo nie jest tak silnie rozwinięte jak w cesarstwie. Przyczyną tego, że cudzoziemiec np. anglik, bawarczyk, francuz i t. d. pije codzień ale potrosze, uważając trunek za napój konieczny dla swego organizmu, gdy tymczasem jarosławiec, doniec i moskal pije wtedy, gdy ma pieniądze, a że to zjawisko w klasach najniższych jest rzadkie, zwykle w terminach otrzymania zapłaty, więc téż pije nad miarę, na zapój. Przytém wielkorosyanin świeże ma jeszcze wspomnienia o niedawnéj niewoli, kiedy był tylko „duszą", ocenioną na tyle to a tyle „ciełkowych" i kiedy to włościanin-mużyk czuł się człowiekiem tylko wtedy, gdy był „na pochmielje—wypiwszi." I dziś chociaż włościanin stał się obywatelem państwa, *de facto* jednak mając tylko „wolę", a często nie mając chleba, nierzadko jest niewolnikiem w nowéj formie jedynie. Wyzyskiwany przez fabrykanta i wogóle chlebodawcę, cieszy się dolą nie o wiele lepszą niż kiedy był „kriepostnym", i dziś téż tak jak dawniéj topi swoje „gorie" w kieliszku i czuje się wolnym, gdy ma wolę, gdy jest „wypiwszi." Zatém w Rosyi pijaństwo rozrosło się nie dlatego, żeby wiele pito trunków, ale dlatego, że stany najniższe niesystematycznie piją, uważając trunek nie za napój konieczny dla swego organizmu, ale za rozkosz, za środek pozwalający popuścić cugle swojéj szerokiéj naturze.

Skutkiem powyższego nowe przepisy o handlu trunkami nie zmierzają bynajmniéj do zmniejszenia użycia alkoholu, które nie jest wielkiém, bo ogólnie biorąc średnia dla całego państwa wynosi zaledwie 0,30 wiadra spirytusu na każdego mieszkańca, ale do uporządkowania handlu i zmuszenia ludności do systematycznéj konsumcyi trunków. Naturalnie zwrócono przedewszystkiém uwagę na szynki i karczmy, to jest na te handle cząstkowéj sprzedaży, które istotnie były niejako uprawnionemi jaskiniami wszelakich występków. Postanowiono tedy, że sprzedaż cząstkowa dla konsumcyi na miejscu może się odbywać tylko tam, gdzie konsumcya napojów może być połączoną ze spożywaniem pokarmów, zatém w traktyer-

niach, bufetach, zajazdach i wogóle różnego rodzaju jadłodajniach. Zniesienie więc szynku (kabaka) jest podstawą nowych przepisów o handlu trunkami. Dla łatwiejszego zrozumienia téj reformy nadmieniamy, że w 1884 r. było w całém państwie 155,163 miejsc rozmaitych kategoryi, w których odbywała się cząstkowa sprzedaż trunków. Ze zniesieniem szynku ministeryum skarbu przewiduje, że około 80,000 handlów trunkami będzie zamkniętych, tak, że w roku bieżącym liczba miejsc sprzedaży trunków zmniejszy się o połowę. Z powyższéj sumy 155,163 rozmaitego rodzaju handlów napojami przypada:

I. **Na Królestwo Polskie.**

	składy hurtowe	handle wódek (renskowyje pogreba)	jadłodajnie zajazdy bufety	bawarye	szynki karczmy	Razem	na 1 miejsce sprzedaży mieszkańców
na gub. piotrkowską . .	80	94	370	46	1,934	2,524	332
„ warszawską . .	86	275	707	301	2,296	3,667	365
„ radomską . . .	46	36	291	26	1,243	1,642	391
„ siedlecką . . .	39	34	158	44	1,237	1,512	416
„ lubelską . . .	68	65	219	95	1,492	1,939	444
„ kaliską	52	62	333	43	1,080	1,570	493
„ łomżyńską. . .	25	33	137	81	647	923	583
„ kielecką . . .	23	53	44	32	844	996	625
„ płocką	31	74	93	65	594	857	628
„ suwalską . . .	38	30	90	87	705	950	634
razem .	488	756	2,442	820	12,072	16,580	445

II. **Na Litwę i Ruś.**

	składy hurtowe	handle wódek (renskowyje pogreba)	jadłodajnie zajazdy bufety	bawarye	szynki karczmy	Razem	na 1 miejsce sprzedaży mieszkańców
na gub. witebską . . .	101	66	330	121	1,318	1,936	603
„ grodzieńską . .	92	56	188	204	1,439	1,979	630
„ wileńską . . .	72	74	149	275	1,339	1,909	631
„ mohylewską . .	61	94	122	23	1,291	1,591	720
„ kowieńską. . .	98	73	66	190	1,388	1,815	790
„ mińską	75	51	140	44	1,469	1,779	882
„ kijowską . . .	286	328	292	86	4,920	5,912	407
„ podolską . . .	205	255	124	91	3,397	4,072	559
„ wołyńską . . .	91	82	91	109	2,630	3,003	686
razem .	1,081	1,079	1,502	1,143	19,191	23,996	608

Powyższe tablice wskazują jak silnie jest rozwinięte szynkarstwo na ziemiach polskich, a zwłaszcza w gub. piotrkowskiéj, warszawskiéj, radomskiéj, oraz kijowskiéj. Na terytoryum Królestwa polskiego, Rusi i Litwy znajduje się 40,576 *patentowych* miejsc sprzedaży trunków, nie zapominajmy bowiem, że tajne karczmarstwo, zwłaszcza w Królestwie nie mniéj jest rozpowszechnione od prze-

mytnictwa. W 1884 r. odkryto 3,578 miejsc tajnego wyszynku w Królestwie, oraz 5,916 na Litwie i Rusi, a przecież to niewątpliwie tylko cząstka potajemnych szynków i karczem. Wobec zamknięcia szynków z d. 1 stycznia r. b. sprzedaż potajemna niewątpliwie znakomicie wzrośnie, a z nią wzrośnie i zło, któremu organa władzy publicznéj w całości nie zapobiegną, jeżeli społeczeństwo samo nie przyjdzie im z pomocą.

Co się tyczy nowych przepisów, to z początkiem r. b. handel trunkami dla konsumcyi na miejscu sprzedaży (raspiwocznaja prodaża) może być dopełniany tylko: *a*) w jadłodajniach, zajazdach i karczmach (przy traktach); *b*) w bawaryach (tylko piwo, miód i porter); *c*) na wystawach; *d*) stacyach pocztowych i dróg żelaznych, oraz handlach sprzedających wyłącznie rosyjskie wina. Sprzedaż na konsumcyą zewnętrzną (prodaża na wynos)—oprócz miejsc wyżéj wymienionych — dopełniać się będzie ze składów wódek, które prawodawstwo dzieli na cztery kategorye, stosownie do rodzaju i zakresu sprzedaży.

Nowe porządki w handlu trunkami wywołały radykalne zmiany w administracyi. I tak pozwolenie na otwarcie handlu trunkami (z wyjątkiem w miastach składów dla sprzedaży zewnętrznéj, oraz bawaryi) udziela w miastach rada miejska, a w innych miejscowościach powiatowy urząd do spraw trunkowych, w skład którego wchodzą marszałek szlachty jako prezydujący, oraz członek powiatowego zarządu ziemskiego, członek urzędu do spraw włościańskich, sędzia pokoju, powiatowy sprawnik i urzędnik akcyzy. Wyższą instancyą jest gubernialny urząd do spraw trunkowych pod prezydencyą gubernatora, złożony: z wice-gubernatora, gubernialnego marszałka szlachty, prokuratora, prezesów: izby skarbowéj, zarządu akcyzy i ziemskiego, oraz prezydenta miasta. Tam, gdzie niema marszałków szlachty, minister na jego miejsce powołuje obywatela ziemskiego, a w miejsce przedstawicieli zarządu ziemskiego (ziemskoj uprawy) gubernator mianuje członków również z pośród miejscowych właścicieli ziemskich.

Oto są główne rozporządzenia prawodawcze dotyczące przemysłu gorzelnianego, przemytnictwa i uporządkowania handlu trunkami. Nowe przepisy mają wprawdzie wiele stron słabych, pochodzących już to z bojaźni uszczuplenia dochodów skarbowych, już z saméj trudności przeprowadzenia tak wielkiéj i doniosłéj reformy, wogóle jednak biorąc, przyznać musimy, że są nader ważnym krokiem na drodze postępu. Reforma ta znacznych rezultatów dodatnich natychmiast wykazać nie może, gdyż na to potrzeba przynajmniéj kilku lat, aby i organa publiczne i samo społeczeństwo oswoiło

się z nowemi porządkami, tém więcéj, że praktyka najlepiéj wskaże w czém nowe urządzenia są niedostateczne i jakich zmian potrzebują. Jakkolwiek większość prasy uparcie złowrogo odzywa się o nowych przepisach, my jednak powtarzamy: nowe urządzenia akcyzne są nader doniosłego znaczenia dodatniego, *szczególniéj dla Królestwa polskiego.*

Rok zeszły ważnym jest również dla stosunków handlowych międzynarodowych z powodu *wojny celnéj*, tak zacięcie prowadzonéj przez niektóre państwa europejskie. Walka, którą od kilku lat podjęło i wytrwale toczy rosyjskie ministeryum skarbu, o ile sądzić możemy z taktyki, prowadzona jest w trojakim celu: fiskalnym — dla przysporzenia skarbowi dochodów, ochronnym—dla podźwignięcia przemysłu krajowego, oraz ogólno-państwowym — dla ograniczenia przywozu, a przez to zmniejszenia wypłat zagranicą i zrównoważenia bilansu międzynarodowego. Tak zaś inaugurowana polityka celna miałaby większe szansy powodzenia gdyby.... miała do czynienia z przeciwnikiem słabym, lękliwym. Ale niestety, główny przeciwnik—Niemcy nie uznały się pobitemi i odpłaciły pięknem za nadobne, odpowiadając na zmianę taryfy celnéj wprowadzeniem ceł zbożowych nader wysokich i niemniéj znaczną podwyżką wielu innych pozycyi taryfy. Czy więc główne cele walki taryfowéj zostały osiągnięte przez ministeryum skarbu, śmiemy powątpiewać, owszem jeden z nich został już nawet podsumowany i wykazał znaczny niedobór dochodu celnego. Bilans międzynarodowy nie polepszył się téż znaczniéj, bo jakkolwiek przywóz towarów był mniejszy w roku zeszłym, to z drugiéj strony i wywóz produktów surowych i rolniczych także znacznie zmalał, i tak:

gdy w pierwszych 9-u mies. 1884 r. wywóz z Rosyi za 410,207,000 r.
to „ „ „ 1885 „ „ „ tylko 360,077,000 „
zatém w ciągu 9-ciu miesięcy r. z. wywieziono mniéj o 50,130,000 r.

Co się tyczy trzeciego celu, t. j. ochrony przemysłu krajowego, to także wątpimy, aby ten cel jedynie drogą zakazów i obostrzeń celnych mógł być osiągnięty. Owszem mniemamy, że równie, a może i nierównie więcéj podźwignięciu industryi sprzyja zakładanie szkół specyalnych, muzeów, wystaw, tani kredyt, ułatwienie komunikacyi i t. p. aniżeli skwapliwe spełnianie życzeń fabrykantów, kierujących się najczęściéj względami egoistycznemi, nic wspólnego nie mającemi z ogólną pomyślnością państwa. Musimy się jednak zastrzedz, że wypowiadając powyższą opinię, bynajmniéj nie jesteśmy bezwzględnemi zwolennikami wolności handlu, owszem przyznajemy, że państwa słabo ekonomicznie rozwinięte muszą bronić swoich rynków przed przepełnieniem wyrobami zagranicznemi, lecz zara-

zem nie możemy usprawiedliwić téj orgii celnéj, która nietylko kancelarye zarzuciła tysiącami podań, ale i zabrała niektórym instytucyom społecznym tyle drogiego czasu, któryby z większym pożytkiem dla kraju miał być obrócony na rozpatrywanie żywotniejszych spraw kraju.

Zmiany w taryfie rozpoczęte zostały w roku zeszłym w d. 27-go stycznia podwyżką ceł:

od śledzi	do	22	kop.	zł.	od puda
„ win niemusujących w butelkach .	„	40	„	„	— butelki
„ „ „ w beczkach .	3 rs.	50	„	„	— puda
„ „ musujących.	1 „	25	„	„	— butelki
„ jedwabiu niefarbowanego . . .	16 „	—	„	„	— puda
„ „ farbowanego	32 „	—	„	„	— „
„ oliwy i tłuszczów roślinnych . .	2 „	20	„	„	— „
„ herbaty przywożonéj przez granicę europejską	21 „	—	„	„	— „
„ herbaty przywożonéj przez granicę azyatycką (Irkuck)	12 „	—	„	„	— „
„ herbaty kirpicznéj	2 „	—	„	„	— „

Powyższe cła miały charakter przeważnie fiskalny, to jest mający głównie na celu zwiększenie dochodów państwowych. Inny jednakże miał cel drugi akt prawodawczy z zakresu polityki celnéj z d. 31 marca r. z., ustanawiający cło w wysokości 50 kop. złot. od puda na machiny i narzędzia rolnicze. Tu zamiarem prawodawcy była ochrona przemysłu krajowego, lecz naszém zdaniem usiłowania te obecnie jeszcze skutku odnieść nie mogą. Fabrykacya machin i narzędzi rolniczych mogła się w państwie rozwinąć i bez opieki celnéj, że się jednak nie rozwinęła, to winna tu nie konkurencya zagraniczna, ale brak specyalizacyi fabryk. Obecne fabryki machin i narzędzi rolniczych nie uznają zasady podziału pracy i wyrabiają wszelkie rodzaje machin, co naturalnie pociąga za sobą brak wykończenia i niedostatek samych wyrobów gotowych. Gdyby dana fabryka zamiast wyrabiać lokomobile, młocarnie, młynki, pługi, sierpy i t. p. wyrabiała np. same tylko pługi i sierpy, to narzędzia te byłyby więcéj udoskonalone i byłoby ich zawsze podostatkiem gotowych. Tymczasem dziś rolnik potrzebując jakiéj maszyny prawie nigdy nie znajduje gotowéj w fabryce, że zaś nie zawsze może czekać, aż obstalunek będzie wykończony, więc często kupuje produkt zagraniczny, zwykle w odpowiednim wyborze będący na składzie. Z tych to powodów ustanowienie cła na machiny rolnicze uważamy za szkodliwe dla rolnictwa i za chybiony zamiar prawodawcy podźwignięcia téj

gałęzi przemysłu. Widzą to sami fabrykanci, lecz zamiast specyalizować się, zażądali niedawno podwyżki cła na machiny rolnicze do wysokości r. 1 k. 20 zł. od puda. Czy ten jednak apetyt trochę nie zawcześnie się objawił? Sądzimy, że dwa są sposoby podźwignięcia przemysłu żelazno-rolniczego: 1) specyalizowanie fabryk i 2) rozszerzenie, oraz wprowadzenie kredytu bankowego na kupno machin rolniczych.

W dalszym ciągu w d. 1 czerwca r. z. podwyższono cło na niektóre rudy, metale i wyroby z tychże, a między innemi:

	od puda		
od relsów żelaznych i stalowych do wysokości . .	do 50	kop.	zł.
„ od żelaza w płytach grubych 7 cali i więcéj . .	„ 60	„	„
„ miedzi w sztabach, opiłkach i t. p.	1 rs. 50	„	„
„ „ blachach i prętach	2 „ —	„	„
„ wyrobów z miedzi	4 „ —	„	„
„ naczyń żelaznych lanych emaliowanych . . .	„ 95	„	„
„ „ „ „ polerowanych . . .	1 „ 20	„	„
„ wyrobów żelaznych kotlarskich	1 „ 20	„	„
„ zamków i śrub	4 „ —	„	„
„ kos, sierpów, noży dla sieczkarni, nożyc owczarskich, grabi, łopat, wideł	1 „ 20	„	„
„ lokomobil, tendrów, maszyn parowych pożarn.	1 „ 20	„	„
„ parowozów	1 „ 40	„	„

W dalszym ciągu polityki celnéj w d. 15 czerwca r. b. nastąpiła ogólna niemal podwyżka cła od towarów przywożonych przez granicę europejską, jednych o 20%, a drugich o 10% wyżéj istniejących taryf, z wyłączeniem niektórych tylko przedmiotów. Prócz tego obłożono masę drzewną i inną do wyrobu papieru służącą po 20 kop. złot. od puda, cukier rafinowany przywożony do portów zakaukaskich po rub. 3, kop. 30 zł. od puda. Cło od herbaty przywożonéj przez Irkuck i Amur obniżono do 11 r. zł. od puda.

Od ogólnéj podwyżki ceł ministeryum skarbu nie oczekuje zwiększenia dochodów, spodziewa się jednak zmniejszenia przywozu towarów zagranicznych, a przez to poprawienia handlowego bilansu międzynarodowego, tak ważny wpływ wywierającego na kurs waluty rosyjskiéj. Dotychczasowe oczekiwania nie zawiodły, dochody bowiem celne dosyć znacznie zmniejszyły się w r. z. My sądzimy, że departament celny ministeryum skarbu ma obecnie nader ważne zadanie, którego spełnienie może znacznie zwiększyć dochody celne—bez podwyżki ceł. Zadanie to polega na ściślejszém klasyfikowaniu towarów, aby dany przedmiot podlegał rzeczywistéj opłacie

taryfą wskazanéj, a nie innéj analogicznéj — niższéj. Ścisła, a zarazem sprawiedliwa klasyfikacya towarów wymaga specyalnych przygotowań, których zwykli urzędnicy komory posiadać nie mogą, zatém nader pożądaném byłoby, aby element urzędniczy z wyższém techniczném i wogóle specyalném wykształceniem silniéj niż dotąd był reprezentowany w wydziale celnym. Środek ten w połączeniu ze stałym na miejscu nadzorem delegatów kontroli państwa, niewątpliwie więcéj przysporzy państwu dochodów, aniżeli tak częste zmiany taryfy, które nie przynosząc państwu korzyści, wywołują tylko represalia ze stron państw interesowanych i jak dla nas odbijają się na najważniejszym dziale pracy ekonomicznéj — na krajowém rolnictwie.

(d. n.) *Leon Iwanicki.*





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Rozmowy o dawnych dziejach przez Ernesta Sulimczyka Swieżawskiego. Warszawa, Paprocki, 1886, 8-a str. X i 418.

Podziwiać trzeba mistrzowstwo, z jakiem p. Swieżawski niezwykłą obfitość wątpliwéj wartości paradoksów zgromadził na trzech stronach przedmowy. „Historya—to grób... Ten, kto się w dzieje zapuszcza, jak Dante nosi znamię ogniów i widoków podziemnych na twarzy, w ogorzalszém licu, w smętniejszym wzroku... Laur czy róża, *już* uszczknione, nie są bez goryczy... Wyklęto Chama, że odkrył upadek ojca ze śmiechem. Historyk także ze śmiechem spisuje upadki przeszłości, ale chyba to śmiech goryczy. Cham oszalał, oszalał i Rejtan—a jakież obu podobieństwo i różnica!... Umysł i serce, rozanielone jednostronnie, łacnie się rozpiekla.“ Przedarłszy się przez lijany niezawsze ożywionych sensem frazesów, dowiadujemy się w końcu, że autor nie pisał książki dla dzieci; że formy dyalogowéj użył dla ugrupowania zdarzeń „w historyozoficzne formuły,“ dla zszeregowania ich „w pewne wyraziste, mówiące swą treścią i doniosłością logiczne antecedencye, konsekwencye.“ Trudno z panem Swieżawskim się zgodzić, żeby przyjęty w dziełach historycznych tok opowiadania nie wystarczał do nadania „faktom objektywnym właściwéj fizyognomii i doniosłości;“ śmiemy podejrzywać, że formy dyalogowéj użył raczéj dla osłonięcia pewnych właściwości swego umysłu, tak jaskrawo ujawnionych w pracach dawniejszych. Powinszowalibyśmy autorowi wynalezienia odpowiedniéj dla siebie formy, gdyby chaotyczność, jaką na każdéj stronie spotykamy w *Rozmowach,* nie usposabiała pessymistycznie i nie budziła wątpliwości, czy p. Swieżawski zdoła kiedykolwiek w jakikolwiek sposób niesfor-

ną loikę swoją okiełznać. Forma dyalogowa nie uwalnia od ładu, nastręcza zaś większe, niż zwykły tok opowiadania, w porządkowaniu faktów trudności, którym chaotyczny dziejopis podołać nie umiał. Twierdzimy, że podołać nie umiał i nie mógł, nie mamy bowiem zasady przypuszczać, że nie chciał. Tylko brakiem wszelkiego poczucia ładu wytłómaczyć możemy uszeregowanie następujących pytań dwunastu:

291. Jakie są obyczaje i zwyczaje za Jagiełły i synów jego?—292. Jaka była oświata w XV wieku?—293. Jakie są szkoły w XV wieku?—294. Jakie są dochody skarbu państwa?—295. Jakie są budowle w XV w. i mieszkania wewnątrz?—296. Jakie były stroje w XV wieku?—297. Jakie są ceny w XV wieku?—298. Jakie było wojsko w XV wieku?—299. Jakie sztuki kwitły w XV wieku?—300. Jakie były komunikacye w XV wieku?—301. Jaki jest handel i przemysł w XV wieku?—302. Jakie było gospodarstwo w XV wieku?

Pisarz dbały o systematyczność ustawiłby pytania powyższe w sposób zupełnie inny i umiałby się usprawiedliwić, przyjmując porządek np. taki: 302, 300, 301, 297, 294, 298, 293, 292, 299, 295, 296, 291.

Nie będziemy więcéj dowodów chaotyczności przytaczać, zaznaczamy tylko, że p. Swieżawski pomiędzy sprawy szkolne wplata palestrę (p. 359. 360, 361, 362); po umeblowaniu mieszkania rozprawia o budowniczych (p. 365, 366), pożywienie zestawia z językoznawstwem (p. 376, 377). W odpowiedziach znajdujemy szczegóły, żadnego niemające związku z pytaniem. W odpowiedzi na pytanie (291): jakie są obyczaje i zwyczaje za Jagiełły? czytamy o zbrodniach, procedurze sądowéj i karach, a w końcu i o têm, że „Michał Lasocki, starosta łęczycki, siedział w wieży krakowskiéj.“ Na pytanie (357): z czego szlachta rzeczypospolitéj w XVI w. godna uwagi pod względem fizycznym? znajdujemy w odpowiedzi wiadomości, że... „nazwiska tworzą z nazw majątków i z ich zmianą zmieniają.“ Pod innêm (246): jakie były mieszkania? czytamy szczegół, że „z Polski Karol IV cesarz do budowy kościoła św. Wita wezwał Piotra, syna Henryka Ajlera budowniczego.“ Rozwiązanie pytania 204 umieścił autor dopiero w odpowiedzi 205. Dopełniają chaotyczności częste powtarzania się: o Modrzewskim jedno i to samo pisze autor dwa razy (p. 345. 361); podobnież o języku w XVI wieku (p. 330, 377), o rzeźbiarzach (p. 367, 462), kształceniu się kobiet (p. 354, 359) itp.

Treść *Rozmów* jest równie niespokojną, jak układ, cechuje ją zaś: 1) niejasność, zacierająca niekiedy sens wszelki. 2) brak krytyki rozsądnéj, 3) nierycerskie podpełzywanie pod osobistości histo-

ryczne w celu rażenia ich jadem i złością. Pomijając niejasności, przytoczymy okazowy ustęp bez sensu:

P. 93. Jakie są ślady obyczajów z czasów Krzywoustego?

O. Ślubów nie dają w kościele, a rzadko przy poświęceniu kościołów, gdyż zdarzają się obrzędowe bójki między drużynami państwa młodych, a czasami para młoda umiera niedługo i dający ślub przy konsekracyi kościoła...

Brak krytycyzmu wynika z prawdziwie chorobliwego pochopu do uogólnień, niepopartych odpowiednią ilością faktów sprawdzonych. Dowiedział się autor, że „St. Warszycki z Dankowa, kasztelan krakowski, gdy mu żona ostro odpowiadała, kazał ją wysiec rózgami do krwi hajdukowi“ (p. 447), i szczegół podobny poczytuje za ilustracyą stosunków małżeńskich za Wazów. Takiż sam robi użytek z wiadomostki, że „Marcin Zborowski bijał prokuratorów kijami“ (p. 354). Koroną krytycyzmu p. Swieżawskiego jest odpowiedź na pytanie (356) o zwyczajach w w. XVI. „Talerze—powiada—przy jedzeniu obcierano chleba kromką, polą ubrania lub wiechciem z butów... Przed i pod koniec obiadu podawano wodę do obmycia rąk i ręcznik.“ W powyższym ustępie jest sprzeczność, stosowanie bowiem po obiedzie wody i ręcznika z użyciem wiechcia pogodzić się nie da.

Jest p. Swieżawski osobistym nieprzyjacielem Chrobrego i pasyę ma wielką przypinać łatki wielkościom. Bolesławowi I odmawia tytułów: Chrobry, Wielki; nazywa go Magnusem, Wielisławem. W charakterystyce tego mocarza przeszedł autor samego siebie.

P. 71. Jakim był Bolesław I za młodu osobiście?

O. Dużo rozumiał o swéj potędze, to téż pogardzając obroną od Niemców (których jeszcze powolność wyśmiewał: „przypełźliby, choćby byli żabami“), wstydem żart okupił, bo musiał uciekać z Pragi... Dużo pijał, przez to tak był otyły, że konie pod nim pękały. Rusini zwali go za to „wieprzem“, a Niemcy „Trink-bier“—piwosz, skąd Polacy przerobili Chrobry (waleczny). Żenił się często i żony łatwo odpędzał...

Razi p. Swieżawskiego blask, bijący od Kazimierza W., więc go zaćmić usiłuje zarzutem niesłowności, a nawet oddzielne sformułował pytanie (218): „Jaki jest jeszcze inny dowód chciwości króla?“ Nie wyszedł téż cało Batory: po określeniu dążności jego, zapytuje zaraz autor (289): „czy odwdzięczył się... Zborowskim za obiór?“

Że „o cnotach, jako skrytych, mniéj można co powiedzieć“ (str. 315), lubuje się przeto autor w przytaczaniu rozmaitych bezeceństw. Zdumienie budzi odpowiedź na pytanie (448); jaki jest stosunek pa-

nów do chłopów? „Jest, odpowiada p. Swieżawski, dosyć objawów *pocieszających*“ i na poparcie tego opisuje, jak Warszycki bił chłopów kijami, a Zieliński przykuwał do pala; jak ich zabijano, topiono. W odpowiedzi na pytanie (522): „Jakie są osobistości niezwykłe za Augusta III,“ ustawia w jednym szeregu opojów i waryatów z autorami, przyczém nie omieszkał wysunąć pierwszych na plan naczelny; o biskupie poznańskim, Ciołku, nie umiał nic lepszego powiedzićć, jak że „pisał złośliwe wiersze na trzecią żonę Jagiełły, jego osłem a ją świnią prośną zowiąc“ (str. 166).

Sadząc się na oryginalność poglądów, popełnia autor śmieszności. Co trzymać o zdaniu, że Zygmunt August „zakończył małżeństwem już spolszczałego rodu Jagiellonów z Radziwiłłami unię, zaczętą przez ślub Jagiełły z Jadwigą“? (str. 231); że wielcy panowie popierali reformacyą, bo „jeszcze od jednéj grozy tj. od czci Kościoła i Boga uwalniała“ (str. 218); że żenienie się księży było objawem demoralizacyi (str. 230); że szlachta w XVI w. „bardzo jest silna, je dużo i tłusto, długo żyje, dużo miewa dzieci, co świadczy o przewadze ciała i życia czysto zmysłowego nad pracą duchową, umysłową“ (str. 239); że z lekceważeniem duchowieństwa w XVII w. „jaskrawo sprzecza się spalenie urzędowe za ateizm Kazim. Łyszczyńskiego“ (str. 352).

Chwali się p. Swieżawskiemu, że wprowadza do dziejów wiadomości o sztuce, szkoda jednak, że na ogólnikach tylko poprzestał. Niczego nie uczy fakt istnienia w XIV w. kapeli królewskiéj; żadnego nie nabieramy wyobrażenia o urządzeniu mieszkań ze wzmianek o zamku krakowskim i o herbach na ścianach komnat magnata (str. 148, 149). Nie wynagradzają tego dokonane przez p. Swieżawskiego odkrycia historyczne w materyi botaniki i zoologii, trudno bowiem przeceniać takie wiadomości, jak, że w Polsce rosły brzosty, wierzby, dęby i lipy; że hodowano kury, świnie itp. Dla p. Swieżawskiego wszystko jest ważném, co mieszczą źródła; gotówby dyplomatami popierać istnienie człowieka. Usiłuje też autor pojedyncze szczegóły w nowém przedstawić świetle, nie podaje jednak motywów i nie cytuje źródeł. Trzebaby dowieść, że rumak Bolesława Śmiałego poczytywany był za konia bożka pogańskiego (str. 43); że akt z r. 1374, zwany pospolicie koszyckim, jest właściwie korczyńskim (str. 142); że pierwsze *liberum veto* wyrzeczono w stuleciu XIV (str. 144); że wiele dat dzisiejsi dziejopisowie podają błędnie. Nieumotywowanym poprawkom autora trudno wierzyć tém bardziéj, że fakta pewne, nie potrzebujące sprostowań, podaje błędnie. Nie w. 1792 sejm wielki zasilono drugim posłów kompletem (str. 400); niewszystkie, wskazane przez p. Swieżawskiego, dzieła wyszły z konkursów To-

warzystwa do ksiąg elementarnych (str. 399); boju pod Guzowem nie toczono w r. 1617 (str. 278); nie w r. 1568 umarł Mikołaj Radziwiłł Czarny (str. 235) i t. p. i t p. Nie szanuje też p. Swieżawski języka, chociaż z wiedzą lingwistyczną popisuje się chętnie. Naganne są wyrażenia: „słychac o Jędrzeju i Lwie II, będących w zależności od Tatarów, *którzy*... zeszli z tego świata 1324“ (str. 135); „stan włościański i mieszczański... *są pozbawieni*“ praw (str. 153); zakonnice *„onych* (dziewczęta) kształciły“ (str. 332). Systematycznie też p. Swieżawski kobiety *żeni* (str. 158, r64).

Nic pochlebnego o książce p. Swieżawskiego, rzetelnego zresztą znawcy źródeł dziejowych, nie umiemy powiedzieć. Potworna pod względem loiki, konstrukcyi i techniki pisarskiéj, przez zawartość wewnętrzną raz pocieszna, to znowu wstrętna, najpobłażliwszego czytelnika zadowolnić nie może.

Wl. Smoleński.

═ **Nasze stosunki społeczno-polityczne,** *z życia naszkicował jako przyczynek do ich historyi i naprawy dr. Seweryn Robiński.* (Berlin 1885. Księg. Stuhra. 8⁰, str. 216).— Jeden z naszych korespondentów takie nam z powodu tej książki nadesłał uwagi: „Wszystkie dziennikarstwa europejskie mają swe *enfants terribles.* Czemużby i polskie dziennikarstwo takowych mieć nie miało? A do tego rodzaju, bądź-co-bądź, zaliczyć trzeba d-ra S. Robińskiego. Pisma, które od wielu lat nadsyła wszystkim redakcyom, walczą pod tym względem chyba tylko jeszcze o lepsze z reskryptami pewnego hrabiego, królującego na gościnnéj ziemi helweckiéj. O ile nam wiadomo, jest d-r S. R. lekarzem i zacnym obywatelem, ale chorującym na polityka. Dziś już nie ulega bowiem wątpliwości, że polityka z właściwego sobie pola przeszła u nas na pole patologiczne. Tyle *wogóle* o autorze. Po szczególe niechaj sam—z broszury swéj—opowie kim jest. — Jest on lekarzem w Berlinie, zajętym pracami swego zawodu, pracami naukowemi (przy mikroskopie). Prace te nie pozwalają mu brać udziału w sprawach publicznych w téj mierze, jakby pragnął. Czytując gazety, zna on jak nikt inny stosunki między Polakami w Berlinie, zajmuje się jak nikt inny Towarzystwami polskiemi w Berlinie i przez 20 lat w nich pracuje, ale te towarzystwa (z wyjątkiem katolickiego) upadają; na 30000 Polaków w Berlinie, należy do nich w najlepszym razie kilkaset osób. W *wolnych* chwilach napisał dużo artykułów do gazet, zwłaszcza dawniéj do „Gazety Narodowéj“, był nawet reda-

ktorem bezimiennego dziennika, narażonego na wielkie niebezpieczeństwa. Pisywał także do gazet fachowych. Z jednéj strony jest człowiekiem skromnym i zgodnym, nie cierpi polemiki, nie lubi naruszać osobistości, bo trzeba goić nie drażnić. Z drugiéj strony podnosi wobec „starszéj braci“ sztandar „chamów, chłopów i łyków“, to jest młodszéj braci, z taką siłą i przekonaniem, jak niby drugi Chmielnicki. Oby się nie spotkał mimowolnie na swoim stepie z jakim Tuhaj-bejem! Ku temu wystąpieniu ma ważne pobudki. Skoro mąż zasłużony napisze artykuł do gazet, odrywając się od pracy naukowéj, powinna cała prasa polska rozpowszechnić go po całym kraju i rozstrząsać w nieskończoność. Tymczasem niewdzięczna prasa nie umiała uszanować jego dobrych chęci. Poruszył ideę założenia wydziału lekarskiego we Lwowie—z katedrami, odzywał się za odpieraniem oszczerstw rzucanych na Polaków w prasie europejskiéj, radził ku temu założyć pismo niemieckie, przestrzegał przed nietaktowném podnoszeniem w sprawie polskiéj dodatnich szczegółów o towarzystwach polskich w Niemczech. Okrojono mu korespondencyą w téj materyi pisaną; ba, nawet pozwolono krytykować go innemu korespondentowi. Reklamował; zażądano sprostowania i repliki, którą napisał, ale jéj nie umieszczono, bo zdaje się, że była zbyt niegrzeczną.... Czyż to nie wystarcza, żeby d-ra S. R. uprawnić do podniesienia sztandaru „chamów chłopów i łyków?“ Chmielnicki porwał się tam podobno o jakieś miłostki, a tu przecież była najwidoczniéj czarna intryga przeciwko mężowi, który w wolnych chwilach pisze artykuły do gazet—a pochodzi z ludu. Myliłby się, ktoby przypuszczał, że artykuły te, najpoczciwsze w świecie, musiały być rozwlekłe, nudne, robiące z myszy jelenia; nie, to cała niepoprawna szlachta spiknęła się przeciw dr. R., żeby mu odebrać głos, bo on jest dzieckiem ludu, chamem. — Na ten temat i z tych pobudek rozwałkowuje d-r S. R. swoję rzecz w bardzo niesmaczny sposób na 216 stronnicach, językiem zaczerpniętym z literatury śp. Towarzystwa Demokratycznego, ale bez talentu pisarskiego, którego mu Stwórca poskąpił. Przedstawienie rzeczy jest zawiłe, nużące. To co autor chciał powiedzieć, można było pomieścić na arkuszu druku. Autor oderwany od stosunków krajowych od wielu lat, nie rozumie ich zgoła. Wydaje sądy najbłędniejsze. Oryginalnych poglądów brak zupełny. Prawdziwe są tylko komunały o podnoszeniu ludu, zarzuceniu szlachetczyzny i t. p., komunały, jak na reformatora, zbyt oklepane. W szczegóły wdawać się niepodobna. Będzie to naturalnie znów intrygą w mniemaniu autora, ale na to niema rady, jak niema rady na chorobę polityczną. Niech sama pomoże natura, a najlepiéj: *praca fachowa*.“ *W*.

= **Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematyczno - przyrodniczych**. *Tom III. 1884. Wydanie z zapomogi kasy pomocy imienia d-ra Józefa Mianowskiego.* (Warszawa 1886). — Wydawnictwo, którego trzeci rocznik mamy obecnie przed sobą, obejmuje referaty o wszystkich pracach, ogłoszonych w języku polskim w dziedzinie nauk matematyczno-fizycznych; układem i zestawieniem materyału tom ten nie różni się od roczników poprzedzających, obejmując następne działy: matematyka, mechanika, fizyka i astronomia, chemia, meteorologia, mineralogia, geologia i geografia fizyczna, antropologia i archeologia przedhistoryczna, botanika i fizyologia roślin, zoologia, anatomia, fizyologia i patologia, historya wiedzy, wreszcie miscellanea. W obec olbrzymiego materyału naukowego, jaki się w czasach naszych gromadzi corocznie w licznych dziełach, pismach, rocznikach towarzystw naukowych, wydawnictwa tego rodzaju są wszędzie pożądane, czego dowodzą np. liczne „*Berichte*“ niemieckie z różnych gałęzi wiedzy; u nas jest ono tembardziéj pożyteczne, że posiadamy kilka odrębnie rozwijających się ognisk naukowych, między któremi słaba tylko istnieje łączność. Tom ten obszerniejszy jest od poprzednich i okazuje liczebny przyrost prac naukowych względem lat poprzednich,—liczba referatów za rok 1883 wynosiła tylko 205, tu znajdujemy ich 293, (185 autorów) bądź to rozpraw ściśle naukowych, bądź téż prac mniéj lub więcéj popularnych. Istotnie naukowa działalność najżywiéj objawia się w Galicyi, co jest zresztą rzeczą naturalną w obec takich ognisk, jakiemi są dwa uniwersytety, akademia techniczna, oraz akademia umiejętności. Rozprawy te rozrzucone są w trzydziestu siedmiu czasopismach lub innych wydawnictwach zbiorowych, literatura natomiast książkowa objawia się dosyć ubogo. Uderzającą jest zwłaszcza mała ilość podręczników szkolnych lub uniwersyteckich, — najkorzystniéj jeszcze pod tym względem przedstawia się ruch w zakresie matematyki, która w roku sprawozdawczym zyskała kilka dzieł wybitnych. Nie lepiéj dzieje się i z piśmiennictwem popularném, co aż jasno wskazuje, że nauka do ogółu naszego słabo tylko przenika i małe budzi śród niego zajęcie. Jakkolwiek sprawozdawcy referaty swoje starają się utrzymać wogóle w tonie czysto obiektywnym, gdzie-niegdzie napotykamy zwrot krytyczny; robiono z tego zarzut wydawnictwu, zupełna wszakże obiektywność nie zawsze da się utrzymać i nie zawsze téż zupełnie jest pożądaną. W opracowaniu referatów, oprócz głównych redaktorów i inicyatorów „Sprawozdań“, pp. Edw. i Wł. Natansonów, przyjęli udział pp. J. J. Boguski, S. Dickstein, Wł. Gosiewski, S. Grosglik, L. Klecki, Ad. Mahrburg,

Wł. Majchrowski, A. Natanson, J. Nusbaum, G. Ossowski. F. Rosiński, dr. J. Siemiradzki, St. Szcz. Zaleski, oraz dr. Br. Ziemiński.

— **Hrabina Sylwia**. *Sztuka w 3-ch aktach przez Alfreda Konara* (Warsz. Nakł. A. Lesmana, 1885, str. 94). Niesmakiem przejmuje książka ta po odczytaniu. Autora zapoznaje z towarzystwem, do którego beletrystyka nasza jeszcze nas nie przyzwyczaiła. Znajdujemy w niém ludzi równo w swéj męskiéj jak i w żeńskiéj połowie, tak znikczemniałych i spodlonych, tak wyuzdanych w słowie i postępkach, że się nam robi nie swojo, gdy słuchamy ich mowy i rozpatrujemy ich działanie. Autor nie objaśnia nas, czy mamy np. do czynienia z damami tak zwanego półświatka, czy z kobietami co mają własne swe ognisko domowe w zwykłych normalnych u nas warunkach; a to, co te damy mówią, wcale nie może nas skłonić do mniemania, iżbyśmy mieli do czynienia z towarzystwem według przyjętych reguł żyjącém. Baron Rhode nie wydaje, ale wprost wypycha za mąż swą córkę Sylwię za hr. Henryka. Sylwia opuszcza téż dom ojca z pośpiechem i obrzydzeniem, gdyż towarzystwo, które się tu zbierało, tchnęło wyziewami rozkładowemi. Hr. Henryk pozyskał sobie jéj serce pięknemi uczuciami i myślami, jakie wypowiadał wobec niéj; zdawałoby się więc, że teraz żyjąc w atmosferze czystéj i zdrowéj, będzie szczęśliwą. Atoli po upływie półtora roku, po odbyciu kosztownych przejażdżek zagranicznych, hr. Henryk czuje się nad przepaścią, a od ojca swéj żony posagu obiecanego nie dostawszy, ucieka przed grozą bankructwa i spędza sobie wesoło dni w mieście kąpielowém, mając towarzystwo z owego wyuzdanego grona, w którém rej wodzi baron Rhode. Sylwia przybywa do tychże wód w towarzystwie hr. Augusta, mówi bezeceństwa, zachowuje się jak rozpustnica, wypija morfinę, która jako krajowa okazuje się nieszkodliwą. wybucha spazmatycznym śmiechem, mając w perspektywie pogodzenie się z mężem, powtarza ironicznie słowa doktora: ocalona—i kurtyna zapada. Nie można zaprzeczyć, iż w potoku wyuzdanych dowcipów, któremi hojnie szafują tu wszystkie osoby, znajdzie się niejedna rzecz z talentem wypowiedziana; zręczność dyalogowa jest znaczna w téj „sztuce“; ale psychologia i prawda życia towarzyskiego doznają w niéj na każdym niemal miejscu takiego poterania, że na wykazywanie poszczególne błędów grubych pod tymi względami, niepodobna się puszczać i chyba nie warto.

— **Z Warszawy do równika**. *Wspomnienia z podróży po Ameryce Południowéj, odbytéj w latach 1882—1883, przez Józefa Siemiradzkiego. Z ilustracyami J. Ryszkiewicza i J. Owidzkiego, podług własnoręcznych szkiców autora.* (Warszawa, 1886, str. 226).—Z pomiędzy wielkiéj liczby naszych ziomków, rozproszonych „po wszech ziemiach, po wszech wodach,“ stosunkowo niewielu tylko dzieliło się doznanemi

wrażeniami i zebranemi spostrzeżeniami z publicznością czytającą, a dział piśmiennictwa naszego, obejmujący opisy podróży wcale nie jest bogaty. Z tém téż żywszą przyjemnością witamy książkę pana Siemiradzkiego, zwłaszcza, że skreślona przystępnie, zająć może szerokie koło czytelników. Podróżnik nasz, przejechał śpiesznie Niemcy i Francyę, a dotarłszy do Atlantyku w St. Nazaire, wsiadł na statek. Towarzystwo, zebrane na okręcie, narysowane jest z humorem. Przebywszy ocean, żeglarze wylądowali na Martynikę, którą autor dość szczegółowo opisuje. To dogonił go pan Sztolcman, znany badacz przyrody. Dalszą drogę wędrowcy nasi odbywateli razem. Okrążając brzegi Wenezueli i Kolumbii, wylądowali w Colon, a ztąd koleją dojechali do Panamy, aby znowu wsiąść na statek i oceanem Spokojnym dopłynąć do celu podróży. Z Guayaquilu, portu rzeczypospolitéj Ekwadorskiéj, podróżnicy robili w głąb kraju w różnych kierunkach wycieczki, których opis zajmuje większą część książki. Opowiadanie pana Siemiradzkiego tchnie prostotą, szczerością i odrazu zjednywa sobie zaufanie czytelnika. Żadnych awantur, żadnych nadzwyczajności tu nie spotykamy, co jednak wcale nie zmniejsza naszego zajęcia. Będąc naturalistą (geologiem), autor umie patrzeć na naturę, umie ją opisać, nie przeciążając opisu nadmiarem erudycyi; rzecz swą urozmaica sylwetkami ludzi i rysami obyczajów, kreślonemi zręcznie, często dowcipnie. Styl ma gładki, język wogóle poprawny; usterki są bardzo rzadkie. Zamiast nie istniejącego wyrazu *sławiący się* (str. 195 i 214) należało powiedzieć *słynący*; koń się *potyka*, nie zaś *spotyka* (str. 133); nie „*budulcem* służą tarcice“ (str. 80), lecz służą *za budulec*; *fest* (str. 60) jest prowincyonalizmem; o cesarzowéj Józefinie i Hortensyi Beauharnais nie powiedziałbym, że *są* rodem z Martyniki (str. 28) lecz że *były* ztamtąd rodem; błędnie zbudowany frazes, poczynający się od słów „Myliłby się“ itd. (str. 170), wynikł może z omyłki druku. Na str. 70 czytamy, że posąg spiżowy Kolumba jest „na marmurowéj wsparty kolumnie,“ tymczasem z załączonego tam rysunku przekonywamy się, że posąg stoi na postumencie, a kolumny, na którejby się wspierał, wcale nie ma. Pomiędzy wyrażeniem „czarne jak *heban* elegantki“ (str. 71) a miejscem, gdzie autor twierdzi, że „daremnie szukał owych piękności o *hebanowéj* cerze“ (str. 24), zachodzi sprzeczność, któréj mógłby uniknąć łatwo. Cała pedanterya piszącego niniejszą wzmiankę nie mogła więcéj błędów odszukać. Jeszcze tylko słowo zapytania. Śród szaréj barwy naszego życia publicznego, nie wiem, czy było właściwém karcić szyderczem słowem, w trzy lata po fakcie, entuzyazm, wywołany odczytami Rogozińskiego? Czy źródło entuzyazmu zbyt obfitym bije u nas obecnie strumieniem?



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólny zarys sprawy, podniesionej przez ks. Bismarcka.— Zapora germanizacyi. —Jedyny środek zniszczenia.—Czyny ojców i głos matek.— Nowella Daudeta, Irlandya i Czechy. — Dziwne losy pomnika. — Niewłaściwy upór. Komitet mickiewiczowski młynarzem z bajki. — Jubileusz d-ra Baranowskiego. — Nasze krajoznawstwo. — Towarzystwo geograficzne i „Wędrowiec". — Usiłowania i zawód przyrodników. — Towarzystwo ogrodnicze.

Niema bezwątpienia czytelnika „Ateneum", któremu trzeba by było opowiadać szczegóły przebiegu „sprawy polskiéj" w parlamencie pruskim w ciągu ostatniego miesiąca. Cały kraj czekał codziennie z gorączkowym niepokojem wiadomości z nad Sprei i czytał mowy ks. Bismarcka i sprawozdania z posiedzeń. Ogólnie zaś rzeczy tak stoją. Przez wiek cały państwo, potężniejące nieustannie, groźne dla Europy, probowało wszystkich środków, aby wytępić w swych granicach pierwiastek mu obcy, ale żyjący na własnym gruncie, na ziemi ojczystéj. Zdawało się, że nowego nic już wymyślić nie można, przywożono chłopów niemieckich i osadzano na ziemi polskiéj, wykupywano majątki, ścigano więzieniem i żelazem wybitniejsze siły kraju, tłumiono oświatę, nękano moralnie, niszczono ekonomicznie; żywioł niemiecki protegowały wszystkie siły państwowe,—polski ścigała szykana, upośledzenie, bezprawie. Nareszcie po tylu latach prób i wysiłków staje przed swoim narodem wielki mąż stanu, jeden z głównych twórców potęgi niemieckiéj, przedstawiciel państwa i oświadcza, że wszelkie wysiłki dotychczasowe nie doprowadziły do celu, obcy pierwiastek żyje, krzewi się pod rękami tępicieli. A jednak dla dobra ojczyzny zniszczyć go potrzeba, bądź-co-bądź i do szczętu. Jam—woła mąż stanu—wiódł was pod Sedan, jam was zjednoczył, jam jeden zrobił więcéj dla kraju, niż całe miliony pozostałych Niemców, dla tego dziś zaufajcie mi w tém może ostatniem,

a prawdopodobnie najtrudniejszem przedsięwzięciu patryotycznem! O środki nie pytajcie, będą one straszne, bezprzykładne, okrutne, ale one jedne mogą wygubić Polaków, a zguba ich jest nam potrzebną do bytu, jak przestrzeń i powietrze.

I widzimy na trybunie groźnego starca, zaprzysięgającego nam zagładę. Czyż możemy zimnem okiem obliczać wypadki przyszłości, my, kiedy on, twórca walki i napastnik, miota się nieprzytomny od uniesienia. To nie tryumfator, spokojny o pewne zwycięstwo, nie lew, igrający ze schwytaną zdobyczą. Niepewność walki wtrąca go w stan gorączki, każe zapominać się; niepodobna nie spostrzedz, że trawi go myśl ukryta, iż i tą razą jeszcze ręce jego nie zdołają zdusić na śmierć znienawidzonej ofiary.

Pochwały, któremi kanclerz państwa niemieckiego zaszczycił naszą wytrwałość w walce o istnienie, naszą siłę życiową i przywiązanie do narodowości, są na nieszczęście niezupełnie zasłużone. Zamigotał niemi przed oczyma posłów narodu, aby usprawiedliwić swoje zamiary. Słowa jego jednak w pewnéj części są szczere i wyrażają właściwe pojęcia żelaznego ministra. A on zna się na ludziach i narodach. Zabawny na pierwszy rzut oka pomysł zakazu żenienia się Niemców z Polkami wskazuje, że ks. Bismarck rozumie dobrze, gdzie tkwi przyczyna dotychczasowych niepowodzeń germanizacyi. Wszystkie przejawy życia narodowego stłumione, szkoła, urzędy, wojsko, pchnięte do walki, za zadanie jedyne mają tępić wszystko, co zechce pozostać sobą, a resztę wchłaniać w olbrzymi organizm niemiecki,— pomimo to odporność nie maleje, lecz wzrasta. Gdzież indziéj polonizm znajdywać może źródło do czerpania siły życia jak nie w rodzinie? A rodzina, to instytucya, leżąca po za granicami władzy nawet wszechpotężnego twórcy jedności Niemiec. Żaden dekret jéj nie zreformuje i nie zmieni jéj ducha, najzręczniejszy agent państwa nie zdoła wcisnąć się i krzewicieli w rodzinie miłości ojczyzny pociągnąć przed kratki sądowe, jako zbrodniarzy stanu. Rodzina jest dla polskości jedyném, ale pewném zupełnie schronieniem przed naciskiem, zemstą, zagładą,—jak niegdyś świątynie starożytne, w których ścigany przez wszystkie siły ziemskie mógł oddychać swobodnie i żyć. Matka-wychowawczyni to nieprzeparta siła żywa, którą możemy przeciwstawić potędze Prus, to pancerz nieprzebity, po którym dotychczas ześlizgiwały się najstraszniejsze razy teutońskiego miecza. Co poradzą wszystkie szkoły, książeczki, pisma tendencyjne, gdy w dziecko wszczepione zostały uczucia, zasady wprzód, nim zdołał się doń dotknąć namaszczony przez państwo propagandzista? Kilkodzinne najdowcipniejsze wysiłki Luxów zaciera jedno słowo matki; jedno ruszenie ramion niszczy nieraz zaufanie zdobyte kosz-

tem największych wysiłków przez człowieka, mówiącego obcym językiem.

W walce z dzikimi Ameryki i Afryki narody europejskie mają jeden tylko niezawodny środek zniszczenia — wódkę. Co, zdaje się, łatwiejszego nad wytępienie, przy pomocy kartaczownic, odtylcowych karabinów i wytrwałości kulturnéj, dzikich plemion, niszczonych równocześnie przez nieustanne walki między sobą. Tam wśród puszcz i piasków, od początku świata nieznających innego prawa nad siłę, nie przeszkadzały by względy cywilizacyi: tam niszczenie nie obciąża budżetu milionami, opór ofiary nie wpływa szkodliwie na handel i przemysł, zdanie parlamentu nie stanie na przeszkodzie. Nie tylko o sąd świata dbać nie potrzeba, ale nawet sumienie własne nie założy protestu. Wiatr bez echa rozniesie po przestworach jęki konających; krew nawet prędzéj wyschnie i wsiąknie w dziewicze stepy podzwrotnikowe, a śladów jéj odróżnić niepodobna będzie od krwi bawołów i niedźwiedzi. Twardogłowe Kafry mniéj są zabezpieczone od napaści niż słonie afrykańskie i kozice w Tatrach, a jednak opierać się mogą i opierają w całéj przewadze europejskich przychodniów, aż dopóki najezdca nie zdoła wprowadzić do ich osad jedynego pewnego sprzymierzeńca—wódki. Obcy osadnik nie może być pewnym jutra, nie może uważać się za zwycięscę, dopóki wczorajsi wojownicy nie porzucą łuków, aby, zapomniawszy o przeszłości i krzywdach, z upodlonym wzrokiem, przyjść dobrowolnie do obozu wroga i, wyciągając drżące ręce, błagać o kropelkę wody ognistéj.

Prusacy wiedzieli o tém, i szczepienie niskich instynktów było ich „cywilizacyjnym" programem. Do obozu nieprzyjacielskiego wabiła odstępców żądza złota, zaszczytów, stanowiska, spokoju. Wytrwanie przy mowie i wierzeniach ojców jest skazywaniem się na upośledzenie gorsze niż żywot Kafra, ściganego przez złość białego osadnika. Ale nad sumieniem i sercami synów w Europie czuwają wszystkie pokolenia wymarłych ojców. Przeciwko pokusom upadlającym bronią opowieści matek o Trębowli i Olsztynie. Dziecko, słuchając tego, nabiera ducha, zdolnego do oporu zwycięskiego przed całym geniuszem ks. Bismarcka, przed potęgą narodu niemieckiego, przed milionami marek i uciskiem. Tym sposobem szlachetna siejba pruska nie zeszła wcale, gniewny minister porzuca wypróbowaną drogę i zapomina, że trzeźwiące środki nie upadlają, nie prowadzą ludów do zagłady.

Pomiędzy ślicznemi nowellami Daudeta jest jedna podnioślejsza od innych myślą i zadziwiająca tém, że napisał ją Francuz, a nie Polak lub Irlandczyk. Nad brzegami morza i rzeki jakiéjś w Ameryce rośnie las olbrzymi, dziewiczy; między gęstemi konarami drzew le-

dwie ptaki przelatywać mogą; pnie i krzaki, splątane lianami, nawet zwierzynie przedostać się nie pozwalają do wnętrza i chyba tylko wąż prześlizgnąć się zdoła. Przybywają osadnicy i ażeby znaleść miejsce dla siebie potrzebują usunąć roślinność rodzimą. Zaczyna się dzieło zniszczenia, siekiery pracują od świtu do nocy. Ale wysiłki ich daremne, zamiast jednego ściętego drzewa wyrasta dwie, trzy, dziesięć latorośli. Budząc się rano, osadnicy dojrzéć nie mogą nawet rezultatów swéj wczorajszéj pracy. Nie porzucają jednak przedsięwzięcia, zdwajają siły, wynajdują nowe środki — nic nie pomaga, las niby olbrzym drwi z ich wysiłków, zrobione wyręby odrastają wciąż. Wytrwałość napastników zwycięża w końcu, wzywają ogień na pomoc i ten niszczy krzaki i drzewa wiekowe, oczyszcza miejsce dla siedzib ludzkich. Czas już był na ukończenie roboty, bo ledwie zdołano wybudować miasto, nadeszła zima. Radośnie przeżyli ją osadnicy na polu trudnego zwycięstwa. Miasto rozrasta się z amerykańską szybkością, roi ludźmi, jaśnieje bogactwy. Ale oto błysnęły pierwsze promienie wiosennego słońca i powołały świat roślinny do życia. Osadnicy ze zdziwieniem spostrzegają, że stoły, stołki, łóżka, ramy i belki ich domów okryły się zielonemi pączkami, pączki te zamieniają się w gałązki, krzaki, drzewa, już trzeszczą pod ich naciskiem ściany domów, bujna roślinność cieniem zapełnia ulice, zakrywa niebo. Przerażeni mieszkańcy opuszczają swe siedziby, szukają ratunku w polu, ale... co to? las groźny sunie pod miasto niby na pomoc odradzającym się braciom swoim, zagony jego sięgają już budynków. Osadnicy chronią się na okręty, opuszczają miasto na zawsze Las wyciąga ramiona, obejmuje niemi całe wybrzeże i wkrótce wszystko wraca do tego stanu jak przed rokiem, z wysiłków najezdcy nie zostaje ani śladu.

Czyż opowieść ta nie przypomina nam dziejów Irlandyi, Czech, Włoch. Anglia nie była mniéj potężną i pomysłową niż Prusy, przez wiele setek lat pracowała nad wytępieniem rodziméj ludności Wyspy Zielonéj, użyła wszystkich środków, wydarła ziemię, oczyszczała miejsca dla swoich siedzib, aż oto słońce zaświeciło i trzeszczą belki budowy angielskiéj, a niedługo może las irlandzki okryje wybrzeża, cały, potężny jak niegdyś. Gdy cesarstwo niemieckie rozbiło ostatnie hufce czeskie pod Białą-górą, było potęgą większą niż dziś, cywilizacyjnie przerastało zgnębionego przeciwnika bardziéj niż Prusy Poznań, zaprzysięgło zagładę szczerzéj niż ks. Bismarck Polakom Książki czeskie spłonęły na stosach, liczebnie z narodu pozostały resztki tylko i to resztki odcięte od przeszłości, od tradycyi; czy największy marzyciel mógł był przypuścić wtedy, że ostatnia godzina dla uciemiężonych nie wybiła, że z czasem wszystko się odrodzi?

Zielone pączki, wyrastające na belkach, nie są dziwniejsze od czeskości, budzącéj się w sercu parobka w służbie u pana niemieckiego, od siły uczuć narodowych w duszy irlandzkiego biedaka, wygnanego przez nędzę do Ameryki. Żelazny kanclerz, rozpoczynając zagładę, zapomina o tém, że zima trwać wieków nie będzie, że sto milionów marek nie zdziała cudu, którego nie dokonały floreny reńskie i funty szterlingów, że nie stłumi ogniska, którego krew zalać nie zdołała, ani miecz roznieść.

Gdy z zachodu, z Poznania, dochodzą nas nieustannie jęki wydalonych i okrzyki zgrozy przed przyszłością, głosy z Krakowa nie zawsze są zdolne pocieszyć nas. I teraz także, lubo chodzi o rzecz nieskończenie mniéj ważną niż zamiary ks. Bismarcka, każda korespondencya z pod Wawelu jest w stanie przykro rozdraźnić. Ledwie zdobyliśmy się na zebranie cokolwiek przyzwoitszéj sumy na pomnik dla największego poety; gdzieindziéj takie rzeczy załatwiają się od razu ze składek, u nas trzeba było sposobów i sposobików, tańców, wydawnictw. Późniéj rozpoczęły się kłótnie o miejsce, aż teraz nareszcie przez kilka lat nie możemy sobie poradzić z konkursem. Zdawałoby się, że dwie niepomyślne próby powinny były przekonać, iż rzeźbiarze nasi nie stworzą nic takiego, cobyśmy uznali za godne pamięci Mickiewicza, w takim wypadku należało do współubiegania zawezwać obcych. Zapewne przyjemniéj byłoby, ażeby z rąk polskich wyszła pamiątka wdzięczności, ale przecie lepiéj, że ją wykona Francuz lub Włoch, niż gdybyśmy się mieli wstydzić przed sobą samymi, przed światem i przed przyszłością. Cóż za pociecha ztąd wyniknie, jeżeli przekonamy świat i siebie, że stać nas na lichy pomysł i nędzne wykonanie. Każdy naród zawsze zdobyć się na to potrafi i nikt o tém nie wątpi. Widok takiego pomnika nie obudzi w nas ani w dzieciach naszych dumy narodowéj i otuchy jakiejś. Gdzie indziéj trzymają się zawsze podobnéj logiki. Włochy, które najwięcéj praw i racyi mają dbać o swą dumę na polu sztuki, nie wahały się wzywać na pomoc obcych, w takich nawet chwilach jak wiek odrodzenia. Na projekt wzniesienia kopuły na katedrze florenckiéj rozpisany był konkurs i powołani artyści wszystkich krajów, i to na wniosek przyszłego twórcy budowli. Obecnie postawienie frontonu przy katedrze medyolańskiéj zostanie poruczone cudzoziemcowi, jeżeli tylko okaże się, iż to potrafi lepiéj zrobić niż krajowiec. Gdy stanie dzieło najpiękniejsze, młodzież włoska przypatrywać mu się będzie i to przyczyni się do dalszego rozwoju poczucia piękna, do stworzenia artystów, którzy zrehabilitują sławę ojczyzny. Wszak jest bardzo prawdopodobnem, że w jakimś narodzie nie znajdzie się w danéj chwili wielki rzeźbiarz, czyż to dostateczny powód do

szpecenia placów i do ubliżania pamięci wieszcza. Brak gienialnych rzeźbiarzy narodowi znowu tak bardzo nie ubliża ani źle o nim nie świadczy, Anglicy nigdy wielkich artystów nie mieli, a są przodującym narodem świata. Narodowy pomnik dla Ameryki robił Francuz.

Wstyd, że kiedy miasta innych krajów pełne są pomników, my nad jednym lata trawimy i rady dać sobie nie możem. Wina pełnomocników komitetu jest w tém nie tak wielka, bo kto żyje przeszkadza im w pracy. Gdy już wybrani zostali mężowie zaufania, należało im *zaufać*, tymczasem głos opinii publicznéj ciągle mąci sąd niby młynarzowi w bajce, każąc mu to wsiadać na osła, to złazić. Zabierają głos ludzie, którzy napewno są niekompetentni, którzy, napewno nie poznali by się na prawdziwym arcydziele i podnieśli pod niebiosa lichotę, gdyby na nią wskazał jaki popularny palec. Jaki sens, jakie znaczenie miał protest akademików? Co warte były okrzyki reporterów warszawskich, którzy oburzali się wprzód, zanim ujrzeli pierwszy rysunek szkiców! Zapewne ostatecznym sędzią jest zawsze publiczność, ale w kwestyach spornych znawstwo przeważyć powinno, zwykła skromność nakazać mogła milczenie wielu niepowołanym sędziom. Nic dziwnego, że komitet postępuje chwiejnie, że wpada na dziwaczne pomysły, kiedy musi działać pod grozą ciągłych napaści i może być z góry pewnym, że cokolwiek uczyni, to go ta lub inna część prasy skrzyczy. W ten sposób trudno jest cokolwiek zrobić.

Nie jesteśmy wstanie zużytkować jak należy zdolności i zasług żyjących umiejmy przynajmniéj uczcić je w zmarłych.

W bieżącym miesiącu przypadł 25-o letni jubileusz profesorskiéj służby dr. Ignacego Baranowskiego. Był on świetnym kierownikiem kliniki, jest człowiekiem szanowanym, opuszcza więc swoje stanowisko w uniwersytecie, przepędziwszy na niém przepisaną liczbę lat. Może wprawdzie profesor pozostać nadal przy katedrze, jeżeli większość kolegów wyda przychylną uchwałę, w tym razie jednak surowość sądu była stanowczą. Uczniowie i towarzysze zawodowi mają uświęcić rocznicę przez ucztę wspólną, powstał nawet projekt wydawnictwa dzieł lekarskich imienia jubilata. Zwracamy uwagę, że dr. Baranowski był nietylko zasłużonym lekarzem i profesorem, ale także i przedewszystkiém obywatelem w całém znaczeniu tego słowa i ostatni ten przymiot w karyerze jego odegrał decydującą rolę; tę stronę zasług ogół i bez żadnego uroczystego obchodu oceni i zapamięta.

W 7 numerze Wędrowca pan Z. podnosi bardzo ważną sprawę : braku danych statystycznych i wszelkiego innego materyału do

poznania naszych stosunków wewnętrznych. Biura statystycznego, które by najskromniejsze chociaż wymagania zadowolnić mogło, nie ma. Sprawozdania roczne gubernatorów oparte są głównie na znanéj fantazyi pisarzów gminnych. Jedyny środek zaradzenia złemu widzi słusznie p. Z. w skupieniu się tych sił, które dziś w odosobnieniu pracują w różnych działach krajoznawstwa. W ubogiém naszém piśmiennictwie istnieją próby gruntownych badań ekonomicznych, należy je rozwinąć, usystematyzować, nadać ciągłość, spotęgować przez świadome wytknięcie celu. Monografia p. Jeleńskiego o Kaliszu i prace p. Łapickiego: „O stosunkach rolnych w Królestwie Polskiem", a szczególniéj studyum o produkcyjności wielkiéj i małéj własności, oparte na dokładném zbadaniu kilkunastu gospodarstw rolnych w trzech gminach powiatu radomskowskiego, mogą być śmiało postawione za wzór badań ekonomicznych w kraju naszym. Co do sposobu skupienia odpowiednich sił, p. Z. zwraca uwagę na istnienie w Petersburgu Towarzystwa Geograficznego, które posiada filią syberyjską i niegdyś posiadało dziś zamkniętą filię w Kijowie. Projektodawca przytacza trzy względy, zalecające tę formę a nie inną: 1° większe prawdopodobieństwo dojścia do celu i uzyskania podstawy prawnéj, 2° należenie do Towarzystwa petersburskiego da pracownikom pewne przywileje, gdyż „każdego, zamierzającego zająć się badaniem kraju, lub ludu, towarzystwo zaopatruje w dokumenty, ułatwiające mu pracę, otwierające dostęp do źródeł urzędowych, polecające badaczy pieczy władz miejscowych, i 3° wszelkie filie towarzystwa dostają roczne stałe subsydyum na prace i wydawnictwa swoje.

Znając nasz upór na niektórych punktach, przypuszczać można, że ten i ów kręcić głową zacznie na podobny projekt. Być córką nie jest to koniecznie przyjemnie, właściwie, a nawet bezpiecznie dla osoby dorosłéj. Projektodawca wskazuje na Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu, na które osoby bezpośrednio interesowane zgodziły się, a kraj cały otacza uznaniem i sympatyą. W danym jednak wypadku porównanie nie dostarcza właściwego argumentu. Ludzie, pracujący systematycznie dla krajoznawstwa, nie potrzebują *nieodzownie* zbierać się licznie na naradę, wysłuchiwać wszystkich *interesowanych*, nie będą tworzyć projektów do praw; co więc tam było *nieuniknionym* warunkiem istnienia, tutaj staje zbytkiem niejako. Nam się zdaje, że skupienie w Warszawie ludzi, pracujących nad poznaniem kraju, może się odbyć z równym prawie pożytkiem na skromniejszą skalę, w piśmie chociażby jakiem. Wszak każdy badać i studyować będzie oddzielnie, naradzać się nie ma nad czém, a kierować poszukiwaniami, o ile to jest możliwe, zdoła odpowie-

dnia redakcya. Fundusz jakiś na wycieczkę możnaby w pewnych wypadkach dostać z kasy Mianowskiego, a w pewnych wprost z kasy pisma. Ponieważ, ażeby się dostać z Warszawy na Kurpie, albo do Kowna, Uralu przebywać nie potrzeba, więc też tysięcy nigdy nikt nie zażąda. O pewnym dziale krajoznawstwa myślano już u nas i dzięki temu mamy 5-ć tomów Pamiętnika Fizyograficznego, możliwość więc podobnéj pracy jest, bez uciekania się do środków nadzwyczajnych. Na drodze prywatnych usiłowań stworzony został równie Słownik Geograficzny.

Przywileje członków Towarzystwa nie są znowu tego rodzaju, aby mogły zaważyć na szali decyzyi. Dostęp do źródeł równa się prawdopodobnie osobistéj znajomości z szanownym pisarzem gminy, tym samym, który posyła pomyślane przez siebie cyfry przez wyższe władze do publicznéj wiadomości. Bodaj czy uzbrojony w dokumenty członek Towarzystwa zdoła się dostać głębiéj niż dane, które publikują wiadomości gubernialne, lub które prywatnie dostać można, naraziwszy się zresztą na jakiś wydatek. Wątpimy także, ażeby strażnikom ziemskim więcéj zaimponował dyplom na członka Towarzystwa geograficznego niż paszport, lub dyplom uniwersytecki.

Nareszcie subsydya! W epoce zanikań zapomóg na cele dobroczynne, trudno jest liczyć na powstawanie nowych, zresztą...

Rozważywszy to wszystko, nie uważamy, ażeby założenie w Warszawie oddziału Towarzystwa petersburskiego było najwłaściwszą formą zogniskowania ludzi, badających kraj, chociaż uznajemy najzupełniéj, że praca w Towarzystwie posiada wiele stron dobrych, niedających się osiągnąć w inny sposób. Rzeczy bardzo nawet pożytecznych należy się nieraz zrzekać, jeżeli za nie trzeba drogo płacić.

Jednocześnie z projektem p. Z. powstał inny w Krakowie założenia tam Towarzystwa Geograficznego w celach badania Afryki wewnętrznéj. Rozumie się, że projekt ten nie ma nic wspólnego z krajoznawstwem, ale nasuwa na myśl, czy platoniczni miłośnicy Afryki nie zechcieli by korzystniéj zużytkować swych ofiar, gdyby im kto opowiedział o przypuszczalnych cudach jezior Augustowskich z równym zapałem, jak pan Szolc-Rogoziński o bogactwach z nad Kongo. A następnie, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, przypomina się Akademia Umiejętności. Czyż to niemożliwe, aby ona utworzyła odpowiedni wydział? Wydaje dzieło Kolberga, ogłasza drukiem prace antropologiczne i etnograficzne, nic by więc chyba nie miała przeciwko drukowaniu danych statystycznych i innych materyałów krajoznawczych. Niedogodność by stąd nie wyniknęła żadna. Bo jeżeli jakiś pracownik z Lublina musiałby posyłać swoje rę-

kopisy do Warszawy i druki odbierać w parę dni po wyjściu, to znowu takie same upośledzenie mieszkańca Warszawy nie może uważane być za krzywdę.

Redakcya Wędrowca ofiaruje chętnie swe pośrednictwo dla wzajemnego porozumienia się pragnących zrobić coś w tym kierunku. Żywiąc szczerze uznanie dla podobnéj gotowości służenia sprawie publicznéj, nie możemy powstrzymać się od uwagi, nieco złośliwéj, że może by prędzéj doszło się do celu, gdyby redakcya sama porozumiała się ze sobą. Pan Z. powiada: „Urządzenie wypraw afrykańskich, łożenie kosztów na utrzymanie Towarzystwa, badającego w stosunki afrykańskie—wszystko to uważamy za usiłowania *bezowocne* i *bezcelowe*, *śmieszne* i nawet *potępienia godne* wobec naszéj nieznajomości własnego kraju.“ Wędrowiec, drukując to, nie zwraca wcale uwagi, że w tym samym numerze daje artykuły o Indyach, o Chinach i o Sachalinie. Gdyby redakcya postarała się o tyleż studyów z dziedziny przemysłu, rolnictwa, lub etnografii krajowéj, gdyby następnie prowadziła rzecz systematycznie, to prawdopodobnie i czytelnicy byli by zadowoleni i kwestya zogniskowania sił krajoznawczych posunęła by się. Kasa wydawcy i jego taktyka nie podlega rewizyi publicystyki, ale sądzimy, że, mając do czynienia nie z przekupniem, lecz z literatem i obywatelem, możemy zwrócić mu uwagę, iż osobisty interes jego w tym wypadku spotkał by się z dobrem ogólném; tém bardziéj uważamy się za uprawnionych do tego, że Wędrowiec sam podniósł kwestyę potrzeby i braku ogniska dla badaczów kraju pod względem społecznym. Przyrodnicy mają Wszechświat i Pamiętnik Fizyograficzny, nie szczędzą pracy, a nawet pieniędzy, gdyż rozumieją potrzebę takich wydawnictw. Na ludziach, czujących inne potrzeby i mających środki zadosyć uczynienia im, ciąży obowiązek pójścia podobną drogą. Taki zwrot przyciągnąłby naturalnie ku pismu wszystkich pracowników z odpowiedniego działu i zrobił by je organem istotnie potrzebnym dla kraju.

Temu, co mówiłem o możności skupienia się sił wprost przy piśmie, dając za przykład Pamiętnik Fizyograficzny i Wszechświat, nie przeczy wcale ta okoliczność, że obu tym wydawnictwom grozi upadek, gdyż wyniknęło to jedynie z braku poparcia materyalnego; gdyby zaś badanie stosunków społecznych kraju było równie obojętnie traktowane przez ogół, to towarzystwu trudno by się było rozwinąć prawie tak samo jak pismu.

Jeszcze w zeszłym roku Wszechświat miał 850 prenumeratorów, w roku zaś bieżącym liczba ta zmalała do 550, V-go tomu Pamiętnika Fizyograficznego kupiono tylko 120 egzemplarzy; przy takim sta-

nie rzeczy redaktorzy dopłacić będą musieli do obu wydawnictw 5.000 rs. Z tego powodu 8 numer Wszechświata zamieścił odezwę do ogółu, powołując do poparcia usiłowań przyrodników. „My—mówią założyciele Pamiętnika Fizyograficznego—na początek wydobyliśmy wdowie grosze z własnych kieszeni, wygłaszaliśmy na dochód Pamiętnika odczyty publiczne, płaciliśmy za rysunki i naturalnie ani nam przez myśl nie przeszło brać honorarya autorskie za drukowane w nim rozprawy. Nie było dla nas żadną niespodzianką, kiedy pierwszy tom Pamiętnika rozszedł się w niewielkiéj liczbie egzemplarzy. Mówiliśmy sobie, że w przyszłości będzie lepiéj i odważnie patrzyliśmy w tę przyszłość. W najgorszym zaś wypadku wszak w odwodzie mieliśmy Wszechświat, pismo popularne, więc dostępne dla wszystkich, pismo mówiące o naukach przyrodniczych, więc pożądane dla naszego ogółu, który łaknie wiedzy we wszystkich kierunkach, a właśnie nauk przyrodniczych w instrukcyi publicznéj nie dostaje.“ Obywatelskie przewidywania wydawców zawiodły i do Wszechświata więcéj jeszcze może dopłacić będzie trzeba, niż do Pamiętnika. Jest to fatalne! Mamy jednak jeszcze nadzieję, że ogół nasz, poznawszy właściwy stan rzeczy, nie pozwoli upaść ani jednemu, ani drugiemu wydawnictwu. Pomimo iż zasada *laisser faire, laisser passer* nie jest już dziś tak powszechnie wyznawaną jak niegdyś, to zapewne znajdzie się wielu, co powiedzą: to, niech upadają przedsiębierstwa, które same utrzymać się nie mogą, widocznie nie są potrzebne. Tak nie jest. Pamiętnik jest zbiorem materyałów do nauki i dla tego przydać się może jedynie uczonym, nigdzie na świecie podobne wydawnictwa się nie opłacają, tylko że je wspierają, albo całkowicie utrzymują akademie. W ten sposób naród płaci podatek na sprawy nauki. U nas takich pośredników nie ma, tém nie mniéj jednak ogół powinien rozumiéć swój interes i pomagać bezpośrednio. Co do Wszechświata, to należy pamiętać, że pomiędzy 500 pozostałemi prenumeratorami jest wielki procent młodzieży szkolnéj, a chyba to jest bardzo ważną potrzebą, aby się ona dowiedziała o istnieniu takich wyrażeń jak: tlen, płaszczyzna ogniskowa szkła przedmiotowego lunety itp.

Naród niemiecki setki milionów rzuca, aby zapewnić przewagę swemu językowi, a my?...

Zawiązane w maju 1884 roku „Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie“ wydało w ubiegłym miesiącu pierwszy swój „Rocznik“, zawierający prócz sprawozdań działalności, stanu kasy i majątku jeszcze krótką wzmiankę o historyi swego powstania i o swojéj budowie wewnętrznéj. Prócz tego wydrukowany został w oddzielnéj książeczce „Regulamin“.

Inicyatywę do stowarzyszenia się dała redakcya „Ogrodnika Polskiego“ jeszcze w roku 1881, przedstawiając ogrodnikom i miłośnikom ogrodnictwa projekt ustawy. Projekt, przesłany przez jenerał gubernatora Albiedyńskiego do Petersburga, uzyskał Najwyższe zatwierdzenie w 1884 r.

Przy zawiązaniu się Tow. liczyło wszystkiego członków 296, w ciągu roku liczba ich nieustannie zwiększała się, tak, że obecnie dochodzi do 481. Pierwsze walne zebranie odbyło się dnia 30 października, obrano na niem zarząd, kierujący sprawami (czynności administracyjne, znoszenie się z władzami, przeglądanie materyałów na zebranie ogólne przeznaczonych) do obecnéj chwili, a który w tym celu odbył 30 posiedzeń, nie licząc 10-ciu, poświęconych wyłącznie Wystawie roku zeszłego. Prezesem jest dr. Jerzy Aleksandrowicz, prof. uniwersytetu.

Rok pierwszy działalności Tow. obejmuje czternaście miesięcy, co pochodzi ztąd, że zawiązanie się Towarz. przypadło pod koniec 1884 r., dwa więc ostatnie miesiące, listopad i grudzień, zaliczone zostały do ubiegłego roku sprawozdawczego. W tym przeciągu czasu odbyło się 12 zebrań ogólnych, t. j. co miesiąc, prócz lipca i sierpnia na wakacye przeznaczonych, przy udziale przeciętnie 88 członków.

Dla udogodnienia pracy Tow. podzieliło się na 5 stałych komisyi, czyli sekcyi: I. *Teoryi ogrodnictwa i nauk przyrodniczych*, II. *Kwiaciarstwa*, III. *Warzywnictwa*, IV. *Owocarstwa*, V. *Techniczną*.

Niepodobna nam tu jest dać jakiego takiego nawet pojęcia o różnorodnéj, a pożytecznéj pracy Towarzystwa Ogrodniczego na swém polu, odsyłamy interesujących się do „Rocznika.“ Najbardziéj ciekawą i ważną dla czytelników „Ateneum“ jest praca w sekcyi I-széj, która odbyła w ciągu roku sprawozdawczego 23 posiedzenia, uczęszczane bardzo licznie, gdyż prócz gości, brało w nich udział 19 — 42 członków. Na posiedzeniach komisyi panowało znaczne, stopniowo wzrastające ożywienie, wywołane przemawianiami 22-u członków, którzy zdawali sprawę albo ze swoich oryginalnych badań w teoryi ogrodnictwa, lub związanych z niém nauk przyrodniczych, albo téż komunikowali zdobycze, osiągnięte na tych polach za granicą. Wogóle wszystkich prac większych przedstawiono w komisyi w ciągu ubiegłego roku 37, a niektóre z nich były tak obszerne, że wypełniły aż po dwa posiedzenia. Każda niemal przedstawiała choć w części samodzielne, oryginalne badanie; czysto oryginalnych prac przedstawiono 20, a 17 kompilacyjnych, lub o złożonym kompilacyjno-samodzielnym charakterze.

Na wniosek p. E. Jankowskiego, redaktora „Ogrodnika Polskiego“, corocznie odbywać się mają dla członków Tow. dwie serye bezpłatnych odczytów, na wiosnę i w jesieni.

Pierwsza serya, t. j. wiosenna, składała się w roku ubiegłym z odczytów następujących: *Wpływ światła na roślinność* (p. J. J. Boguski, 3 godziny), *Uprawa winnéj łozy* (p. E. Jankowski, 3 godziny), *Hodowla roślin w pokoju* (p. P. Hoser, 3 godziny), *Szkodniki* (p. A. Ślósarski, 3 god.). Seryą jesienną stanowiły odczyty: *O ogródku francuskim* (p. E. Jankowski, 5 godzin), *O związku roślinności z nauką zachowania zdrowia* (p. St. Markiewicz, 3 godziny).

Towarzystwo posiada czytelnię, otwartą dla członków od 6—10 wieczorem i zaopatrzoną w 22 pisma ogrodnicze i przyrodnicze, polskie i cudzoziemskie. Biblioteka Tow. składa się z 174 dzieł, częścią nabytych, częścią ofiarowanych. Z księgarzy pomiędzy ofiarodawcami figurują tylko pp. Paprocki i C. Wilanowski.

Dochód Towarzystwa wynosił rs. 16,251 kop 52, wydatki—rs. 3481 kop. 45. Kapitał przy założeniu był rs. 1341 kop. 42, obecnie—rs. 14,111 kop. 49.

„Rocznik" zawiera jeszcze sprawozdanie z zeszłorocznéj wystawy ogrodniczéj, wspomnienie (z wizerunkiem) o dwóch zmarłych członkach: Sulimierskim i Szafarkiewiczu, a także ciekawą pracę p. E. Jankowskiego: „Obecny stan ogrodownictwa w Królestwie i Cesarstwie."

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Ignacy Janicki**, doktor filozofii, b. profesor liceum nowodworskiego w Krakowie, nauczyciel synów Zygmunta Krasińskiego, następnie kustosz bilioteki ordynacyi Krasińskich, przez lat kilka redagował w Warszawie „Kronikę Rodzinną" oraz prowadził aż do śmierci wydawnictwo dokumentów dziejowych i zabytków literackich, istniejące przy bibliotece Krasińskich. Między innemi ogłosił tu i wstępem opatrzył tłómaczenie Gulistanu Saadego z XVII wieku i Pamiętniki do czasów Sobieskiego. Umarł 9 lutego r. b. w wieku lat 62.

† **Adam Bartoszewicz**, właściciel „Księgarni Polskiéj" we Lwowie, dawniéj dziennikarz, zasłużył się oświacie naszéj głównie popularnemi wydawnictwami. Przy pomocy nader skąpych środków, ale przy żelaznéj wytrwałości zdołał ogłosić 246 tomików „Biblioteki Mrówki", kilkadziesiąt tomów dzieł historycznych Schlossera, Müllera, Hagena, Roeplla, a na krótko przed zgonem wydał nadzwyczaj

tanią edycyę pism Mickiewicza. Był rodem z Litwy, gdzie ojciec jego posiadał majątek ziemski. Po r. 1863 udał się do Paryża. W 1868 osiadł we Lwowie i wydawać zaczął tanie pismo literackie „Mrówka“, a następnie prowadził odstąpiony sobie przez Wilda „Dziennik literacki“, nie zdołał już jednak zapobiedz jego upadkowi. Wtedy to założył „Księgarnię Polską.“ Umarł we Lwowie 11 lutego mając lat 47.

† Zmarły niedawno **Maksymilian Zatorski**, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, urodził się dnia 1-go maja 1835 r. w Samborze, gdzie też rozpoczął nauki gimnazyalne, które ukończył u św. Anny w Krakowie. Studya prawne odbywał w uniwersytecie krakowskim w 1853—1857 r., w roku następnym doktoryzował się, a w ośm lat późniéj powołano go na zastępcę profesora prawa prywatnego austryackiego w tymże uniwersytecie. Następnie został profesorem nadzwyczajnym, zwyczajnym, członkiem Towarzystwa naukowego i Akademii umiejętności, radcą miejskim, posłem na sejm i do austryackiéj rady państwa. Napisał rozprawę (niedrukowaną) „O sejmach w dawnéj Polsce“,—„O kontrakcie kupna, zawartym w drodze licytacyi“ (Kraków, 1868): wraz z prof. Kasparkiem opracował „Powszechną księgę ustaw cywilnych dla monarchii austryackiéj“ (Cieszyn, 1875). Nadto, w r. 1868 był redaktorem „Czasopisma“ poświęconego prawu i umiejętnościom politycznym, a w różnych pismach czasowych pomieszczał drobniejsze artykuły. Zakończył życie w dniu 19-go lutego r. b. w Krakowie.





Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Lutego 1886 r.

---

1. **Franciszek Grillparzer**, (życie i dzieła). Napisał *Dr. Albert Zipper.* Ze stalorytowym portretem poety. We Lwowie, u Gubrynowicza i Schmidta. 1886, 8-o. str. 96.
2. **Sprawozdania** z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. Rok III. 1884. Wydanie z zapomogi Kassy pomocy dla pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1886, 8-o, 294 i kart nlb. 3.
3. **Towarzystwo popierania przemysłu i handlu.** Oddział Warszawski. Pierwsze sprawozdanie za rok 1884. Warsz., 1886, 8 o, str. 34.—Drugie sprawozdanie za 1885 rok. Warsz., 1886, 8-o, str. 47.
4. *Piotr Jaxa Bykowski:* **Konkurenci kasztelanki.** Opowiadanie z przeszłości. Kraków i Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1886, 8-o, str. 170.
5. *Kazimierz Burzyński:* **Tahir Bej.** Powieść ze wspomnień życia obozowego. Tom I, str. 169. Tom II, str. 244. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886, 8-o.
6. *Maks Schippel:* **Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie.** Tłomaczenie z niemieckiego. Cena kop. 60. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1886, 8-o, str. 189.
7. **Lecznice Warszawskie** przez *Dra Ludwika Kadlera.* Warszawa, 1886, 8-o, str. 25.
8. **„Palczatka krwawa“ v. „palecznica krwawa“ digitaria sanguinalis.** Zebrał i ułożył *Kazimierz Wasilewski* wspólnik domu handlowego „Wasilewski et Pilaski“. Warsz., 1886, 8-o, str. 15.
9. **Materyały do historyi prawa i heraldyki polskiej.** Wydał *Bolesław Ulanowski.* Kraków, nakł. Akad. Umiejęt., 1886, 4-o, str. 203.
10. **Szkice krytyczne z wieku XIII.** Napisał *Bolesław Ulanowski.* Kraków, 1885, 8-o, str. 47.
11. **Wybór zapisek sądowych Kaliskich** z lat 1409—1416. Wydał *Bolesław Ulanowski.* Kraków. nakł. Akademii Umiejętności. 1885, 4-o, str. IV i 118.
12. **O założeniu klasztoru św. Andrzeja w Krakowie i jego najdawniejszych przywilejach.** Napisał *Bolesław Ulanowski.* 1885, 4-o, str. 41 (z trzema tablicami faksymilów).
13. **Neues urkundliches Material zur Geschichte Ottokar II von Böhmen.** Mitgetheilt von *Bolesław Ulanowski.* 8-o, str. 19 (odbitka z Mittheilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung“, VI Band, 3 Heft).
14. **Ein Beitrag zur Quellenkunde der Historia Polonica des Johannes Długosz.** Von *Bolesław Ulanowski*, 8-o, str. 4. (Odbitka z X tomu „Neues Archiv der Gesellsch. für ältere deutsche Geschichte“).

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Февраля 1886